

*Jeśli sądzisz, że o drugim człowieku wiesz wszystko,  
nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz...*

---

JOANNA  
JURGAŁA-JURECZKA

SIEDEM SPÓDNIC  
ALICJI

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

JOANNA  
JURGAŁA-JURECZKA

SIEDEM SPÓDNIC  
ALICJI

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Joanna Jurgała-Jureczka  
Siedem spódnic Alicji

ISBN 978-83-8116-0001-8

Copyright © Joanna Jurgała-Jureczka, 2017  
*All rights reserved*

Projekt okładki i stron tytułowych  
Anna M. Damasiewicz

Redaktor  
Karolina Kaczorowska

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
sklep@zysk.com.pl  
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

## Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

NAZARÉ SIEDEM SPÓDNIC SARKOFAGI KOCHANKÓW

STAWISKA TRAKTOREK HAND MADE GARNITUR PO

NIEBOSZCZYKU ZAĆMIENIE AMANT PORTRET FANNY

POGRZEB LILI CAFÉ MUZEUM KREW NA SNIEGU

PRZEWODNIK IMPREZOWY KLATWA HRABIEGO LALKA

TERRORYSTA PIERWSZA WSPÓLNA NOC FUNKCJA

UWIKŁANA AMAZONKA TAJEMNICA ALICE BISCH ZDRAJCY

BAL SKARBY RUSCY I GERMANCY

MOLUNAT NIESPODZIANKA OSTATNIE SŁOWO ZABÓJCZA

MEDICINA STARA BIZUTERIA

OD AUTORKI

## NAZARÉ



### SIEDEM SPÓDNIC

Przystanęły, żeby odpocząć.

— Czy wszędzie musicie mieć pod górkę? — zapytała Alicja. — W Lizbonie wciąż kazałaś nam się wspinać. Wzgórza i wzgórza, ciągle zmęczenie i zadyszka.

— Nie przesadzaj. — Margarida trzymała w ręku telefon komórkowy, przyglądała się ekranowi i sprawiała wrażenie, jakby z niego czytała. — Im trudniej, tym większe szczęście, *per aspera ad astra...*

— Tak, wiem, „przez trudy do gwiazd”, ale dlaczego...

— Czyli kasujemy „Hrabinę”, wpisujemy „Alicję”, tak? — przerwała Margarida.

— Jaką hrabinę? O co ci chodzi?

— Przypominam, że jesteśmy w Nazaré, w Portugalii. Mam wrażenie, że może i mamy pod górkę, ale raczej w sensie dosłownym, nie przenośnym. Nie komplikujemy wszystkiego tak jak ty. Więc jak będzie? W zeszłym roku, kiedy byłam waszą przewodniczką, zapisałam twój numer w kontaktach i nazwałam cię „Hrabinią”. Już prawie nią byłaś. Miałam wrażenie, że lada moment ci się oświadczy. Wiesz, jak brzmi pierwsze zdanie *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen? — Margarida nie czekała na odpowiedź i zacytowała: — „Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”<sup>1</sup>.

— Może to i prawda — przyznała Alicja. — Hrabia Adam Franciszek Przebłocki dziedziczy dobre imię i niezłą fortunę, ale nie wiem, czy potrzebuje żony, a jeśli nawet, to nie ja nią będę.

— Tak? — z niedowierzaniem zapytała Portugalka. — Tacy

byliście nierozłączni, a tu nagle ni stąd, ni zowąd przyjeżdżasz sama i mówisz, że to już nieaktualne. Wpisać „Alicję”, skasować to, co było?

— Skasuj.

— Szkoda. Zawsze, ilekroć telefonowałam, odzywał zapomniany świat, do którego też w pewnym sensie należę i do którego tęsknię.

Margarida schowała telefon do torebki. Zmierzały powoli w stronę bazyliki. Wszystko w słońcu wydawało się odblaskowe, jaśniejące. Mury kościoła, stojącej na szczycie klifu kapliczki i pobielanego murka oddzielającego przepaść od bezpiecznego i osłonecznionego placu w Nazaré, gdzie modlono się, handlowano, podziwiano widoki, poznawano piękną i dramatyczną historię miejsc i ludzi.



Jesienią zeszłego roku Adam Franciszek Przebłocki, potomek hrabiowskiego rodu, był tu razem z Alicją. Chciał jej pokazać świat, który od dzieciństwa oswajał, ponieważ nie musiał czekać na otwarcie granic, na zmiany polityczne, na paszport, na cud w kraju, bo od dawna jego rodzina nie mieszkała w Polsce. Był arystokratą, człowiekiem bogatym i wpływowym, a jednak w końcu znalazł czas, żeby spotkać się z kobietą, która zamęczała go prośbami, propozycjami i pytaniami, bo fascynował ją od lat świat magnaterii, arystokracji, elit, herbowej szlachty i chciała wiedzieć o nim jak najwięcej. Wciąż w tym świecie przebywała, choć nie należała do niego. Ta fascynacja zrodziła się już w czasie studiów i od tej pory Alicja pisała i mówiła podczas spotkań i wywiadów o potomkach hrabiów i książąt, o dystyngowanych, przystojnych, powściągliwych i dumnych arystokratkach, a także o pięknych i równie dumnych arystokratkach. Lubiła i umiała z nimi rozmawiać, wypytywać ich, penetrować archiwa, czytać pożółkłe listy, a potem opisywać losy wysoko urodzonych, wyjaśniać koligacje, dyskretnie nadmieniać o sensacyjkach i skandalach, ożywiać przeszłość i odtwarzać teraźniejszość.



Adam Franciszek okazał się typowym przedstawicielem swojej

sfery. Nieprzystępny na początku, wkrótce się przekonał, że kobieta, z którą spotkał się w Polsce i która gromadzi dokumenty, dba o przechowanie pamięci o minionych czasach, jest interesująca, niepokorna, może nawet zadziorna, niebrzydka, może nawet ładna, niegłupia, może nawet mądra, i ma w sobie coś, co ostatecznie spowodowało, że nie poprzestał na jednej rozmowie i zasugerował, iż ma ciekawe materiały, które — jeśli Alicja zdobędzie jego zaufanie — chętnie udostępni. Zaufanie zdobyła i sporo czasu spędzali razem, więc zaczęto mówić, że arystokrata i znawczyni arystokratów są parą. Wszystko na to wskazywało, aż do dzisiaj, kiedy Alicja oświadczyła zdumionej Margaridzie, że jest nieszczęśliwa i rozczarowana, dlatego postanowiła wyjechać w tajemniczy, najlepiej na koniec świata, gdzie nikt jej nie znajdzie i nie będzie zadawał pytań.

— Co się właściwie stało? — Margarida nie zamierzała nie zadawać pytań, a Alicja wiedziała, że Portugalka jest uparta i że trzeba będzie w końcu na nie odpowiedzieć.

— Jesteśmy z innej bajki. Zbyt wiele nas dzieli.

— To dobrze, bo przeciwieństwa się przyciągają. Mój dziadek był wysoki, spokojny, opanowany, małowówny, a babcia kręciła się wokół niego jak fryga, mówiła prawie bez przerwy i sięgała mu do połowy ramienia. Czasem rozglądał się dookoła i pytał: „Gdzie jest moje maleństwo?”. Przygarniał ją do siebie, całował w czubek głowy, a ona się śmiała. Wy też przecież...

— Nie tylko o to chodzi. On pochodzi „z tych” Przebłockich, a moja prababcia ledwie wiązała koniec z końcem i była służącą, a nie wielką panią. Celebrytą, pisarzem, politykiem można zostać, ale hrabią trzeba się urodzić. Jego rodzina wciąż dawała mi to do zrozumienia. Czasem, mówiąc szczerze, nawet mnie to bawiło. Jego krewni i znajomi wynajdywali dziwnym trafem wspomnienia i opowieści z odpowiednim podtekstem. Wyobraź sobie, pijemy kawę, a tu senior rodu zaczyna: „Pani, zdaje się, mieszka w Stawiskach. Mój dziadek bywał tam w pałacu u Lahensteinów. Proszę sobie wyobrazić, że jeszcze przed pierwszą wojną podczas polowania psy przywlekły na dziedziniec ludzką nogę. Odziana była w skarpetkę z hrabiowską naszywką z inicjałami: W.T. Dacie państwo wiarę? Psy znalazły nogę hrabiego

Wincentego Tyszkiewicza, który zdradził naszą sferę, popełniwszy mezalians, i drogo za to zapłacił. Nie jest wykluczone, że jego żona nie tylko życzyła mu śmierci, ale znalazła sposób, żeby jej życzenie się spełniło”. Niektóre damy słuchające makabrycznej historii o nodze odkładały jedzone właśnie ciastko i widać było, że niczego już nie przełkną. Mimo to historia była opowiadana ze szczegółami po to, żeby Adam usłyszał, jaki los spotkał lekkomyślnego arystokratę, którego ojciec słusznie wydziedziczył na wieść o zamiarze poślubienia dziewczyny nienależącej do wyższych sfer.

Wincenty Tyszkiewicz miał już czterdzieści pięć lat, kiedy ożenił się w Zakopanem z młodą Reginą Grzesiewiczówną. Osiedlili się w Cieszynie i hrabia otworzył praktykę lekarską. Pewnego wrześniowego dnia wyszedł o świcie na spacer. Długo go szukano. W gazetach napisano, że doktor Tyszkiewicz to wysoki, szczupły, blady brunet, że ma spiczastą brodę, wąsy, duże ciemne oczy i czarne brwi. Koło lewego ucha i na prawej dłoni ma bliznę. Opisano też jego ciemnoszare ubranie, czarny kapelusz filcowy, laskę z korzenia i buty zapinane na guziki. Właściciel hrabiowskiego tytułu, laski, kapelusza i spiczastej brody przepadł jak kamień w wodę. Mówiono, że wyjechał do Ameryki. Dopiero w lutym w Stawiskach odnalazła się jego noga w skarpetce z hrabiowską naszywką z inicjałami, a potem reszta ciała. Zaczęto mówić, że w zabójstwo mogła być zamieszana Regina Tyszkiewiczowa, którą nadzwyczaj często odwiedzał pewien młody człowiek przebywający od dawna w Cieszynie, rzekomo dla studiów etnograficznych. Konkluzja narzucała się sama. Poślubienie kobiety z ludu nie wyszło na dobre nieszczęsnemu hrabiemu, podobnie jak Adamowi nie wyjdzie na dobre znajomość ze mną.

— Też coś — prychnęła Margarida. — W dzisiejszych czasach nikt nie zwraca uwagi na wysokie czy niskie urodzenie. Dziadek był arystokratą, stracił majątek na ziemiach polskich i po wojnie tu, w Portugalii, zaczął od nowa. Wiesz zresztą, o nim też pisałaś i wydobyłaś ode mnie całe rodzinne archiwum.

— Ale miał rodową dumę, świadomość, kim jest, kim byli jego przodkowie. Tego nikt mu nigdy nie odebrał.





Alicja niedawno zdobyła informacje o przodkach poznanej w Portugalii przewodniczki, z którą się zaprzyjaźniła. Karol Bonifacy Czapski, dziadek Margaridy, był polskim oficerem. Cudem uniknął losu tych, których zamordowano w Katyniu, cudem przeżył piekło wojny, a kiedy już razem z innymi wywalczył wolność, do kraju nigdy nie powrócił. Nie miał zresztą do kogo i do czego wracać. Fornal, który chodził wiecznie pijany, ogłosił, że wielkich panów już nie ma, a teraz tacy jak on będą mieszkać „na pokojach”. Dawni właściciele mają się wynosić i mogą zabrać jedną walizkę. Do gnojówki wrzucano książki, rodowe pamiątki i bibeloty, których wartości nie znali ludzie prości i niewykształceni, obejmujący teraz we władanie dobra gromadzone przez wieki. Spalili, splądrowali, rozkradli i doprowadzili do upadku dorobek życia całych pokoleń. Po 1989 roku, kiedy można już było przyjechać, bo komunizm w Polsce upadł, nie chciał oglądać zarośniętych chaszczami ruin, nie chciał płakać nad unicestwieniem i upadkiem. Miał tylko jedno marzenie, które Margarida spełniła. Kiedy była małą dziewczynką, nauczył ją dziecięcej modlitwy do Anioła Stróża. Tak poznała pierwsze polskie słowa, potem dziadek często rozmawiał z nią w swoim ojczystym języku, aż w końcu powiedział: „Obiecuj, że przyjedziesz do Polski, że poznasz ten kraj i że nie zapomnisz”. Obiecała. Skończyła studia w królewskim Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim i choć czarnowłosa i czarnooka Margarida urodę odziedziczyła po babce, chociaż urodziła się i mieszkała na stałe w Portugalii, to jednak, kiedy oprowadzała grupy turystów z Polski, uważano ją za rodaczkę. Świetnie mówiła po polsku, znała polską historię, obyczaje i kulturę, oglądała polskie filmy, czytała polskie powieści.

Margarida była niezwykłą kobietą. Wciąż nosiło ją po świecie, pracowała jako przewodniczka, dziennikarka, korespondentka zagraniczna. Z mężem i trójką małych dzieci zamieszkała nad oceanem. Adam i Alicja mieli okazję obserwować jej codzienne zwyczaje. O piątej rano serfowała, potem zajmowała się domem, przygotowywała obiad, pisała artykuły. Zdążyła jeszcze dojechać do hotelu w Porto, zaopiekować się kolejną grupą zwiedzających i poczęstować turystów

odkrywających uroki jej kraju upieczonym w nocy ciastem. Wszystko to z werwą, bez narzekania, bez wyliczania swoich zasług, radośnie i z entuzjazmem.

Tylko nieliczni wiedzieli (od jakiegoś czasu należała do nich także Alicja), że kiedy jako korespondentka wojenna wraca z niebezpiecznej i zagrażającej życiu wyprawy z miejsc, o których cywilizowany świat chciałby zapomnieć, płacze, a potem pisze przejmujący tekst o wszechobecnym strachu, śmierci i głodzie, o ludziach, którym obcinają głowy, o ciałach leżących pokotem, o dzieciach, które przerażone podnoszą ręce w geście poddania, kiedy sięga do torby nie po broń, ale po aparat fotograficzny. Po oddaniu tekstu do druku mówi najczęściej: „Jestem potrzebna rodzinie. To był mój ostatni tego rodzaju wyjazd”. A potem odbiera kolejny telefon i słyszy: „Niedoświadczonego dziennikarza, żółtodzioba tam nie pošlemy, bo od razu zginie, a przecież ktoś powinien opowiedzieć światu, co tam się dzieje. Pojedziesz?”. Znow pakuje walizkę, znow wkłada kamizelkę kuloodporną, znow rodzina i przyjaciele liczą dni do jej powrotu. „Ostatnich” wyjazdów, o których opowiadała, odkąd się poznały, było kilka.

— Jesteś dzielna, jak kobiety z Nazaré, chociaż nie nosisz siedmiu spódnic — powiedziała Alicja.

— Okej, jestem dzielna, niech ci będzie, ale jestem też, jak one, uparta. Nie wymigasz się od odpowiedzi, więc nie zmieniaj tematu.



Usiadły na schodach przed bazyliką, Margarida wyciągnęła dwie plastikowe butelki wody.

— Uzupełnimy płyny, a ty mów w końcu, dlaczego nie będziesz hrabiną Przebłocką. Historie rodem z *Trędowatej*, narzekanie, że nie należysz do wyższych sfer, możesz między bajki włożyć. Musiało się stać coś więcej. Nie wierzę, że o to poszło. Jesteś, owszem, mało dystygowana, może zbyt dynamiczna i nieco nieobliczalna jak na hrabinę, ale przecież nie takich oryginałów znała historia wielkich rodów.

— Coś o tym wiem.

Alicja westchnęła, zastanowiła się chwilę i zaczęła opowiadać:

— Adam jest inny: opanowany, powściągliwy, zawsze wie, co i kiedy powinien zrobić i powiedzieć. Nigdy nie popełnia gaf, nie gestykuluje przesadnie, nie kieruje się emocjami i nie działa spontanicznie.

— Nie zaprzeczę. I dlatego, szczerze mówiąc, jest nieco nudny.

— Nudny?! Skądże znowu! — żywo zaprzeczyła Alicja. — On potrafi być... — urwała, zauważywszy, że Margarida uśmiecha się znacząco.

— Idealny facet. Sądziłam, że ten gatunek jest na wymarciu, a tu proszę...

— Nie kpij. Przez te wszystkie miesiące, odkąd wiadomo już było, że jesteśmy parą, starałam się zrobić na jego rodzinie dobre wrażenie. Nigdy mu o tym nie mówiłam, ale potrzebowałam jego wsparcia, jakiegoś potwierdzenia, że sobie dobrze radzę, że jest ze mnie dumny. Oczywiście nie raczył zauważyć moich prób dopasowywania się do jego hermetycznego i koturnowego świata. Nie masz pojęcia, ile kosztowało mnie udawanie, że jestem poważna, dostojna i wytworna.

— Wyobrażam sobie.

— Dwa tygodnie temu pojechaliśmy do Wiednia, żeby spotkać się z księżną Marią Krystyną, jego dalszą krewną, która od jakiegoś czasu schorowana, częściowo sparaliżowana chowała się przed dziennikarzami, nie udzielała wywiadów. Jest autorką dość pikantnych wspomnień z czasów młodości, które stały się bestsellerem, więc oblegano jej willę. Podczas spotkania, na prośbę Adama, zrobiłam mu pamiątkowe zdjęcie z ekscentryczną, ale teraz tracącą już siły i dawną urodę ciotką i obiecałam, że nikomu spoza rodziny go nie udostępnię. No i pech chciał, że korespondowałam na temat Przebłockich i wysłałam pewnej dziennikarskiej hienie archiwalne zdjęcie rezydencji i portrety rodzinne. Przez pomyłkę dołączyłam do maila nieszczęsną pamiątkową fotografię ciotki i Adama. Nie sprawdziłam, kliknęłam i poszło w świat. Następnego dnia schorowana, wychudzona i częściowo sparaliżowana księżna Maria Krystyna była już w wielu internetowych wydaniach nie tylko polskich brukowców. Fałszywie zamartwiano się jej stanem zdrowia, zestawiano najnowsze zdjęcie z dawnymi wizerunkami pięknej, uwodzicielskiej i frywolnej kobiety, a wszystko to uzupełniono

adnotacją: „Współczesną fotografię udostępniła Alicja Modrzewska, którą ostatnio często widuje się w towarzystwie hrabiego Adama Franciszka Przebłockiego”. Pech chciał, że Adam wyjechał do Włoch. Ma tam jakieś ważne biznesowe spotkania dotyczące nowych winnic, więc napisałam do niego mail, wyjaśniając, co się stało.

— Czemu nie zatelefonowałaś?

— Nie mógł odebrać, uprzedził mnie, że będzie miał wyłączoną komórkę.

— Więc napisałaś.

— Tak. I na końcu dodałam coś w rodzaju: „Wiem, że teraz twoja rodzina, która tak dba o formy i konwenanse, nie pozwoli ci się zadawać z lekkomyślną i nieodpowiedzialną kobietą. Rozumiem to, nie chcę cię ograniczać ani stawiać w niezręcznej sytuacji. Wyjadę na jakiś czas, a potem wrócę do swojego dawnego życia. Tak będzie lepiej”.

— No pięknie! — wtrąciła Margarida i nie wiadomo, co miała na myśli, bo rozżalona Alicja nie dopytywała, tylko mówiła dalej:

— I jak głupia sprawdzałam pocztę co dwie minuty. Wieczorem nie zadzwonił, chociaż chyba ważne spotkania nie odbywają się na okrągło, we dnie i w nocy. Nie odezwał się. Nie próbował mnie nawet przekonywać, że nic się nie stało. Czekałam, ale bez skutku. Nazajutrz zaczęłam szykować się do wyjazdu. W końcu wyłączyłam telefon, a raczej wyłączyłam go dla niego.

— A potem próbował dzwonić?

— Owszem. Dzisiaj kilka razy, ale już na wszystko jest za późno. Skoro jeszcze tego samego dnia albo nazajutrz nie przekonywał, żebym zmieniła zdanie, to znaczy, że po namyśle chce się ze mną rozstać. Wprawdzie słał SMS-y w rodzaju: „Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?”, ale wszystko po to, żeby mnie zlokalizować i upewnić się, że nie zrobiłam jakiegoś głupstwa. Jest przecież dobrze wychowany, opanowany, nawet wyrachowany, więc nie chce mieć na sumieniu egzaltowanej wariatki. I tak do siebie nie pasujemy. Koniec kropka.

Siedziały przez chwilę w milczeniu. Alicja poprawiała okulary przeciwsłoneczne, a może ukradkiem ocierała jakąś niechcianą łzę, a Margarida przyglądała jej się uważnie i z lekkim rozbawieniem.

— To wszystko? — zapytała wreszcie.

— Wszystko.

— Aha. No to rzeczywiście „koniec kropka”. A swoją drogą, zachowujecie się jak dzieci, a macie już te swoje trzydzieści parę lat. On nawet chyba więcej, o ile się nie mylę.

— Więcej — machinalnie potwierdziła Alicja, która uważnie przyglądała się idącej w ich stronę starej Portugalce. Miała wrażenie, że bardzo dobrze ją zna.

— Przychodzi prawie codziennie. — Margarida domyśliła się, że trzeba zmienić temat. — Ilekroć oprowadzam po Nazaré, spotykam ją w tym miejscu. Kiedy byliście tu z Adamem, obserwowała tańczących. Pamiętasz?



Pamiętała. Poprzednim razem przyjechali akurat w momencie, kiedy kończyła się msza odprawiana na placu. Ksiądz w białym ornacie w otoczeniu ministrantów i dwóch ministrantek z białymi kwiatami wpiętymi we włosy wchodził po schodach prowadzących do bazyliki, a u jej stóp pozostał jeszcze spory tłum ludzi. Dwaj gitarzyści grali dość skoczną pieśń, w której takt tańczyli ludzie otaczający ołtarz. Turyści robili zdjęcia, niektórzy podrygiwali, a stara kobieta stała nieopodal małej figurki Madonny i obserwowała. Kiedyś może należała do tych, którzy tańcem wyrażali radość, a teraz zostało jej już tylko bierne uczestniczenie. Maleńka Madonna przyglądała się tym ludziom już od wieków, dużo dłużej niż Portugalca ubrana w siedem spódnic. Teraz też postawiona obok ołtarza, przyniesiona tu uroczyście, tonęła w kwiatach i kosztownych szatach zakrywających ją od stóp do głów. A na głowę nasadzono jej i Dzieciątku przytłaczające korony. Trzeba się było dobrze przyjrzeć, żeby zobaczyć, że karmi dziecko, które ma główkę zwróconą w jej stronę. Wszystko to zostało wyrzeźbione dawno temu, na pewno nie z myślą o koronach, więc teraz było sztuczne, pozbawione naturalności, ale za to po pańsku, po królewsku uhonorowane.

Figurka, przywieziona podobno przez skromnego mnicha aż z Nazaretu, obrosła legendą, która chciała, żeby wyrzeźbił ją święty Józef, a pomalował święty Łukasz. Jedna z najstarszych figur Madonny miała nad oceanem pozostać na zawsze, tak jak mnich pustelnik, który

schronił się przed czymś lub przed kimś w grocie nad urwiskiem i tu chciał być pochowany. Tak też się stało, a na szczycie klifu, w grocie-grobie, stanęła maleńka figurka Madonny karmiącej, nazywanej tu Madonną Czarną.



I stałaby tak przez kolejne stulecia, gdyby nie wydarzyło się coś niezwykłego, co spowodowało, że ani grotę, ani wybudowana na pamiątkę owego zdarzenia niewielka kapliczka już nie wystarczyła. Ludzie doszli do wniosku, że nie przystoi, żeby maleńka figurka nie miała swojego dużego i przestronnego kościoła, zwłaszcza że sława Nazaré za jej przyczyną rosła, pątnicy oblegali to miejsce, które prym oddało dopiero Fatimie. Bywali tu biedni rybacy, bogaci królowie i wielcy odkrywcy. Był sam Vasco da Gama, który wybierał się w podróż do Indii, ale zanim to nastąpiło, przybył, a raczej zabłąkał się pewien rycerz, podobno templariusz: Dom Fuas Roupinho.

Był ranek w połowie września 1182 roku, kiedy jeździec zobaczył jelenia i natychmiast postanowił go upolować. Tymczasem nad oceanem wisiała zdradliwa mgła i oto nagle jego koń zaczął się ślizgać po stromym zboczu. Jeszcze chwila, jeszcze sekunda i razem runął w przepaść. Ale nad przepaścią była przecież grotę, a w niej grób pustelnika i figurka Matki karmiącej. „Ratuj! Ocal!” — miał zawołać rycerz w ostatniej chwili, a raczej w chwili, która miała być jego ostatnią. Usłyszawszy jego wołanie, Matka rozpostarła płaszcz nad brzegiem urwiska, a koń się zatrzymał. Rycerz i jego koń zostali ocaleni.



Do kapliczki, którą wdzięczny Dom Fuas Roupinho wznosił w miejscu, gdzie polowanie o mało nie skończyło się dla niego tragicznie, można się było dostać ze wsi położonej nad brzegiem oceanu jedynie stromą górską ścieżką. Mimo to często pokonywano tę niewygodną drogę, a ludzie, którzy nad oceanem mieszkali, pozostali nieustępliwi i twardzi. Tego nauczyło ich życie. Rybacy wypływali na połów nie na łagodne morze, ale na ocean, a ich kobiety czekały na

brzegu i jeśli łódź nie pojawiała się na horyzoncie, codziennie wkładały kolejną spódnicę. Siedem dni wyczekiwania i siedem spódnic, które potem zamieniały na czarną, żałobną, kiedy nadziei na powrót już nie było.



Margarida w zeszłym roku w tym samym miejscu opowiadała dramatyczną historię rycerza, a wówczas stara kobieta ubrana w siedem spódnic stanęła nieopodal schodów prowadzących do wielkiego kościoła wybudowanego jako sanktuarium dla maleńkiej figurki. Portugalka przypominała Alicji jej prababcie. Tak samo opierała się o laskę, tak samo się pochylała, takim samym gestem poprawiała zsuwającą się z czoła kolorową chustę zawiązaną pod brodą. Miała dłonie spracowane i sękaty, stopy schodzone i szerokie. Alicja wzruszyła się, zobaczywszy ją tamtej jesieni, chciała jej pomóc wejść na schody, podać rękę, ale Portugalka tym samym gestem co jej prababcia dała do zrozumienia, że nie jest jeszcze taka stara i niedołężna, że poradzi sobie, że jest silna, że całe życie była silna i nic się nie zmieniło. Uśmiechnęła się wówczas, potem spochmurniała, i z wyraźnym trudem, wolno odeszła. A teraz stała nieopodal, ciężko oparta o laskę i zwracając się do Margaridy, powiedziała coś po portugalsku.

— Zapytała, czemu wtedy, kiedy widziała cię w zeszłym roku, byłaś szczęśliwą Inês, a teraz masz smutne oczy i gdzie jest twój Pedro.

— Nie ma już Pedra i Inês — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem Alicja.

Margarida przetłumaczyła jej słowa starej kobiecie ubranej w siedem spódnic, a ta pokiwała głową i o nic już nie zapytawszy, odeszła, tak jak przed rokiem.

## **SARKOFAGI KOCHANKÓW**

Ze szczytu klifu obok biało-błękitnej kapliczki, zdobionej ceramicznymi płytkami azulejos, roztacza się widok na piękną piaszczystą plażę i na rozświetlony i pozornie tylko łagodny i przyjazny ocean. Ale wystarczy znaleźć się na dole, by wiedzieć, że

mimo upału jest chłodno i wietrznie, że ma rację Margarida, kiedy mówi, żeby oceanowi nie wierzyć, nie ufać i żeby mieć do niego dystans. Piasek jest ostry, kłujący, fala nie muśnie przyjaźnie, ale będzie chciała wciągnąć, wessać, a jeśli jej się nie uda, zabierze przynajmniej klapki, które potem, ociągając się, w końcu łaskawie odda. Tak było, kiedy spacerowali z Adamem brzegiem oceanu. Było.

— Stoimy na tym klifie już od piętnastu minut. Bez słowa wpatrujesz się w ocean. Trochę mnie to niepokoi. Uważaj, bo tak robią nieuleczalni melancholicy — zagadnęła Margarida.

— Zastanawiam się, czy...

— Wybacz, to ważna wiadomość — powiedziała niespodziewanie przewodniczka. Wyjęła z torby telefon komórkowy, który wcześniej zabrzączał jak zawsze, kiedy przychodził SMS. — Muszę odpisać, ale to potrwa tylko chwilę. Mam propozycję. Jedźmy nad ocean, do tej knajpki, która tak ci się w zeszłym roku spodobała.

— Dobrze — odpowiedziała zaskoczona Alicja, która spodziewała się innej reakcji na jej szczere zwierzenia.



Na plaży turyści opalali się albo przechadzali wzdłuż brzegu. Niewielu śmiałków wchodziło do wody. Ocean nie rozpieszczał i nie był ciepłym południowym morzem. Mimo pięknej, słonecznej i pozornie tylko bezwietrznej pogody wielkie fale uderzały o stromy brzeg urwiska, piasek był kłujący i ostry, a rozkrzyczane mewy wzbijały się nad wodę albo spacerowały pomiędzy ludźmi przyzwyczajone do nich i oswojone. Mieszkańcy Nazaré, jak one, przywykli już do obserwujących ich ciekawskich obcokrajowców siedzących w kawiarenkach wzdłuż wybrzeża, snujących się między straganami, sklepami, domami. Wąskie uliczki prowadziły wprost do oceanu, a stanąwszy u wylotu każdej z nich, można było dojrzeć odległy horyzont. Nad głowami patrzących zaś i podziwiających widoki suszyło się pranie, a przed drzwiami domów na plastikowych białych krzesłach siedziały zmęczone starsze kobiety w swoich tradycyjnych strojach, ubrane w szerokie spódnice, których kolejne warstwy miały symbolizować cierpliwe czekanie na męczyznę i wiarę w to, że w końcu powróci. Młodsze kobiety nie miały



czasu na odpoczynek nawet w niedzielne popołudnie. Obsługiwały gości w nabrzeżnych knajpkach, sprzedawały muszle i ryby, stroje kąpielowe, ręczniki i pamiątki.

— Usiądźmy. Zamówmy kawę — powiedziała Margarida, podchodząc do stolika, i nagle oznajmiła, że musi skorzystać z toalety. Alicja została sama i przesunęła swoje krzesło tak, żeby mieć widok na ocean. Szum i ruch fal działał uspokajająco, a spokój był jej teraz bardzo potrzebny. Wspomnienia wciąż wracały i wiedziała, że nie uwolni się od nich zbyt szybko. Gdziekolwiek spojrzeła, widziała Adama, słyszała jego głos, kiedy mówił, tak jak teraz, tą swoją charakterystyczną polszczyzną z obcym akcentem:

— Droga Alicjo, czy mogłabyś odbierać telefon? Dzwoniłem już dzisiaj kilka razy.

Zaskoczona odwróciła się. Ten głos nie był złudzeniem. Adam stał za nią, przyglądał się jej uważnie, bez uśmiechu. Jak zwykle był nienagannie ubrany, stosownie do okoliczności, przystojny i dystyngowany. „Skąd się, u licha, tu wziął i czemu wciąż robi na mnie takie wrażenie?” — pomyślała niezadowolona z siebie i ze swoich nieposłusznych uczuć.

Powtórzył pytanie:

— Czy mogłabyś z łaski swojej odbierać telefon? Bałem się, że coś złego cię spotkało. Nawet się nie domyślasz, co przeżyłem. Powiedziano mi, że wyjechałaś, ale nie wiedziałem, po co i dokąd. Dopiero Margarida...

Słuchała go nieuważnie. Próbowwała zapanować nad emocjami. To banalne, ale była przede wszystkim szczęśliwa, że sobie tego wszystkiego nie wyobraża, że się o nią martwił, że jej szukał, że znalazł, że jest obok.

Wstała. Pocałował ją w policzek, jak zawsze, kiedy się witali albo żegnali w obecności innych osób. Poprawnie, grzecznie, przewidywalnie.

— Zostawię was, musicie porozmawiać. — Margarida pojawiła się równie niespodziewanie, jak wcześniej wyszła. Wzięła torebkę leżącą na krześle i na odchodnym dodała: — Wybacz, Alicjo, ale musiałam mu powiedzieć. Spotkamy się w Alcobaça. Tak jak obiecałam jesienią,

opowiem o miłości silniejszej niż śmierć. Mam nadzieję, że przyjdziecie razem.



Zostali sami. Alicja zauważyła, że Adam jednak nie jest, jak zwykle, opanowany i spokojny. Głos mu trochę drżał, kiedy zamawiał dla nich kawę, i drżał nadal, kiedy zaczął mówić, zwracając się do niej dziwnie oficjalnie, jakby wcześniej przygotował wystąpienie i planował je wygłosić na jakimś ważnym sympozjum. Nie zamierzała mu niczego ułatwiać.

— Droga... — zawahał się chwilę i zaczął jeszcze raz: — Kochana Alicjo. Nie czytam brukowców, nie wiedziałem, że w internecie pojawiło się zdjęcie, które zrobiłaś. Twój list znalazłem dopiero wczoraj, bo z jakiegoś powodu trafił do spamu. Wcześniej nie miałem pojęcia, co się stało. Nie mogłem się z tobą skontaktować, nie odbierałaś moich telefonów, nie odpisywałaś na SMS-y. Dopiero Margarida zawiadomiła mnie, że wybierasz się do Portugalii i że nic ci nie jest. Jako kobieta związana ze mną masz pewne obowiązki i musisz się pozbyć charakterystycznej dla ciebie... — zawahał się — niezdrowej egzaltacji. Czy wyobrażasz sobie, jak się o ciebie niepokoiłem?

W milczeniu wypili kawę. Milczeli, kiedy Adam płacił rachunek, w milczeniu szli wzdłuż oceanu po kłującym i szorstkim piasku. Zachodziło słońce. Jak wówczas, kiedy ponad rok temu przyszedł do jej domu, żeby powiedzieć: „Jesteś interesującą kobietą. Nie nudzę się przy tobie. Wybierz się ze mną w podróż. To może być dla nas obojga ciekawe doświadczenie”. Wtedy zrobiła tak, jak chciał. Zrobiła to, o czym sama marzyła, a z czego jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę.

A teraz? Padły wprawdzie ważne słowa, ale wciąż czegoś brakowało.

W końcu Adam przystanął, objął ją ramieniem i przytulił. Była na tyle blisko, żeby usłyszeć, jak bije jego serce, szybko, niespokojnie. Milczał, a żadne zapewnienia, wyznania i przysięgi w tym momencie nie były potrzebne.

Wdychała jego zapach, znów mogła się w niego wtulić. Mewa

dreptała po plaży, nie zwracając uwagi na ludzi. Przystanęli, żeby nie zająć jej drogi. Fale rytmicznie i głośno uderzały o brzeg.

— Czy wiesz, moja droga, ile ważnych spotkań musiałem odwołać i jakich cudów dokonać, żeby tu przyjechać? Nie lubię nieprzewidzianych sytuacji, a w naszej sferze panują pewne zasady. Pora, żebyś je przyswoiła, a nie tylko poznała i opisała w książkach i artykułach.



— „Kochajcie się jak Pedro i Inês” — to życzenie często wypowiedane w Portugalii nawiązuje do znanej historii, którą przewodnicy najczęściej opowiadają, pokazując wspaniałe marmurowe sarkofagi kochanków w opactwie Cystersów w Alcobaça — mówiła dwa dni później Margarida, wyraźnie zadowolona, że przyjechali razem.

— Dobrze, że nie skasowałam w telefonie „Hrabiny” — powiedziała na widok Alicji, która zaczerwieniła się lekko i szybko zmieniła temat.

— Coś już wiem na temat waszego Tristana i Izoldy, ale nigdy nie widziałam ich grobów. Opowiedz nam wszystko od początku.

— Bardzo proszę. Panie hrabio — dodała żartobliwie — to będzie coś o różnicy urodzenia, która jednak ostatecznie nie przeszkodziła zakochanym, a zakochali się w sobie beznadziejnie. Ona, choć piękna, nie mogła być partnerką dla króla. Portugalski następca tronu Piotr I (Don Pedro) zawarł małżeństwo z rozsądku. Inês de Castro, dama na hiszpańskim dworze jego żony, była córką galicyjskiego szlachcica, nie kandydatką na królową. Pedro ze względu na dobro państwa musiał ożenić się z infantką kastylijską, lecz żona zmarła przedwcześnie i wówczas kochankowie zamieszkali razem. Podobno mieli czworo dzieci i w końcu zawarli potajemny ślub. Ale król — ojciec Don Pedra — nie chciał tego związku, który był niemile widziany ze względu na różnice pochodzenia i z powodów politycznych. Postanowione więc zostało, że Inês musi zginąć. Na początku stycznia tysiąc trzysta pięćdziesiątego piątego roku zasztyletowało ją trzech mężczyzn. Przedstawienia tej sceny w malarstwie są dramatyczne: dzieci przytulone do klęczącej matki, a ona otoczona zabójcami trzymającymi sztylety,

przerażona i osaczona. Następca tronu na wieść o śmierci ukochanej kobiety oszalał, rozpoczął wojnę z ojcem i królewskimi doradcami, którzy podjęli decyzję i wykonali wyrok. Matka Pedra doprowadziła w końcu do zgody, ale po śmierci króla, kiedy Pedro sam zasiadł na tronie, nie zapomniał o swojej ukochanej i o jej mordercach. Kazał torturować i wyrwać serca tym, którzy podnieśli rękę na jego Inês, a potem jej zwłoki posadził na tronie i domagał się, żeby poddani oddali jej hołd jako królowej.

— Dość makabryczne — zauważył z niesmakiem Adam Franciszek Przebłocki.

Margarida nie skomentowała.

— Podchodzili do tronu i całowali jej dłoń i stopę, i zapewniali, że będą wobec niej lojalni, skoro koronowano ją pośmiertnie. W wyobraźni artystów malarzy jest obecna jako królowa zasłonięta białą woalką, jako przezroczysta, zwiewna blada zjawa siedząca na tronie. Król klęczący u jej stóp próbuje ją pocałować. Tymczasem ona wymyka mu się, jest nierealna, jak wyobrażenie. Wejdźmy teraz do środka.

Chwilę później Alicja wyraźnie wzruszona słuchała ściszonego głosu przewodniczki i oglądała wewnątrz przestrzennej i strzelistej świątyni.

— Inês jako królowa spoczęła w pięknym sarkofagu, a Pedro swój sarkofag kazał ustawić naprzeciwko jej grobu. Spójrzcie na ozdabiające je piękne i subtelne rzeźby. Aniołowie skupieni dookoła każdej postaci próbują unieść króla i jego ukochaną. I tak do końca świata. Napis wyryty na sarkofagu głosi bowiem „Até ao Fim do Mundo”. A kiedy koniec ów nastąpi, wstaną ze swoich grobowców i od razu będą mogli spojrzeć sobie w oczy.



Przy sarkofagach kochanków, którzy zwróceni do siebie stopami mają w dniu ostatecznym zobaczyć siebie nawzajem, Alicja była zamyślona i poruszona ich losem, przejęta siłą i głębią ich miłości, która stała się przysłowiowa i legendarna.

— Polityka, interesy, różnica pochodzenia... Wszystko to doprowadziło do osobistego dramatu zakochanych — powiedziała

z żalem.

Piękna i romantyczna opowieść wyraźnie nie uwiodła natomiast hrabiego Adama Franciszka Przebłockiego. Rzeczowy i powściągliwy, daleki był od romantycznej interpretacji historii sprzed lat.

— A może spójrzcie na to wszystko z innej strony — powiedział. — Facet zdradzał żonę z kochanką, unieszczęśliwił ją zapewne, w końcu zemścił się okrutnie. Ucztował, kiedy z jego rozkazu dokonywała się kaźń wrogów i wrywano im serca, a wcześniej wszczął wojnę domową. Czytałem, że zyskał przydomek Okrutny. Jak więc widzisz, historia swoje, a legenda swoje. Wolę trzymać się faktów.

Po chwili milczenia Alicja powiedziała na pozór żartobliwym i lekkim tonem:

— Drogi hrabio, zawsze byłeś i pozostaniesz bezdusznym realistą, nie stać cię na romantyczne gesty i spontaniczne odruchy. A ja? Cóż, ja chyba jednak wybieram legendę, nawet jeśli nie kończy się happy endem. Jesteś chodzącą prozą, a ja wolę poezję — mówiąc to, patrzyła mu w oczy. — To dwa różne światy, więc...

Nie pozwolił jej dokończyć.

— Nie przesadzaj — powiedział równie lekkim i żartobliwym tonem — przecież mogę od czasu do czasu przeczytać ci jakiś wiersz.

Margarida roześmiała się i zapytała, czy lubią portugalską kuchnię, bo najwyższy czas na obiad. Zapowiedziała też, że popołudnie spędzą w pięknym Óbidos, które zapewne zachwyci ich dzięki wąskim, urokliwym uliczkom, pobielanym domom z pastelowymi zdobieniami, dzięki murom obronnym, maleńkim sklepikom, ale także dlatego, że nie bez powodu nazywane jest miastem ślubów.



Kiedy parę dni później zapinali pasy w samolocie, każde z nich otrzymało wiadomość od Margaridy, która odwiozła ich na lotnisko, oświadczając, że jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Zanim wyłączyli, zgodnie z instrukcją stewardesy, telefony komórkowe, przeczytali: „Kochajcie się jak Inês i Pedro i bądźcie szczęśliwi. Przyjadę na wasze zaręczyny”.

Podczas pożegnalnej kolacji w Porto nie powiedzieli jej, że

zaręczyn nie będzie, ponieważ postanowili się rozstać.

1 Cytowane zdanie w przekładzie Anny  
Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej: Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*,  
Prószyński i S-ka, Warszawa 1994, s. 5.

STAWISKA



## TRAKTOREK HAND MADE

Wąską drogą jechał traktorek, który na pewno był *hand made*. Silnik miał z motocykla, reszta stanowiła dość przypadkowy zlepek różnych części sprytnie dobranych i połączonych tak, że *hand made* mógł z powodzeniem służyć gospodarzowi, któremu nie zależało na wyglądzie pojazdu ani na pośpiechu. Kierowca palił papierosa, rozglądał się, a traktorek powolutku, z mozołem ciągnął przyczepkę z obornikiem, czy — jak kto woli — z gnojem. Z przodu osobliwego pojazdu dość prowizorycznie zamontowana była tabliczka z imieniem, którą często wkładają za szybę kierowcy tirów i ciężarówek. I tak oto każdy, kto chciał, mógł się dowiedzieć, że obornik transportuje niejaki CZESIO.

— Czy mógłbyś, człowieku, z łaski swojej, jechać szybciej?! — W głosie młodego, bardzo nowoczesnego, a nawet nieco ekstrawagancko ubranego mężczyzny kierującego czarnym porsche czaiła się z trudem tłumiona irytacja. Czesio milczał.

Nie pomogły kolejne, coraz mniej cenzuralne ponaglenia. Nie pomógł klakson. Czesio konsekwentnie milczał. Pojazd *hand made* ciągnął przyczepkę podskakującą na nierównościach wiejskiej drogi. Oficjalnie wprawdzie nie nastąpiła jeszcze wiosna, a rano przymrozek ściał zieleniejącą już trawę, ale teraz słońce zaczynało grzać, posiwiała trawa stała się na powrót zielona, ptaki śpiewały, choć kierowca drogiego sportowego samochodu nie mógł ich słyszeć. Traktorek hałasował, zagłuszając odgłosy natury, nie miał bowiem tłumika. Młody człowiek najpierw usiłował ten hałas przekrzyczeć, ale w końcu, porzuciwszy beznadziejne próby nawiązania kontaktu z Czesiem, zaczął rozmowę przez telefon.

— Jadę dwadzieścia na godzinę za jakimś chłopem z gnojem! —

gromko informował niejaką Perłę. — Mam mieszkać na tym zadupiu do Wielkanocy z powodu sesji zdjęciowej, o której ci mówiłem. Na szczęście zamieszkamy z całą ekipą w pałacu, a nie w jakimś zasranym skansenie... O kurde!

Kierowca porsche nagle zahamował, bo w ostatniej chwili zauważył przechodzącą przez drogę szczupłą kobietę ubraną w kraciastą koszulę i dżinsy. Miała długie proste włosy spięte wysoko w kucyk, na nogach gumowe buty i ciągnęła za sobą dwukołowy wózek wypełniony sadzonkami kwiatów i krzewów.

— O mało nie przejechałem jakiejś wieśniary — kontynuował rozmowę coraz bardziej zdenerwowany mężczyzna w oryginalnej, kolorowej marynarce robiącej wrażenie o jeden numer za małej. Zamiast koszuli nosił podkoszulek z głębokim wycięciem, a jego wyszukaną stylizację uzupełniały lniane spodnie i zamszowe mokasyny noszone bez skarpet. Czesio jednak nie mógł docenić gustu kierowcy, bo nawet się nie obejrzał. Ponieważ przybysz z wielkiego świata wciąż przegrywał w starciu z kierowcą traktorka *hand made*, skupił się na rozmowie z Perłą.

— Czy ładna? Żartujesz chyba! Zero klasy i bezguście kompletne. Nie musisz być zazdrosna — przekonywał z zapałem.

Dziewczyna szła obok samochodu, który poruszał się złotym tempem, zmierzyła więc kierowcę od stóp do głów. Napotkał jej wzrok, pomyślał, że twarz ma nawet ładną, ale cała reszta psuje efekt. Widząc jednak wyraz twarzy bez śladu makijażu, ale za to wyrazistej, domyślił się, że słyszała jego opinię wyrażoną, a raczej wykrzyczaną do Perły. Ze sztucznym uśmiechem pomachał jej dłonią, jak świadomy swojego czaru przystojniaczek macha nawet niewydarzonym wielbicielkom, i wrócił do przerwanej rozmowy.

— Pa, słodziaczku, kończę! To monstrum nareszcie skręca!

Czesio zamaszystym i niespodziewanym gestem zastąpił kierunkowskaz, którego jego pojazd nie miał, i wyciągnął lewą rękę. Ostatecznie jednak skręcił w prawo i traktorek powolutku poturlał się w stronę lasu. Samochód ruszył gwałtownie, a Alicja ciągnąca dwukołowy wózek przystanęła, poprawiła dwie zsuwające się rośliny i powiedziała półgłosem:



— Dupek! — A po namyśle dodała: — Dupek i w dodatku celebryta!

Nikt oprócz ptaków jej nie usłyszał.

Czarne porsche zniknęło za zakrętem drogi prowadzącej w stronę pałacu. Słońce świeciło, ptaki ogłaszały, że wiosna wbrew kalendarzowi przyszła już do Stawisk i jednych zauroczyła, innych zmusiła do wywiezienia obornika, a jeszcze innych do przyjazdu na wieś, którą uparcie nazywali zadupiem.



— Alicja podpowiedziała, żeby postawić tutaj domek dla lalek, podobny do tego, który znalazła na zdjęciach przedstawiających dawne wnętrza.

Elegancka, ładna i zadbana recepcjonistka o czarnych, krótko ściętych włosach, pełnych, ale nie wybujałych kształtach, w wieku, który nazywa się zwyczajowo średnim, zagadnęła jednego z gości hotelu U Hrabiny. Hotel ten otwarto w pałacu, który do niedawna dzielnie opierał się postępującej ruinie, aż wreszcie znalazł się bogaty i anonimowy biznesmen, który go odrestaurował i uczynił użytecznym, a może i w przyszłości dochodowym.

Gość przyglądał się ekspozycji prezentowanej w holu, a tymczasem w recepcji dyżur pełniła dyrektorka, Halina Szczęsna, którą wciąż nazywano w Stawiskach panią burmistrz, chociaż od jakiegoś czasu już nią nie była. Zrezygnowała tuż przed wyborami i nie dowiedziała się nigdy, czy byłaby włodarzem jednostki miejsko-gminnej przez trzecią kadencję, czy też stałaby się ofiarą tendencji domagających się zmian. W Stawiskach powtarzano, że nowa miotła lepiej zamiata niezależnie od tego, czy poprzednia radziła sobie dobrze, czy też jej jedyną wadą było to, że już przez lata porządkowała, jak umiała najlepiej, ale zdążyła spowszednieć. Teraz, kiedy od kilku miesięcy rządziła inna ekipa, która na razie zajmowała się głównie rozliczaniem poprzedniej władzy i ogłaszała wszem wobec, że udowodni, pociągnie do odpowiedzialności, powie społeczeństwu całą prawdę, zdemaskuje i napiętnuje — ludzie coraz częściej zachodzili do pałacu, żeby się wyżalić.

— Pani burmistrz, jest gorzej, niż było. W ratuszu jednych zwolnili, zatrudnili swoich, ogłosili audyt, ale trwa już któryś miesiąc z rzędu i nic z niego nie wynika, a robota stoi! Albo raczej leży.

— A głosował pan na Narcyzę Bucior?

— Tak, chociaż coś mnie tknęło, kiedy obejrzałem filmik, który nam pokazywali przed wyborami. Siedziała wtedy na ławce na wzgórzu, z którego widać Stawiska, i mówiła, że tu nie ma nawet na czym siedzieć, bo dotychczasowa władza nie zadbała...

— No cóż...

— I że jako radna zawsze była przeciw, nawet wtedy, kiedy musiała zagłosować „za”.

— Nie chciałabym komentować...

— Ale to jeszcze nic! Najgorsze, że ta farbowana i wytapirowana ruda oczernia panią i mówi...

— Bardzo proszę, panie Stasiu, ciszej... O, nasza ogrodniczka wróciła. I jak?

— Okej, wszystko jest. Można sadzić. Dzień dobry, panie Jerzy. — Alicja zwróciła się do siedzącego w fotelu i przyglądającego się lalkom szczupłego mężczyzny w średnim wieku, ubranego nowocześnie i modnie, który z daleka wyglądał jak młodzieniec, choć młodzieńcem już dawno nie był.

— Witaj. Oglądam właśnie ten pokój. Myślę, że podobny motyw wykorzystam w filmie. Działa na wyobraźnię.

Alicja usiadła naprzeciw Jerzego, który na jej widok podniósł się z fotela, stanął blisko domku dla lalek i wskazując jedno z pomieszczeń, mówił:

— Patrz, miniaturowe życie, miniaturowy salon. On w pozie wyszukanej, sztucznej i wystudiowanej siedzi na brzeжку fotela, a ona w zwiewnej białej sukni gra na pianinie skupiona, wpatrzona w nuty, ale i zapewne świadoma jego obecności. Jeśli go kocha, gra dla niego, a jeśli on ją nudzi, gra dla siebie. Kapelusz, nieodzowny atrybut damy, położyła na okrągłym stoliku przykrytym ręcznie robioną białą serwetą. Za chwilę wejdzie służąca, zajmie się kapeluszem i niedbale rzuconymi obok rękawiczkami...



Jerzy wyglądał nieco inaczej niż na zdjęciach i na plakatach, miał trochę więcej zmarszczek i dużo więcej naturalności. Był powściągliwy, ale nie stwarzał niepotrzebnego dystansu, i choć należał do najbardziej znanych polskich aktorów i reżyserów, chętnie dzielił się swoimi przemyśleniami z Alicją i słuchał jej opinii.

— Zabawki, pacynki, kukiełki mogą mieć niebagatelne znaczenie metaforyczne. Odzwierciedlają nasze życie, które jest teatrem reżyserowanym przez wielkiego mistrza. Różewicz tak pisał o spotkaniu z mimem:

*Jak cicho jest spotkać mima  
jak dobrze że Pan nie mnoży słów  
odbyła się taka piękna pantomima  
wyjęta ze snów dzieciństwa  
Starych artystów dwóch — aktor i poeta —  
spotkało się pod koniec wieku*

Kiwała w zamyśleniu głową, odkąd zaczął cytować wiersz. Widząc to, zrobił teatralną pauzę, a ona oderwała wzrok od okrągłego blatu stolika, spojrzała na niego, weszła w słowo:

*i mówią o zabawkach  
milczą o Człowieku<sup>2</sup>*

Uśmiechnął się.

— Znasz ten tekst?

Skinęła głową.

— Byłam w Muzeum Zabawek w Karpaczu. Różewicz nie lubił gadulstwa, więc to naturalne, że mógł zaprzyjaźnić się z mimem i z nim razem milczeć.

Jerzy Zan strzepnął niewidoczny pyłek z klapy marynarki. Słysząc było brzęczenie muchy, już aktywnej po zimowym nicnierobieniu, irytująco natrętnej, chaotycznej i niezdecydowanej, jaki ostatecznie kierunek wybrać. Nie zwrócił na nią uwagi.

— Szkoda, że takiej rozmowy nigdy nie prowadziłem z moim synem, który profanuje wszystko, co w moim zawodzie jest święte. Dziwne. Należycie do tego samego pokolenia, ale z nim jakoś nie mogę się dogadać. Dwa różne światy, tymczasem mam wrażenie, że ciebie

znam od lat. Kiedy przeczytałem twoją książkę, sądziłem, że jesteś dużo starsza...

— Kiedyś byłem nastolatką, ale to dawne czasy. — Uśmiechnęła się.

— Jesteś dość tajemnicza, a wzmianki na twój temat lakoniczne. Niewiele o sobie mówisz, nie udzielasz wywiadów. Prawdę mówiąc, niełatwo cię znaleźć. Chowasz się przed światem? Masz jakiś powód? Z zasady nie czytuję plotkarskich gazet ani portali internetowych, ale kiedyś zauważyłem przypadkiem wzmiankę, że ty i hrabia...

Nie skomentowała jego słów, bo nagle trzasnęły drzwi i dyrektorka hotelu zaskoczona spojrzała w stronę wejścia, w którym stanął młody człowiek z walizką. Już chciała przystąpić do starannie przez siebie opracowanej procedury związanej z zameldowaniem go w pałacu, kiedy ten, zamiast powiedzieć grzecznie „Dzień dobry, mam rezerwację”, wypalił podniesionym głosem:

— Czy nie moglibyście zadbać o porządne oznakowanie drogi dojazdu? Nie dość, że muszę mieszkać na tym zadupiu i od razu zaliczyłem bliskie spotkanie z tutejszym chłopem transportującym obornik, to jeszcze zwiedziłem pół wsi i chyba ze dwie sąsiednie. Dopiero tutejszy kler zlitował się i ujawnił, że ta kępa starych drzew niedaleko kościoła kryje pałac. Kryje — powtórzył dobitnie — to właściwe słowo.

Jerzy Zan wstał, spojrzał przepaszająco na uprzejmie milczącą Halinę i podszedł do awanturującego się nowego gościa hotelu. Bez cienia serdeczności przywitał się z nim, ignorując zgłaszane przez niego pretensje.

— Dzień dobry, Dawidzie. Czy słyszałeś kiedyś o zasadach dobrego wychowania, kulturze, klasie i wyrobieniu towarzyskim? Chyba nie, sądząc po twoim zachowaniu.

— Co tu robisz? — Młody człowiek był wyraźnie zaskoczony.

— Mieszkam. Musisz to jakoś przeżyć.

— Dlaczego...?

— Nie, nie zrobiłem tego specjalnie — przerwał Jerzy, który starał się być opanowany i spokojny. — Dowiedziałem się przypadkowo dopiero wczoraj, że należysz do ekipy, która ma przyjechać. Inaczej,

wierz mi, wybrałbym inne miejsce, bo chciałem mieć przed świętami kilka dni spokoju, ale skoro tu jesteś, o spokój będzie trudno. A teraz przeproś panie za swoje zachowanie i zamelduj się jak grzeczny i obyty w świecie człowiek, a nie jak zwykły cham.

Coraz wyraźniej wzburzony aktor zaczął iść w stronę wyjścia do ogrodu. Przystanął, odwrócił się i powiedział cicho:

— Uniosłem się, zechcą mi panie wybaczyć, ale dzięki wyczynom mojego syna nie tylko muszę się za niego wstydić, ale także cierpi na tym moja sztuka. Czy wiesz — zwrócił się znów podniesionym głosem do nadal zaskoczonego Dawida — że część widzów zbojkotowała mój ostatni film po tym, jak pozowałeś w majtkach i skrzydłach husarskich? O tym, co zrobiłeś ze znakiem Polski Walczącej, nawet nie wspomnę.

— To ty!?! — Alicja, która stała w holu i przysłuchiwała się, weszła do recepcji.

Dawid poznał ją również, choć wolał się do tego nie przyznawać. Odzyskał już pewność siebie i dawną swobodę.

— Dzień dobry, przepraszam za zamieszanie. — Machnął ręką z udawaną beztróską. — Ojciec czasem gra również w realu. No i jest trochę starej daty. Nieważne! Nazywam się Dawid Zan i mam tu rezerwację.

Halina wzięła z jego rąk dowód osobisty, a Alicja przyglądała mu się z zainteresowaniem.

— To ty miałeś tę niedawną kretyńską sesję zdjęciową, która nas tak zbulwersowała? — domyśliła się.

— Jakich „nas”? — zapytał Dawid zimno i niegrzecznie i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Haliny wypełniającej formularz: — Jeśli to wszystko, poproszę o klucz. Nie jestem przyzwyczajony, żeby obsługa czy też... — zawiesił głos i spojrzał wymownie na Alicję — służba pałacowa komentowała moje artystyczne dokonania, których z wiadomych powodów nie jest w stanie zrozumieć.

— Artystyczne dokonania — mruknęła z pogardą Alicja, wychodząc z recepcji.

— Proszę tu podpisać.

Halina czym prędzej chciała zakończyć nieprzyjemną wymianę zdań, domyślając się, że to dopiero preludium i będzie musiała wznieść

się na wyżyny dyplomacji, żeby hotel, którym kierowała, nie zaliczył już na początku działalności prasowych wzmianek o skandalach. Znała Alicję i wiedziała, że nie odpuści. Zastanawiała się, dlaczego Jerzy aż do dzisiaj nie wspominał o synu. Sądziła, że to zwykła zbieżność nazwisk. A tymczasem w grę wchodziły nie tylko rodzinne powiązania, ale od razu rodzinny konflikt.

— Pięknie — powiedziała na głos, kiedy została sama — czyli dzisiaj mała scysja, jutro zaćmienie Słońca, a potem już będzie tylko gorzej. Tylko za jakie grzechy? Ja się pytam, za jakie grzechy?

— Za nasze, Halinko — roześmiała się Alicja, która wróciła, żeby poprawić coś w domu dla lalek — ale nie bój się, ja sobie z tym niewydarzonym aktorzyną i modelem poradzę.

— Dawid też jest aktorem?

— Tak, i to, prawdę mówiąc, nawet niezłym, ale w głowie mu się przewracało od tej popularności i pręży pierś na tle ścianki albo zalicza kolejne sesje zdjęciowe, zamiast grać, a jeśli gra, to najczęściej w szmirach. O mało przekonujących komentarzach, którymi usiłuje tłumaczyć prowokacyjne zdjęcia, nie wspomnę. Ostatnio na przykład pozował w sypialni z symbolami kojarzącymi się z walką. Wiesz, rękawice bokerskie, skrzydła husarskie i tak dalej. W bieliźnie albo szlafroku, żeby było jasne. Rękawice pał sześć, ale husaria czy Polska Walcząca to już przesada. Napisał na Facebooku, że to pomysł nowatorski, bo mężczyzna idzie do boju, i że jesteśmy strasznie spięci i przewrażliwieni na punkcie patriotyzmu. Powinniśmy wyluzować, a on nikogo nie obraża. Takie różne pseudonowoczesne bzdury.

— Wiedziałaś, że jest synem Jerzego?

— Jasne, ale nie wiedziałam, że tu przyjeżdża. Szykuje nam się niezły Wielki Tydzień.

## **GARNITUR PO NIEBOSZCZYKU**

W saloniku hałaśliwie krzątała się zażywna kobieta w ciemnej sukni. Nazywano ją ochmistrzą pałacu, choć właściwie była i gospodynią, i sprzątaczką, i kucharką — jednym słowem osobą, bez której pałac nie istniał. Od dawna powinna być na emeryturze, ale przed

wojną, jako dziecko, mieszkała z rodzicami w domku dla służby, a potem, kiedy nowa władza wypędziła ostatnich właścicieli Stawisk, przeniosła się do pałacu, w którym najpierw urządzono filię domu dziecka, a kiedy budynek wymagał coraz poważniejszych remontów, pozostawiono go na łaskę kapryśnej pogody, mroźnych zim i niepewnego jutra. Wszyscy się wyprowadzili, oprócz Łucji Śliwkowej, która powiedziała, że hrabina Ludwika Lahenstein przychodzi do niej we śnie.

— Nieboszczka dziedziczka mówi, że jej świętej pamięci małżonek, graf Maksymilian, który, jeśli dobrze pamiętam, palił wonne cygara, życzy sobie, żebym służyła u niego jak kiedyś moja matka i ojciec. I służyć będę. Tak mi dopomóż Bóg! — powtarzała uroczyście, a wobec takiego ślubowania nikt nie odważył się jej stąd ruszyć.



Kiedy Alicja wróciła z Portugalii do rodzinnych Stawisk, Łucja Śliwkowa, spojrzawszy na nią, domyśliła się wszystkiego.

— Mówiłam ci, dziecko, powtarzałam: nie zwracaj sobie głowy hrabią. A już na pewno nie takim, który nie pochodzi stąd i urodził się za granicą.

— Nie mówiła babcia!

— Nie? Jeśli nawet nie powiedziałam, na pewno tak pomyślałam. I miałam rację! Nasi mają żenić się z naszymi. Inaczej same nieszczęścia. Był taki jeden, fornalski syn, który zapatrzył się na córkę hrabiny i nic dobrego z tego nie wyszło. Nic dobrego. Samo zło, ale ja cię tu, dziecinko, odżywię, pomogę stanąć na nogi i poszukam męża.

Od tej rozmowy minął prawie rok i na razie żadnego poważnego kandydata na męża nie znalazła, ale za to skupiła się na odpowiednim odżywianiu. Alicja nadal pozostała szczupła i smukła, chociaż czasem zmuszana była do zjadania solidnych porcji.

Łucja Śliwkowa uważała, że lekiem na wiele dolegliwości cielesnych i prawie wszystkie smutki jest malinowa herbata i dobry obiad. Stary Śliwka, jej świętej pamięci mąż, był chudy jak patyk, chociaż jadł za dwóch, ale Łucja wciąż powtarzała, że umarł biedaczek, ponieważ źle się odżywił i pił za mało herbaty.

W Stawiskach przed laty Alicja zaczęła się zajmować historią arystokratycznych rodów. Jakże mogło być inaczej, skoro tu właśnie aż do końca wojny mieszkała rodzina hrabiów Lahensteinów, których wieś nazywała panami, wielmożnymi dziedzicami albo grafami. Wytrwale zabiegała o to, żeby ktoś zajął się podupadającym pałacem, i była szczęśliwa, kiedy wreszcie znalazł się tajemniczy sponsor. Lubiła to miejsce i niedawno postanowiła, że zamieszka w rodzinnej miejscowości na stałe.

Słuchając babci, której zachowanie, wigor i energia zdawały się przeczyć jej metryce urodzenia, pomyślała, że kobiety w pewnym wieku znają recepty na duchową i fizyczną niemoc. Jak Portugalki o siedmiu spódnicach są silne i potrafią wciąż na nowo zaczynać od początku.

Odkąd wyremontowano pałac, Łucja Śliwkowa odmłodziła i nikt nie ośmielił się nawet wspomnieć o tym, że nie powinna już podejmować nowych wyzwań, lecz żyć spokojniej, wolniej, co rano po mszy poplotkować z sąsiadkami, zdrzemnąć się po południu, a wieczorem posiedzieć na ławeczce i dziergać koniakowskie serwetki, której to sztuki nauczyła się od swojej babci, beskidzkiej góralki.

Stara Śliwkowa nie miała zamiaru skupić się jedynie na szydełkowaniu. Witła wszystkich gości, mówiła, co kucharka powinna ugotować, a często gotowała razem z nią, a dziewczyna, która sprzątała pokoje, bała się jej surowego wzroku i uszczypliwych uwag w rodzaju: „Nasza hrabina i jej małżonek nigdy nie trzymali w swoim pałacu służącej, która nie dość porządnie pracowała, nie ubierała się schludnie i nie żyła cnotliwie”.



Łucja Śliwkowa odsapnęła chwilkę, bo wchodzenie po schodach jednak trochę ją już męczyło, po czym przesunęła fotele, sprawdziła, czy podłoga jest czysta także pod nimi, pokręciła z dezaprobatą głową i gderła półgłosem:

— Poszła do domu... posprząta jutro, powiedziała... zobaczymy... A ten półgłówek Czesio nie może się pokazać na pokojach, bo ma taki prostacki wygląd, że strach. Chociaż... teraz nie to, co dawniej i na pokojach bywają też tacy, co mają prostackie gęby. Świat się kończy.



W radiu dzisiaj mówili, że jest Dzień Wędkarza. Jakiego wędkarza?! Dzisiaj jest przecież świętego Józefa, a on wędkarzem na pewno nie był!

Z hałasem wyjęła wiadro ze schowka w głębi korytarza, potem miotłę i nagle zastygła w bezruchu, bo do saloniku wszedł ktoś, kogo dotąd nie знаła. Zapomniała o wiadrach, miotłach i zajęła się Dawidem. Nie od razu zaproponowała herbatę z malinami. Najpierw uważnie mu się przyjrzała.

— U Wilka i Zająca to kupiłeś, w sklepie koło strażnicy? — dopytywała troskliwie. — Chytry Zając i jego, pożał się Boże, współnik Wilk wciskają ludziom takie cudaczne marynarki w tym swoim second-handzie, czy jak mu tam. I przyciasne to masz, biedaku. Bożeż ty mój! A skarpet ci nie dorzucili czy zapomniałeś ubrać?

Ochmistrzyni oglądała osłupiałego przybysza z każdej strony, odwijając rękawy, sprawdzając, czy można je jakoś przedłużyć, oglądała zaszewki, poklepywała go po plecach i wciąż komentowała:

— Ja ci, dziecko, coś porządnego znajdę, żebyś się nie musiał tu wstydzić. W szafie u siebie mam. Po nieboszczyku mężu coś tam jeszcze się ostało. Jak ci na imię, chłopcze? Jak? Nie umiesz mówić? Dawid? Ładnie! Dawidku, ty sobie tu usiądź, albo najlepiej u mnie w kuchni, póki co, się schowaj, a ja cię doprowadzę do porządku. I włosy by trzeba umyć, bo jakieś śliskie się zrobiły.

— Babciu Łucjo! Tak ma być! To żel! Dawid ma na sobie strój nowoczesny i bardzo drogi. Nie kupił niczego u Wilka i Zająca, raczej u Dolce & Gabbana! — Alicja stała w progu i najpierw usłużnie podpowiedziała, jak „niemowa” ma na imię, a potem udawała, że próbuje ratować sytuację, wyliczając tytuły filmów, w których zagrał Dawid, i informując, że jest znanym modelem.

Łucja Śliwkowa nie wydała się ani trochę zmieszana. Machnęła ręką.

— Nie mam telewizora, to nie wiem, o czym mówisz...

— Jest synem Jerzego — nie poddawała się Alicja.

— Naszego Jerzego? — Łucja wyraźnie się ucieszyła. Jerzego Zana, który od paru dni mieszkał w hotelu, znała bardzo dobrze, wiele razy już częstowała go herbatą z malinami i udzielała zbawiennych rad. Aktor cierpliwie i z rzeczywistym lub udawanym zainteresowaniem

słuchał opowieści o wsi i wciąż nowych odpowiedzi na pytanie, które sama sobie zadawała: „Dlaczego świat schodzi na psy?”.

Łucja na wieść o tak bliskim pokrewieństwie łączącym ulubionego gościa z nieodpowiednio, jej zdaniem, ubranym przybyszem postanowiła zająć się nim szczególnie troskliwie.

— Syneczku, jesteś na pewno miły i grzeczny, jak twój tatuś, więc nie pozwolę, żeby cię tu wzięli na języki. Stój tu, nigdzie się nie ruszaj, a ja idę czegoś dla ciebie poszukać, żebyś wyglądał jak człowiek!

— Ale wiocha — wycedził przez zęby Dawid, którego wyszukanej stylizacji nie doceniono w pałacu zamienionym na hotel. Tego się mimo wszystko nie spodziewał. Spojrzał z niechęcią na ubawioną Alicję.

— Skoro to twoja babcia, może spowodujesz, żeby przestała się kompromitować? Jutro ma przyjechać cała nasza ekipa, więc byłoby dobrze, gdyby starsza pani zajęła się sprzątaniem, a nie naszym wizerunkiem. Od tego mamy specjalistów. Załatw to, bo inaczej...

— Bo inaczej co? — podchwyciła Alicja, stając w drzwiach i uniemożliwiając mu tym samym wymknięcie się do swojego pokoju. — Jeśli będziesz dla niej niemiły, pokażę babci twoje ostatnie zdjęcia. Na razie cię polubiła, ale kiedy zobaczy niejakiego Davida w tych majtkach z husarskimi skrzydłami, o Polsce Walczącej nie wspomnę, będziesz miał tu poligon jak się patrzy. Chcesz wojny, będziesz ją miał, waleczny chłopaku, bohaterze z sypialni! Ale jak znam babcie i jej metody, doradzam pokojowe rozwiązanie.

Stała bardzo blisko, patrzyła mu prosto w oczy z wyraźną drwiną, mówiła półgłosem, spokojnie i powoli. Na koniec odsunęła się i teatralnym gestem wskazała wyjście.

— Ubierz coś bardziej klasycznego, a ja powstrzymam naszą ochmistrzynię przed szukaniem dla ciebie garnituru po nieboszczyku mężu.



„Jeśli wszyscy są tak nieokrzesani i prymitywni, to pobyt tutaj będzie jednym wielkim koszmarem” — napisał późnym wieczorem w liście do Perły. Mail nawet nie wyruszył w drogę do adresatki, bo w pokoju na górze, który mu przydzielono, i tak nie było dostępu do

internetu, nie było zasięgu i tym podobnych zbytków.

„Dobrze, że mają tu chociaż nocną lampkę, a nie lichtarz ze świecą” — pomyślał Dawid, szukając wyłącznika. Wcześniej odłożył ze wstrętem na stylowy stolik książkę, którą wyjął z zabytkowej biblioteki. Książka była zakurzona, pachniała trochę dziwnie, ale po kolacji nudził się, więc przeczytał jeden rozdział. Nawet z niejakim zainteresowaniem. Dotyczył historii pałacu w Stawiskach i hrabiny, która jako dziecko słyszała niesamowite opowieści o dalekiej krewnej, mającej wyjść za włoskiego królewicza Humberta. Ale oto zamiast o ślubie arcyksiążę i jego małżonka musieli myśleć o pogrzebie córki i o stypie, bo Matylda była nieposłuszna ojcu i oddała się zgubnemu nałogowi. Niepomna przestróg, które jej dawał, zapaliła papierosa. Przeraziła się, kiedy ujrzała, że arcyksiążę wszedł do komnaty. Czym prędzej ukryła papierosa, ale natychmiast zajęła się na niej krynolina. Miała zaledwie osiemnaście lat. Cierpiała straszliwie godzinami i skoła następnego dnia rankiem na oczach zrozpaczonej rodziny, której los nie oszczędził, bo nad Habsburgami i tak wisiała klątwa rzucona przez matkę pewnego skazanego na śmierć hrabiego. Matka wezwała niebios a i moce piekielne, by zniszczyły cesarskie szczęście i zmiotły z powierzchni ziemi całe jego plemię. I moce piekielne jej zapewne sprzyjały, bo wkrótce Rudolf popełnił samobójstwo, w płomieniach zginęła siostra Sissi, samą Sissi zamordowano i rozstrzelano Maksymiliana.

Dawid skończył czytać o wszystkich tych historycznych okropieństwach, zgasił światło, chwilę rozmyślał wpatrzony w szarą przedwiosenną noc za pałacowym oknem i w końcu zasnął.



Śniło mu się, że jakaś brzydka, stara hrabina w czarnej krynolinie jedzie traktorkiem opatrzonym tabliczką z napisem CZESIO, wymachuje papierosem wielkości pochodni i chce podpalić jego nową marynarkę od Gucciego. Uciekał co sił w nogach i obudził się zlany potem.

Chwilę siedział na przestronnym łóżu, które stanowiło element wystroju pokoju dla gości, i próbował sobie przypomnieć, kim jest i jak się tu znalazł. Rozejrzał się i zamarł. Przez okno widział światło zbliżające się do majaczącej nieopodal przyzamkowej kaplicy.

— Duch tej baby w krynolinie czy co...? — zastanawiał się na głos.

Zrozumiał, że jako mężczyzna powinien coś zrobić, odchylił okno i usłyszał, jak duch zawołał półgłosem:

— Kacper, głupku, po co tam leziesz? Jutro zobaczymy te trumny, a teraz wracaj, bo ci matka robi z du... znaczy z tyłka jesień średniowiecza!

Światło się zatrzymało, powędrowało powoli w stronę pałacu i zgasło.

Dawid opadł ciężko na poduszki.

## **ZACMIENIE**

Wczesnym rankiem usłyszał ciężkie kroki na schodach. Wyraźnie kierowały się w stronę jego pokoju. Był zdecydowanie niekompletnie ubrany. W porę umknął do łazienki. Zasapana Łucja weszła w tym samym momencie, w którym zapukała do drzwi.

— Panie aktor, niech pan wstanie! Nie ma czasu! — komenderowała, zaglądając pod kołdrę. — Gdzieżeś pan się, u licha, schował?

Odchylił drzwi łazienki, wysunął głowę.

— Dzień dobry — przywitał się uprzejmie. — Czy coś się stało?

— Co za głupie pytanie?! — Podeszła do niego, coraz bardziej zniecierpliwiona. — Po co bym tu szła, jak z rana mam robotę w kuchni?

— Mogę się ubrać? — zapytał grzecznie.

— Musisz! Zaraz trzeba jechać. Ona całą noc płakała, to jej mówię, że nie może teraz kierować autem, jak ma oczy zapuchnięte i cała jest w nerwach! A tu trzeba do adwokata jak najszybciej! On napisał wczoraj, że chce się rozwieść, dupek żołądny! O... przepraszam, ale nie dziwota, że mnie aż nosi. Troje dzieci mają, a ona anioł nie kobieta, to teraz rozwód?! I jeszcze napisał, że to jej wina, bo mu się po tych całych Chlewiskach czy Oborach kazała z domu wynosić!

Łucja przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza, ale nie zrezygnowała z prac porządkowych, które, odkąd weszła, wykonywała odruchowo, metodycznie, choć bez pośpiechu. Posłała łóżko, podniosła z podłogi

otwartą książkę, położyła ją na stylizowanej nocnej szafce, poprawiła krzywo leżącą koniakowską serwetkę. Otworzyła wielką staroświecką szafę, wyjęła z niej koszulę i spodnie i podała je zaskoczonemu Jerzemu Zanowi. Posłusznie wziął wybrane przez nią części garderoby, wysunąwszy ostrożnie z łazienki oprócz głowy także jedną rękę.

— Czy mogę się ogolić? — spytał, rezygnując na razie z ustalenia, kto się z kim rozwodzi i czy dupkiem żołądnym jest jakiś tajemniczy adwokat, do którego, jak zrozumiał, trzeba bladym świtem jechać i z niejasnego powodu padło akurat na niego.

Nawet nie próbował protestować, bo Łucja przezornie oświadczyła, że na pewno z tego wszystkiego dostanie zawału i wyskoczy jej ciśnienie, a Halinka wygląda jak siedem nieszczęść i teraz trzeba, żeby dzieci jej w tym stanie nie zobaczyły, więc ona musi iść zaraz do kuchni i tam je czymś zająć.

— Za dziesięć minut śniadanie podam panu aktorowi, a tego bezbożnika, wiarołomcę i rozpustnika trzeba o żebraczym kiju posłać w świat, co daj Boże! Amen.



Trzasnęły drzwi zamknięte z impetem. Jerzy usiadł w fotelu. Zdążył już się ubrać, w jednej ręce trzymał but i przyglądał mu się uważnie, jakby licząc na to, że coś wyjaśni. Drgnął, bo nagle drzwi gwałtownie się otworzyły. Łucja wsunęła głowę i rzuciła:

— Z tego wszystkiego zapomniałam rzec, że to Halinę musisz zawieźć do pana mecenasa, ale nikomu ani słowa o tym, co ci tu opowiedziałam.

— Nie powiem — zapewnił Jerzy — bo sam i tak nic z tego nie rozumiem.

— A co tu jest do rozumienia? Przecież jasno wszystko wyklarowałam. A nie wierzę, że pan aktor jest głupi jak ten but, co się teraz jemu, nie wiedzieć po co, przygląda. Skarpetki ubrać trzeba najpierw, zanim buty zawdziejesz. A grzebień masz? I jakąś kurtkę albo płaszcz by trzeba, bo zimnawo, choć to niby ku wiośnie idzie. Aha! I Halinie powiedz, żeś sam napraszał się jechać, a nie, że ja kazałam.

Zamknęła drzwi, ale po namyśle znów je otworzyła.

— Psalmista mówi: „Szczęśliwy mąż, który sprawy swe ułoży w sądzie”. Święta racja! Ale tu o żonę, nie o męża idzie, więc my musimy być pierwsi, zanim on sobie ułoży. Teraz rozumiesz, panie aktor? Bo jak nie, to ja...

Przytaknął dla świętego spokoju.



— Będą znaki na niebie i ziemi, jeden to nawet dzisiaj zobaczycie. A dawno temu, ja tego nie pamiętam, ale ludzie mówili, że świeciły aż trzy komety. Innym razem trzy słońca otoczone płomieniem i krwawym kołem. Pokazały się też na niebie dwa ogniste łuki, a na ziemię spadła ognista kula. Przed wojną zaś była luna czerwona jak krew. Tę to sama na własne oczy... A moja babcia zobaczyła na niebie coś takiego, że zaniemówiła i przez dwa dni ani słówkiem się nie odezwała.

— Co zobaczyła? — dopytywał Kacper.

— Był rok tysiąc dziewięćset dziewięć, grudzień, po świętach jakoś, kiedy o piątej rano luna rozgorzała nad Pruchną. Ludzie myśleli, że chałupa czyjaś się pali, ale nie było żadnego ognia. Kto zapatrzył się na tę jasność, nie mógł się ruszyć z miejsca, jakby kto urok na niego rzucił. I mowę stracił, jak moja świętej pamięci babcia. Dopiero po dwóch dniach opowiedziała, że niebiosa się otworzyły i wielkie światło zeszło na ziemię, a miało dziwną, śmiertelną bladość. I to było...

— Czytałem, że jakiś balon spłonął w powietrzu albo mały meteoryt spadł... — wtrącił wysoki chudy chłopak, dużo wyższy wprawdzie od niskiej, przysadzistej ochmistrzyni, ale i tak traktowany przez nią jak mały chłopiec.

— Andrzejku, za młody jesteś, żeby wiedzieć o życiu tyle, co ja wiem, i nie będziesz mi się tu stawiał jak pusty worek na ziemniaczysku — ofuknęła go, zanim zdążył dokończyć. — Zdaje ci się, że wszystkie rozumy zjadłeś, ale dużo ci jeszcze brakuje! Niebo zsyla różne przestrogi. Dzisiaj też zaćmi się Słońce, żeby ludziom na opamiętanie...

— Zobaczcie, jakie Karolina ma wielkie oczy — zauważył triumfalnie Kacper. — Wiadomo: dziewczyna, a dziewczyny się wszystkiego boją — skomentował lekceważąco.

— Nic się złego nie stanie, siostrzyczko. — Andrzej pogłaskał po

głowie dziewczynkę, która siedziała przy stole w kuchni i pracowicie kolorowała obrazek, pochłonięta tym zajęciem, dopóki Łucja Śliwkowa nie zaczęła roztaczać apokaliptycznych wizji. Wtedy oderwała wzrok od kartki i przysłuchiwała się jej z coraz większym przerażeniem. Skoro jednak starszy brat zapewnił, że nie powinna się bać, znów sięgnęła po kredkę. Sukienka, w której jasnowłosa księżniczka zamierzała iść na bal, miała coraz bardziej intensywny różowy kolor.

Karolina też chciała mieć taką sukienkę i wiele innych. Na razie miejscem, gdzie prezentowała ubrania, była głównie szkoła, do której uczęszczała drugi rok, ale planowała z rozmachem. Chciała zostać aktorką albo modelką, więc kiedy mama powiedziała, kto przyjeżdża do hotelu, była podekscytowana perspektywą obserwowania prawdziwej sesji zdjęciowej. Trochę dziwiło ją to, że dwaj starsi bracia nie zamierzali z nią rozmawiać o szczęściarzach, którzy zaczynali na wybiegu, żeby potem znaleźć się na okładce topowego magazynu i zostać ikonami mody.

Synów Haliny Szczęsnej dzieliła spora różnica wieku. Kacper niechętnie zaliczał wciąż jeszcze podstawówkę, podczas gdy Andrzej należał już do studentów matematyki krakowskiego „Ujotu”, ale łączyło ich wiele. Zdarzało się wprawdzie, że darli koty, ale teraz zjednoczyli siły, bo w grę wchodziły prawdziwe skarby, a nie jakieś mrzonki o wybiegach i okładkach.

Nie rozumieli dylematów w rodzaju: „Nie wiem, co na siebie włożyć” i ze zdumieniem odczytali zdobyty przez Kacpra spis przygotowany przez jego koleżanki przed wyjazdem na dwudniową szkolną wycieczkę w góry. Były tam rzeczy dla każdej kobiety nieodzowne, na przykład: korale czarne, komplet bransoletek z kokardką, bluzka długa, róż pudrowy, top biały, turkusowy, śliwkowy; okulary w panterkę, okulary elvisy; szalik w panterkę, opaska na włosy z kwiatkiem, opaska czarna zwykła; szpilki, wsuwki, legginsy czarne, czerwone, białe, niebieskie, w panterkę; odżywka do włosów do spłukiwania, odżywka do włosów bez spłukiwania; jedwab do włosów, eye-liner, trzy błyszczki, ozdoby do paznokci, lakier biały, bezbarwny, czerwony, fioletowy; kolczyki czarne, czerwone, diamenty, koła niebieskie w kwiatki, koła z koralikami.

— Wymiękam — jęknął Andrzej, kiedy brat zapoznał go z przechwyconą dokumentacją. — Połowy słów w ogóle nie rozumiem. Na wycieczkę jedziecie? Aż boję się pomyśleć, co zabrałyby na misję w Afganistanie.

Kacper nie rozumiał też entuzjazmu, z jakim Karolina zbierała przyznawane przez wychowawczynię „supery” za udział w zabawach i grach na lekcjach („Nam za to wpisują uwagi” — stwierdził ponuro), a także pochwały w rodzaju: dobrze, doskonale, fenomenalnie, pięknie, pierwszorzędnie, śpiewająco, cudownie, bajecznie, nadzwyczajnie. On sam należał do uczniów, którzy na pytanie nauczyciela: „Jak miał na imię i skąd pochodził Stanisław ze Szczepanowa?” odpowiadali odruchowo: „Tego nie było w podręczniku!”. Nie wyrywał się do szkoły bez potrzeby, bo uważał, że czasem są ważniejsze zajęcia. Zapowiadane zaćmienie Słońca, które miało nastąpić tego dnia, spowodowało, że poważnie rozważał, czy nie powinien zostać w domu na wypadek, gdyby nauczyciele nie docenili wagi wydarzenia, ale wychowawczyni, pani Grażynka, zapewniła go, że z pewnością docenią.

— Dziecko, schowaj szkło do torby, bo sobie krzywdę zrobisz, a w ogóle po co ci to? — pytała Łucja Śliwkowa, która od lat była ich samozwańczą opiekunką. Nie dowiedziała się, że uczniowie przez przyciemnioną szybkę będą oglądać zaćmienie, bo oto do pałacowej kuchni przybłąkał się Dawid, który tym razem ubrany był gustownie i elegancko, ale dość tradycyjnie. Dla świętego spokoju zrezygnował z jakiegokolwiek próby ułożenia fryzury, a jasne włosy jedynie umył i przeczesał palcami.

— Bardzo dobrze! — z entuzjazmem pochwaliła go Łucja Śliwkowa. — Widzisz, jaki z ciebie przystojny chłopak. Teraz to dopiero widać. Słuchaj moich rad, a dobrze na tym wyjdiesz!

Skrzywił się wyraźnie na te słowa i chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował, bo przemknęło mu przez myśl: „Nie będę się z koniem kopał”, nawet jeśli koń ma postać niedużej starszej pani w rozmiarze XXL, której jedyną, ale jakże skuteczną bronią są słowa. Postanowił słuchać i w miarę możliwości nie komentować. Słuchał więc, udając zainteresowanie.

— Za to, że jesteś taki grzeczny, należy ci się w nagrodę herbatka



z malinami. Zaparzę, a ty siadaj... Nie tu! To święte krzesło nieboszczki hrabiny. Zapamiętaj. Oni już wiedzą, gdzie można przysiąc u mnie w kuchni. Bo widzisz, ja tu sobie gawędzę z moimi przyszywanymi wnukami. Często ich będziesz spotykał u mnie w pałacu, więc się z nimi zapoznaj, Dawidku.

Znów się skrzywił.

— To Karolinka i mały Kacperek.

— Nie jestem mały — zaprotestował ulubieniec ochmistrzyni i uchylił głowę, zanim zdążyła pogłaskać jego niesforną czuprynę.

— A to nasz student, który teraz do Stawisk nieczęsto zagląda — kontynuowała i już chciała przedstawić Dawida dumna, że został jej już wczoraj zaprezentowany, ale Andrzej szybko wstał i podszedł, żeby się przywitać.

— Gratuluję *Skarabeusza*. To znakomity film i świetna kreacja. Byłem pod wrażeniem. Dobrze, że przyjechałem do domu i zostanę do świąt, bo mam okazję pana poznać.

— Mówmy sobie po imieniu — zaproponował aktor mile połączony tym, co usłyszał.

Prawie nikt nie wspominał *Skarabeusza*, a przecież wówczas dał z siebie wszystko. Film był ambitnym przedsięwzięciem docenionym przez prawdziwych koneserów, za to prawie niezauważonym przez tak zwaną szeroką publiczność.

— A my się chyba znamy — zwrócił się do Kacpra. — Czy to ty podjąłeś wczoraj nieudaną próbę nocnego zwiedzania kaplicy?

Kacper wstał gwałtownie i oświadczył, że musi iść do szkoły, bo pani znowu się będzie wściekać. Łucja Śliwkowa bez skutku dopytywała gorączkowo, o co chodzi z nieudaną próbą i dlaczego dziecko w nocy nie spało.

— Dość widzenia! Chyba zostawiłem włączone żelazko — czym prędzej oznajmił Andrzej.

Dawid też w porę zdążył uciec, więc nie dostał się w krzyżowy ogień pytań.



— Przez zaćmienie są niecierpliwi. W taki dzień coś wisi

w powietrzu, już ja swoje wiem — mamrotała, zamykając za nimi drzwi niespokojna, że coś dziwnego musi się niebawem wydarzyć. Ptaki umilkną zdziwione szarością słonecznego dnia, ludzie przystaną i będą popatrywać ciekawie w niebo, ale na tym nie koniec. Była o tym święcie przekonana i miała rację. Zaczynała się wiosna i razem z nią, jak pierwsze wiosenne kwiaty, światło dzienne miały ujrzeć zdarzenia i okoliczności, które dawno już odeszły w zapomnienie. Są tacy, którzy niesłusznie uważają, że przeszłość nie ma znaczenia. Mówią nawet, że po to Pan Bóg dał nam oczy z przodu, a nie z tyłu głowy, żebyśmy patrzyli na to, co będzie, a nie oglądali się na to, co było. Nieprawda. Łucja Śliwkowa doskonale wiedziała, że to nieprawda.

## AMANT

Otworzyła szafę. Wiedziała, że na tę okazję powinna starannie dobrać garderobę, ale dawno jej nie odświeżała pod kątem nowych wyzwań, więc było w niej jeszcze sporo ubrań, których dzisiaj nie powinna w ogóle brać pod uwagę. Ominęła wzrokiem sukienki, bezradnie wzruszyła ramionami, przesuwając wieszaki z bluzkami i tunikami. „Nie, to nie to” — pomyślała. „Już wiem, gdzie może być odpowiedni ciuch!”

Ucieszona tym odkryciem szybko zbiegła po schodach. Dawid będzie tu za pół godziny, powinna się pośpieszyć. Gdyby miała więcej czasu, na pewno odpowiednio by się przygotowała, ale Halina dopiero przed kwadransem zadzwoniła, że trzeba jechać do Zebrzydowic odebrać nowych gości. Sama się wprawdzie zobowiązała, ale zaszły pewne okoliczności. Alicja upierała się, że nie potrzebuje asysty, ale Dawid chciał przywieźć swoje znajome, więc nie było wyjścia. „Skoro tak, wykorzystam nadarzającą się okazję, żeby zrobić na nim i na nich odpowiednie wrażenie” — pomyślała, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze.



— Jak tego dokonałaś? — zapytał z niejakim podziwem, kiedy wsiadała do samochodu. — Wyglądasz jeszcze gorzej niż wczoraj. Masz

jakaś kolekcję ubrań roboczych? I po co takie buty? Jedziesz rozrzucać obornik, który wczoraj przywiózł ten gość na traktorku, czy ze mną na dworzec? W takiej chacie mieszkasz, a spowita tymi szmatami nieokreślonego koloru wyglądasz jak podkuchenna.

— Nie mieszkam — zaprzeczyła. — Sprzątam tu tylko i podlewam kwiatki, bo właściciele wyjechali.

— Muszą być nieźle nadziani. Zanim przyszedł, zdążyłem obejrzeć wypasiony ogród. Ale skoro tu jesteś na robotach, to taka stylizacja nie powinna w zasadzie dziwić, chociaż mogłabyś dzisiaj z niej zrezygnować.

Nie odpowiedziała, tylko zmierzyła go wzrokiem pełnym niechęci.

— Lepiej się nie odzywaj, ambasadorze marki jakiegoś upadającego koncernu piżamowo-bieliznianego. Wolę już eksponować taki strój, niż „być twarzą” majtek i gaci, a przy okazji obrażać porządnych ludzi.

— Potrafisz być piekielnie zjadliwa. Ciekawe czemu? No tak, zapomniałem, że wy tu wszyscy na wsi jesteście bardzo kościółkowi i przesadnie patriotyczni. Chociaż ja bym to raczej nazwał nacjonalizmem. Histerycznym, prawicowym nacjonalizmem. Szeroko pojęta nowoczesna sztuka, do której zaliczam także odważne stylizacje modowe, powinna sprowadzać to przesadne umiłowanie historii na właściwe tory. Nie na kolanach, ale twórczo, czasem z przymrużeniem oka, nawet z żartem... — Dawid wyraźnie zapalał się, wykładając swoją filozofię. Spojrzał na Alicję, wpatrzoną w drogę i sprawiającą wrażenie, że nie zwraca na niego uwagi, pomyślał, że mimo wszystko profil ma bardzo interesujący. Machnął ręką i zakończył: — Żeby nas zrozumieć, trzeba mieć pewne podstawy i mieć też odwagę stanąć w opozycji do utartych schematów, mieć odwagę zweryfikować historię i narazić się tym samym na prymitywne hejty. Mam jednak wrażenie, że wyznajemy inne wartości.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się drwiąco.

— Bardzo mnie to cieszy! Nie mam zamiaru z tobą polemizować, powiem ci tylko, że jesteś dobrym aktorem, ale wolisz grać w jakichś szmirach i brać udział w wątpliwej jakości sesjach zdjęciowych. Dla kasy? Dla zdobycia popularności? Nie wiem, ale jeśli chcesz błyszczeć,

proponuję, żebyś się po prostu posypał brokatem. Ten sam efekt, ale za to mniej się tego będziesz wstydził, kiedy zmądrzejesz. Jedź prosto, skręcisz, kiedy ci powiem.

Milczał chwilę.

— Ada, Nikola i Olga to naprawdę świetne dziewczyny. Wprowadzą na waszą prowincję trochę wielkiego świata, więc może to i owo zrozumiesz — powiedział wreszcie, zmieniając temat.



Zbliżali się do niewielkiego ronda, na które miał właśnie wjechać samochód. Kierowca wyczekiwał i nie od razu włączył się do ruchu, widocznie chciał się upewnić, że jest bezpieczny. Jego zachowanie i wyraźna opieszałość nie były w smak chłopakowi kierującemu oplem corsą, który z całych sił nacisnął klakson, a kiedy ten umilkł, wystawił głowę przez otwarte okno samochodu i wrzasnął:

— Ruchy! Ruchy, stary sklerotyku!

To wyraźnie speszyło kierowcę, który próbował szybko wjechać na rondo, ale samochód zgasł.

— Boże, to przecież biedny pan Antoni! I co ten idiota wyrabia?!  
— Alicja była i współczująca, i oburzona. Szarpnęła klamkę.

— Poczekaj. — Dawid już wysiadał z samochodu.

Tymczasem auto Antoniego zapaliło, młody niecierpliwy kierowca corsy też chciał ruszyć, ale Dawid niedbale oparł się o maskę jego auta.

— Czeka, stary, musimy pogadać.

— A co, ku...

Zapewne usłyszałyby ciąg dalszy, gdy nie fakt, że został rozpoznany. Kierowca i jego partnerka zaniemówili z wrażenia. Ona, o włosach nienaturalnie kruczoczarnych, o czarnych posklejanych rzęsach, oczach otoczonych czarną obwódka, równie nienaturalną jak włosy; ubrana w czarny obcisły trykocik, spod którego wylewał się biust częściowo uwięziony w czerwonym koronkowym staniku, z wrażenia najpierw otworzyła usta jak mała dziewczynka, która się czemuś dziwi, a potem łokciem szturchnęła kierowcę:

— Ty... To jest ten aktor. Luśka mówiła, że przyjechał. Ale jaja! Uprzejmie witamy w Stawiskach — zawołała w stronę Dawida,

równocześnie otwierając szybę. — Może pan mi się tu podpisać na koszulce? Dziewczyny padną z wrażenia, jak im to pokażę.

Amant zachował się tak, jak każdy przyzwoity amant powinien się zachować. Pocałował w rękę czarnulkę i spojrzał jej przeciągle w oczy. Alicja przyglądała mu się z nieco drwiącym uśmiechem, ale kiedy zaczął mówić, po drwinie nie zostało już nawet śladu.

— Znasz tego faceta, którego przed chwilą strąbiłeś? — zwrócił się do kierowcy.

— Jasne! Ogrodnik z pałacu. Jest trochę nie halo! Wiesz, starość nie radość! Musiałem go trochę przebudzić, no nie? — zaśmiał się nieszczercze.

— Nie lubię chamstwa, stary, a to, co zrobiłeś, właśnie tak można nazwać. Mieszkam w hotelu U Hrabiny. Macie u mnie autograf, a nawet fotkę z dedykacją, ale dopiero wtedy, kiedy przeprosisz grzecznie pana Antoniego. Jasne? Życzę miłego dnia! Możecie jechać.

Kiedy chwilę później opuścili rondo, znów zerkał w stronę Alicji i komentował:

— No, nareszcie się uśmiechasz i trzeba przyznać, że do twarzy ci z uśmiechem. Porzuc tę śmiertelną powagę, ciesz się urodą życia. Proponuję więcej kolorów, jakiś spontan, szczypta nowoczesności, odrobina luzu. Wiosna, kochana, nie widzisz? Może zakopiemy topór wojenny i razem z dziewczynami popracujemy nad twoim nowym wizerunkiem. Chcesz? One lubią takie wyzwania. Potem zestawimy zdjęcia „przed” i „po”. To będzie metamorfoza stulecia.

— Po pierwsze — łapy precz od mojego wizerunku. Po drugie — nie jestem twoją ukochaną ani żadną perłą, słodziakiem czy kimś w tym rodzaju. A po trzecie — owszem: światło, barwy, wiosna, ale i zaćmienie Słońca, pamiętaj. I po czwarte — za Antoniego dziękuję. Sam nie potrafi się bronić ani nikomu utrzyć nosa, tak jak ty, ale to bardzo wartościowy człowiek.

— Opowiesz mi o nim?

— To nie twoja bajka. Dotyczy przeszłości, a ty przeszłość sprowadzasz do... — zawahała się — bieliźnianych klimatów.

— Jesteś piekielnie złośliwa — zauważył i roześmiał się. — Lubię takie kobiety z pazurem! A co z naszym toporem? Zakopany? Poznamy

się bliżej — kusił. — Może być przyjemnie, nie uważasz?

— Nie uważam — zgasła jego udawany zapach. — Na mnie nie zrobisz takiego wrażenia, jakie zrobiłeś na tej czarnej lalce wymalowanej od stóp do głów. Wolę poważnych aktorów, takich jak twój ojciec. To, co o tobie piszą...

Spochmurniał. Zamilkł na dłuższą chwilę.

— Niewiele o mnie wiesz. I oni też nie wiedzą. Ale skoro tak, okej, możemy być w stanie wojny.

— Nie zamierzam z tobą walczyć — zapewniła. — Nie walczę z tymi, którzy są mi obojętni. Skręć w lewo. Dojechaliśmy do Zebrzydowic. Za chwilę będziemy na dworcu.



Jerzy słuchał opowieści Haliny z coraz większym zainteresowaniem. Jak się okazało, miał być tego dnia nie tylko jej kierowcą, ale także powiernikiem.

— Na rondzie w prawo — powiedziała niespodziewanie, przypomniawszy sobie, że powinna pełnić funkcję pilota.

— Wiem. Na szczęście byłem już kiedyś w Wiśle, więc mniej więcej znam drogę. Jesteś pewna, że ten adwokat już zdążył przyjechać?

— Rozmawiałam z nim rano. Ma tu rodzinę i zaplanował dłuższy urlop. Jest od dwóch dni. Widać, że płakałam?

Jerzy zaprzeczył, ale Halina i tak zaczęła z uwagą przyglądać się swojemu odbiciu w lusterku. Sięgnęła do torebki po puder. Prawie całą drogę to ona mówiła, a Jerzy słuchał. W końcu zaproponowała, żeby zwracali się do siebie po imieniu, skoro już i tak zwierzała mu się jak egzaltowana nastolatka. Był cierpliwym i uważnym słuchaczem. „Zbiera materiał na łzawy melodramat” — przemknęło jej przez myśl, ale i tak opowiedziała mu wszystko szczegółowo, bo komuś chciała i musiała się wygadać, on zaś nareszcie ułożył w logiczną całość chaotyczne poranne pomstowanie Łucji Śliwkowej. „Dupkiem żołądnym” okazał się Zbyszek, mąż Haliny, który jako właściciel dużej firmy często wyjeżdżał na szkolenia, narady biznesowe, konferencje i spotkania dystrybutorów. Od dłuższego czasu oddalali się od siebie, to prawda. Ona miała swoje absorbujące burmistrzowanie, on z kolei zarządzanie ludźmi, ryzykiem,

projektami, celami i strategią; klasyfikowanie klientów na strategicznych, potencjalnych, stabilnych i aktywnych. Na szczęście dzieci były dość samodzielne, Halina zaradna, a Zbyszek chętnie płacił dochodzącej pomocy domowej, więc życie toczyło się utartym rytmem. Monotonnie, ale poprawnie. Do czasu.

Halina nie zapomni tego dnia już do końca życia. Postanowiła zrobić Zbyszkowi niespodziankę. Wspominał, że w Chlewiskach jest trzydniowe spotkanie dystrybutorów Premium Partners firmy TFI SA, o ile dobrze zapamiętała. Nawet pokazywał jej w internecie piękny pałac Odrowążów i stajnie zaadaptowane na hotel. Obiecał, że się rozejrzy, bo może warto byłoby tam pojechać na majowy weekend. Tknięta jakimś impulsem nie wróciła od razu ze szkolenia dla burmistrzów odbywającego się w Warszawie do domu, ale pojechała do Chlewisk.

Było tam istotnie pięknie. Akurat spadł świeży śnieg. Ostatni tej zimy. Park i pałac zaprezentował się w bajkowej scenerii. Bajka ta jednak nie miała swojego happy endu.

Spłoszona panienka w recepcji wyjaśniła, że pan prezes jest na spotkaniu, które skończy się za dwie godziny.

— Nie szkodzi, poczekam u niego w pokoju. Jestem jego żoną.

Panienka spłoszyła się jeszcze bardziej, bo jak się w końcu okazało, w pokoju była już zameldowana jedna żona.

Obsługa niejedno zapewne widziała, ponieważ na biznesowe spotkania przyjeżdżały także osoby towarzyszące. Dyskretnie nie pytano o nazwiska, nie domagano się okazania dowodu osobistego. Ważne było, żeby w dniu wyjazdu została uiszczona opłata. To wszystko.

Zbyszek powiedział jej później, że zachowała się jak histeryczka i że brakuje jej klasy. Oświadczyła mu, żeby nie wracał na razie do domu, bo i tak go wyrzuci.

Na razie dawała wymijające odpowiedzi dzieciom i liczyła na skruchę męża. Nawet postanowiła mu wybaczyć, ze względu na Karolinę, Kacpra i Andrzeja. Liczyła na świąteczne pojednanie. Zamiast pojednania i skruchy doczekała się listu z propozycją „eleganckiego i kulturalnego” rozwodu. Nadmienił przy okazji, że może otrzymać niemałe alimenty, zostawi jej też dom i samochód. Firmę sam zbudował i rozwinął, więc ją dla siebie zatrzyma.

— Mam gdzieś jego firmę — zapewniła Halina, ale Jerzy radził, żeby powalczyła o swoje i pozwoliła działać mecenasowi, który nie będzie się kierował emocjami. A emocje były spore, bo Halina chyba nadal kochała męża, choć mówiła jedynie o żalu, gniewie, zdradzie, a nawet nienawiści.

Dojechali na miejsce. Z trzaskiem zamknęła puderniczkę i schowała ją do torebki. Założyła ciemne okulary. Kiedy szła na spotkanie z adwokatem, kiedy witała się z nim i rozmawiała, robiła wrażenie pewnej siebie, zadbanej i opanowanej kobiety z klasą.

Jerzy Zan usiadł przy sąsiednim stoliku i patrzył na nią z podziwem. Nie zdawał sobie sprawy, że jego obecność w wiślańskiej kawiarni, a także jego podziw został zauważony i uwieczniony na dyskretne i szybko zrobionych fotografiach.

## **PORTRET FANNY**

W pałacowej sali zwanej myśliwską rozpalono ogień w starym, ale wciąż jeszcze czynnym kominku. Przygotowano także fotele i stoliki dla gości. W półmroku rozświetlonym jedynie pomarańczowym światłem lampek i płomieni łatwiej było rozmyślać, rozmawiać, a nawet flirtować. Dawid przywiózł dziewczyny warte jeśli nie grzechu, to przynajmniej flirtu. Usiadły właśnie, umiejętnie eksponując długie zgrabne nogi, kiedy do sali weszła Alicja. Weszła dosłownie na moment, żeby podać Jerzemu książkę, o którą prosił. Dawid spojrzał na nią i zdumiony nie wierzył własnym oczom. Włosy miała wysoko upięte, ubrana była w dopasowany ciemny żakiet, spod którego wystawała biała bluzka ze staromodnym kołnierzem. Obcisłe spodnie i wysokie buty do jazdy konnej dopełniały całości.

Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, i Dawid zaczął wątpić w jej obecność. To nie mogła być ona, zatem kim była piękna dziewczyna, która wyglądała tak, jakby pochodziła z innego świata i z innej epoki?

Jerzy nie wydawał się zaskoczony jej widokiem. Skinął wprawdzie głową, kiedy odchodziła, ale pogrążony w swoich rozmyślaniach ledwo ją zauważył.





Kończył się dzień, w którym znów zaćmiło się Słońce. Stawiska pograżyły się w cieniu dwukrotnie: kiedy wiosenny dzień nagle zaczął przypominać zmierzch, zaskakując milknące ze zdziwienia ptaki, a także wówczas, kiedy wieczorną porą dokonywano podsumowań, rachunków sumienia, planowano kolejne dni i szykowano się do snu.

— Kiedy w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku doszło do zaćmienia Słońca, byłeś jeszcze dzieckiem i dopytywałeś, dlaczego ptaki przestały śpiewać, czemu w środku dnia jest ponuro i czy zaraz będzie koniec świata. Pamiętam, że uspokajałem cię, a ty mi uwierzyłeś.

— Dogadywaliśmy się wtedy.

— A teraz? Nie możemy spróbować?

Scenę rozmowy z synem Jerzy naszkicował w swojej wyobraźni i tam pozostała. Nie odezwali się do siebie tego wieczoru. Nie znaleźli okazji. Jerzy już chciał wstać i podejść do syna, ale kątem oka zobaczył, że do Dawida przysiadł się Andrzej, więc zaczął czytać *Kroniki Assyżu* Romana Brandstaettera.



— Przyszedłem prosić o azyl. Udawajmy, że jesteśmy zajęci rozmową, bo już dzisiaj mnie moje słodkie rodzeństwo wykończyło. Jeńców nie biorą, a ja czuję się jak absolwent szkoły przetrwania.

— Jestem jednakiem, więc nie ogarniam tego rodzaju problemów, ale azylu ci udzielę.

— Dzięki, jesteś równy gość. Matka jakaś nie w sosie, domyślam się nawet dlaczego, więc muszę się nimi zająć. Młoda chciała zjeść jajuszko lejące (na miękko, gdybyś nie odgadł), a potem zupkę z magią, czyli z przyprawą maggi, jak się domyślasz. Poza tym zadaje setki pytań, na przykład czy myszy potrafią lunatykować. Kacper o nic nie pytał, ale oświadczył, że nie będzie mył zębów, bo mu się rozpuszczą. Potem powiedział Karolinie, że nikt normalny nie ma samych piątek, uśmiechniętych buziek i komentarzy typu: cudownie, wspaniale,

fenomenalnie, więc się rozbeczała. Na pocieszenie przed chwilą lepiłem dla niej Plastusia. Myślałem, że to żadne wyzwanie, ale nie wiesz nawet, jak taka mała kobieta potrafi wybrzydzać. Żaden nie był dość dobry i już nawet rozumiem, że niejaki van Gogh w twórczym szale odciął sobie ucho.

— Sztuka jest wymagająca, sam tego doświadczyłem. Zawsze chciałeś być matematykiem? Nigdy na przykład aktorem?

— Aktorem? — Andrzej pomyślał chwilę. — W przedszkolu grałem w jasełkach pochodnię. Tak powiedziałem mamie, a ona zachodziła w głowę, jakie ma dla mnie zorganizować przebranie. Potem się okazało, że gram przechodnia. Podobno moja kreacja nie przeszła do historii. Inaczej niż rola śpiącego pastuszka rok wcześniej. Byłem tak dobry, że nie mogli mnie dobudzić.

— Lubi spać. — Jak spod ziemi pojawił się Kacper, który uważał za stosowne zabrać głos. Andrzej jęknął z rezygnacją, zwracając się do Dawida:

— Mówiłem, że jeńców nie biorą!

Kacper usiadł na poręczu fotela i niezrażony kontynuował:

— Do tego mówi przez sen. Nauczyłem się na pamięć, bo nadawał po chińsku. — Zamknął oczy i powoli wyrecytował z namysłem: — „Przecięcie nieskończonej ilości zstępujących zbiorów domkniętych”.

Nie zdążyli się zdziwić ani skomentować, bo rozległ się jakiś hałas. Wszyscy obecni w sali myśliwskiej zwrócili się w stronę kominka. Wiszący nad nim portret spadł ze ściany.

— O matko! — pisnęła piękna długowłosa Nikola, przytulając się do zaskoczonego Andrzeja. Odsunął ją delikatnie, ale stanowczo i poszedł zobaczyć, co się stało. Młodszy brat go oczywiście uprzedził i meldował podekscytowany:

— Babcia Łucja mówiła, że coś się stanie. Było zaćmienie i Fanny przyszła. To jej portret spadł!

— Zza grobu przyszła — potwierdziła ochmistrzyni, która jakimś cudem znalazła się akurat w pobliżu. — Duchy nawiedzają żyjących w takim dniu.

Wśród grobowej ciszy rozległ się dramatyczny szept Nikoli:

— Masakra.



Portret, na szczęście nieuszkodzony, wrócił na swoje miejsce. Znow zapanował półmrok rozświetlony jedynie pomarańczowym światłem świec i lampek rozmieszczonych na małych stolikach, a Lucja opowiedziała historię jednej z właścicielek pałacu, kobiety nadzwyczaj urodziwej, która zmarła w tragicznych okolicznościach.

Fanny chciała, żeby ją namalowano w stroju do jazdy konnej szytym specjalnie dla niej w Wiedniu albo w Paryżu: w ciemną suknię, żakiet i cylinder. Podobno taką też widziano ją w Stawiskach po raz ostatni i taką ją pochowano. Z tamtej przejażdżki nie wróciła o własnych siłach. Jakiś chłop przywiózł ją na wozie. Służące lamentowały, zobaczywszy krew, a hrabia bez jednego słowa, przerażony wpatrywał się w wóz stojący pod schodami. Dał znak niani, a ona zabrała dzieci do bawialni. W końcu rozkazał:

— Niech Józef przywiezie doktora.

I jeszcze podobno rzekł:

— Mówiłem, że tak to się skończy.

Następnego dnia chorągiew na pałacowej wieży przewiązana była czarną wstęgą, a wszystkie lustra zasłonięto. Pochowano dziewczynkę w zimnej i wilgotnej krypcie w naszej kaplicy. Podobno dobra to była pani. Taka śliczna, śmiejąca się, jak na tym obrazie. Potem zamurowano wejście do krypty, ale otwarto je dwa lata później, kiedy wnoszono tam trumnę hrabiego. Znow było lato, a w krypcie znowu wilgoć i chłód. Stara hrabina, matka nieboszczyka, miała wtedy rzec:

— Za bardzo ją kochał, nieszczęśnik, a ona nie była tego warta.

Już po pogrzebie Fanny surowa i chuda babka zastąpiła dzieciom matkę, której nie lubiła i nie poważała. Mówiła, że nie zachowuje powagi i nie robi nic, żeby w cnocie, karności i dyscyplinie wychować swoje córki. Portret synowej kazała schować, a dopiero po jej śmierci powieszono go znowu nad kominkiem i wisi tak po dziś dzień, a młoda hrabina przychodzi tu czasem, bo jej tam widać źle w tej krypcie wilgotnej i zimnej. A jak przychodzi, to trzeba wieczne odpoczywanie zmówić za jej duszę. Amen.



Łucja Śliwkowa zostawiła swoich słuchaczy sam na sam z duchem i wyszła do swoich zajęć. Ciszę przerwał Dawid:

— Zanim obraz spadł, weszła tu jakaś kobieta trochę jakby podobna do Fanny. Ładna i też w stroju do konnej jazdy. Myślałem przez chwilę, że to była Alicja, pomocnica ogrodnika, ale to chyba niemożliwe, chociaż...

Andrzej przerwał mu zdziwiony, ale zdziwienie nie miało nic wspólnego z ewentualnym pojawieniem się ducha.

— Pomocnica ogrodnika? — zwrócił się do Dawida. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Wywnioskowałem.

— Wywnioskowałeś — powtórzył wyraźnie ubawiony. — Skoro tak, powiem ci, że wnioskowanie to jedna z podstawowych odmian rozumowania, obok sprawdzania, dowodzenia i wyjaśniania. I nad wnioskowaniem musisz jeszcze popracować. Ale nie martw się, masz mnie. Jutro zawiozę cię do Café Muzeum, a potem sobie znów wywnioskujesz i przekonamy się, jakie osiągniesz efekty. Duchy duchami, ale ja zamierzam się wyspać. Dobranoc.

— Nie zmrużę oka — oznajmiła Nikola, widocznie blada i roztrzęsiona. Tego wieczoru gruba warstwa makijażu rozpaczliwie i bezskutecznie próbowała ukryć jej prawdziwą twarz. Zamiast pewnej siebie, dopracowanej w każdym calu przebojowej modelki portretowi nad kominkiem przyglądała się przerażona dziewczynka.

## **POGRZEB LILI**

Łucja Śliwkowa nie była skora do wzruszeń. Nie miała na nie czasu. Od dziecka pracowała ciężko na gospodarstwie: w polu i w domu. Wciąż miała pełne ręce roboty. Teraz jednak nie krzątała się jak zwykle. Siedziała beczynn timer przyglądała się swoim dłoniom złożonym na podołku. Tak wiele osób, tak wiele zdarzeń i tyle słów odeszło już

w niepamięć, jak choćby to: „podołek”. Młodzi musieliby wpisać je do wyszukiwarki i chwilę później w słowniku przeczytać, że to nic innego, tylko „wgłębienie tworzące się z przodu w spódnicy, w sukni lub w fartuchu przy uniesieniu ich brzegów lub przy siadaniu”. Łucja nie wiedziała, jak działa komputer, ale wiedziała, jak złożyć ręce na podołku, zadumać się, kiwać monotonie głową, potakując swoim myślom i wspomnieniom.

— Tak było, mój Boże, tak właśnie było — mówiła trochę do siebie, a trochę do Alicji, która przyszła, żeby porozmawiać o ogrodniku. — Mam przed oczami i ten ogień, i wołanie o ratunek słyszę, jakby to wczoraj ktoś wołał. Matko Najświętsza, tyle ognia... Dzieckiem małym wtedy byłam, ale wszystko jak żywe stało mi przed oczami...

Widziała tamten świat, którego już dawno nie ma, widziała dzieciństwo ludzi, którzy już albo poumierali, albo zbliżali się do schyłku życia. A wtedy wszystko było przed nimi. Bawili się razem i dorastali razem. Znali panienkę Izabelę. Była śliczna, miała ułożone w rureczki włosy, jak żadna dziewczynka we wsi. Onieśmiała ich, była dobrze ubrana, nie mówiła gwarą. Antoni opowiadał, że widział w pałacu prawdziwy dom i lalki w tym domu tak piękne jak hrabianka i że nawet jego mała siostra, Hania, mogła się nimi bawić, a jedną lalkę dostała w prezencie.

Wszyscy we wsi wiedzieli, że hrabianka Izabela miała dobre serce i uratowała z pożaru jego siostrę. Pożar czworaków zaczął się od pioruna. Burza przyszła nocą. Mieszkańców pałacu obudziły grzmoty i wiatr. Błyskawice trupim światłem rozświetlały niebo. A kiedy na nowo zalegała ciemność, zobaczyli światła świec w oknach na folwarku. Ludzie, którzy tam mieszkali, palili gromnice i zebrali u Boga o ocalenie. A jednak mimo ich błagań tej nocy zaczęło się piekło. Łucja pamięta ogień, kwik zwierząt, lament i płacz, wrzaski rozpacz i bezradności. Piorun uderzył w dach, paliły się chlewy, stajnia, garaże, potem także mieszkania służby.

Hrabia wybiegł z pałacu i razem z innymi próbował ratować konie. Otworzył wrota, zwierzęta wybiegły, a potem jak oszalałe pogalopowały, niektóre na wolność, w stronę lasu, ale były i takie, które wróciły i zginęły w płomieniach.

Izabela była sama w pokoju. Chciała z bliska zobaczyć pożar. Wybiegła na zewnątrz. Kiedy znalazła się w pobliżu czworaków, ujrzała, jak kobieta wyrzuca z płonącego domu poduszkę. W środku było zawinięte dziecko. Widać matka chciała je uratować, może chciała ratować też inne dzieci, dlatego sama nie wyskoczyła. Ogień, którego hrabianka była ciekawa, okazał się niszczycielski i przerażający, ale starczyło jej odwagi, żeby podejść i zabrać płaczące dziecko. Matka Łucji, która służyła w pałacu, zaopiekowała się małą dziewczynką. Dała znać jej rodzinie. Następnego dnia przyszedł po nią Antoś. Lokaj nie chciał go wpuścić:

— Dzieciak jesteś, z folwarku! Umyj się i uporządkuj najpierw! — mówił.

Nie chciał odejść. Stał umorusany, przestraszony. Ukłonił się, kiedy zobaczył hrabinę.

— Ekscelencjo, zlitujcie się! Siostrzyczki małej szukam — zaczął głośno, jakby bojąc się, że każą go wyrzucić. Mówił coraz śmieiej, choć starał się być pokorny: — Kiedy pożar był, maminka ją ratowała. Posłała mnie szukać, bo sama jeszcze bardzo słaba i poparzona. Mówili ludzie, że u was... znaczy u jaśnie państwa jest Hania cała i zdrowa.

— To twoja siostra? — zapytała Izabela, schodząc ze schodów.

Zaczerwienił się, ukłonił powtórnie.

— Moja siostra, hrabianko ekscelencjo. Maminka ją ratowała, wyrzuciła w pierzynie przez okno i ludzie mówili...

— Wzięłam ją do nas, bo płakała.

— Bogu niech będą dzięki. I panience Bóg niech dobrem za dobro odpłaci.

Niezgrabnie podszedł do niej, potknął się. Wziął jej wypielęgnowaną dłoń w swoje brudne dłonie, ukląkł na oba kolana i pocałował. Zmieszła się.

— Nie trzeba. Zabierz siostrzyczkę, ale przychodź tu z nią czasem. Pokażę jej domek dla lalek.

Odtąd co jakiś czas Antoni z siostrą odwiedzał Izabelę. Tam Hania bawiła się lalkami, a on czytał książki, bo to mądry i ciekawy świata był chłopak i dobrze się uczył. Ludzie mówili nawet, że mógłby medykiem albo i nauczycielem zostać, ale nie było pieniędzy na naukę i przyszła

wojna.

Od kiedy zaczęto we wsi mówić, że on i Izabela „mają się ku sobie”, Łucja nie pamięta. Pamięta za to pogrzeb oswojonej wiewiórki, którą przyniósł z lasu i doglądał, bo była słaba i chora. Wyzdrowiała i została na folwarku. Całymi dniami skakała po drzewach, a najbardziej lubiła drzewa obok pałacu. Hania kochała zwierzątko, które do niej wracało na noc, kładło się w pudełku na parapecie okna i zasypiało. Ale jednego razu wiewiórka nie wróciła, a zamiast niej w drzwiach czworaków na Karłowcu stanęła zapłakana Izabela.

— Erwin ją zabił. Umie strzelać. Popisywał się przed kuzynem, że upoluje nawet małe zwinne zwierzątko. — Izabela nie zamierzała usprawiedliwiać brata.

Antoni zwiesił głowę. Nic nie mówił. Na progu stanęła mała Hania. Izabela pokazała martwą wiewiórkę. Płakali razem.

Nazajutrz dzieci postanowiły zwierzątko pochować. Antek był ministrantem, więc wiedział, jak należy zachowywać się na pogrzebie, co mówić i śpiewać. Wykopali grób pod bzem.

— Powiedział coś po łacinie, a my na to zgodnie „Amen” — wspominała Łucja. — Izabela położyła w grobie pudełko, w którym Lili spała, a które teraz już było trumną zwierzątka. Wszyscy lamentowaliśmy, jak przystało na porządny pogrzeb. Była cała nasza klasa, aż żal było patrzeć na rozpacz Hani. Zaśpiewaliśmy „Nad twoim grobem, nasza wiewióreczko”, ale trudno tak było śpiewać i płakać równocześnie. Potem poklękaliśmy i zaczęliśmy *Zdrowaś Maryjo*, a zdawało nam się, że wiewióreczka leci do nieba z aniołkami. Nagle usłyszeliśmy wrzask starej ciotki Suchej: „Jezus Maryjo, Józefie święty! To Najświętszej Panienci wzywacie z powodu jakiegoś zdechłego kocura? Wy smarkacze!”. Chłopcy uciekli. Został tylko Antek, ale ciotka nie ukarała nikogo z nas, bo zobaczyła, że w pogrzebie uczestniczył honorowy gość. Zmieszana ukloniła się: „Witajcie, jaśnie hrabianko ekscelencjo...”. Izabela nie zwracała na nią uwagi, otarła łzy, podeszła do pudełka z wiewiórką i wysypała na nie ziemię, igliwie, małe gałązki, które przyniosła w woreczku z wyhaftowanym herbem. „Nazbierałam pod drzewem, które najbardziej lubiłaś, Lili” — powiedziała poważnie, a ciotka nie tylko nie ośmieliła się nikomu wymierzać sprawiedliwości,

ale też pochlipywała żałośnie razem z uczestnikami ceremonii, którzy nie chcieli albo nie zdążyli uciec przed jej gniewem, zanim na szczęście gdzieś się ulotnił. Na koniec przyszła Stefania Tomalowa, zabrała do domu Antka i Hanię i tak to się wszystko skończyło... Ale teraz i ja muszę kończyć, bo robota czeka.

Łucja wstała, nie była już zamyślona, a wzruszenie i zaduma gdzieś ulotniły. Chwilę później ofuknęła pomocnicę kucharki, która jej zdaniem miała poplamiony fartuch.



— Panienska w żałobie? — współczująco zagadnęła Łucja.

— Skąd? Dlaczego? — zdziwiła się Olga, która niedawno dołączyła do ekipy magazynu „Na Salonach”. W ręku trzymała plakat i rozglądała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby go zawiesić.

Ochmistrzyni skupiła wzrok na jej czarnych jak smoła, długich paznokciach. Zauważyła zaciekawiona, że co drugi ozdobiony jest pomarańczowym zygzakiem. „Racja, gdyby była w żałobie, wszystko miałyby czarne” — domyśliła się. „Skoro nikt jej nie umarł, czemu ma czarną skórzaną kurtkę i równie czarną bluzkę, do tego czarną długą spódnicę i ciężkie buty, jakby wybierała się na Baranią Górę, a nie w stronę Bożej Męki, o którą rano pytała?” Tego wszystkiego Łucja nie mogła pojąć. Cztery kolczyki w uszach też ją dziwiły, ale na razie nie komentowała, bo żal jej było smutnawej i wychudzonej panienski, która mówiła głosem cichym i łagodnym. Wyjaśniła więc tylko, jak dojść do starego krzyża, i już chciała wrócić do pałacu, ale usłyszała pytanie:

— Kocha pani bezbronne stworzenia, zwierzęta na przykład?

Skinęła głową, choć słowo „kocha” trochę ją zaskoczyło. Bez krów, koni, indyków, kotów, psów, kur i wszelkiej innej żywności nie wyobrażała sobie życia, ale żeby zaraz kochać, to chyba nie...

Olga zbyt pochopnie i zdecydowanie niesłusznie uznała, że ma do czynienia z bratnią duszą, i zaciągnęła opierającą się ochmistrzynię na ławkę w parku, tłumacząc jej po drodze, że ma do wykonania pewną misję. Chodzi o uwrażliwienie społeczeństwa na dramatyczną wręcz sytuację bezbronych istot żywych.

— Tutaj jest wszystko napisane — oświadczyła, rozwijając plakat



i czytając na głos i z namaszczeniem pierwsze z zamieszczonych na nim haseł: — „Nie możesz adoptować, stwórz dom tymczasowy”.

Łucja, usłyszawszy to zdanie, ożywiła się:

— O adopcji? To może by ksiądz proboszcz z ambony ogłosił.

— Właśnie — podchwyciła z zapalem nieco nieśmiała i bardzo wrażliwa Olga i wróciła do odczytywania kolejnych haseł instruujących, co należy zrobić, żeby ratować życie biednych i skrzywdzonych. Można było zostać wolontariuszem, przekazać darowiznę, a także uświadamiać i uwrażliwiać społeczeństwo.

Ochmistrzyni potakiwała ze zrozumieniem i współczuciem. Los małych skrzywdzonych dzieci zawsze bardzo ją obchodził. Mój Boże, sama była kiedyś mała i skrzywdzona przez los. Jak dziś pamięta Boże Narodzenie, kiedy nie mieli czego do ust włożyć. Tatkę Niemcy za karę zabili i zabrali wszystko. Mamulka ugotowała cztery ziemniaki, co jej z litości i po kryjomu sąsiadka przyniosła, w sklepie dali trochę wody ze śledzi. Troje dzieci było, dwaj starsi bracia, ona i matka. Usiedli przy stole, jedli ziemniaki, popijali wodą ze śledzi i płakali. Teraz na wspomnienie tamtej biedy znów miała łzy w oczach. Już chciała zaproponować, że sama księdzu kanonikowi plakat zaniesie, żeby go w Niedzielę Palmową do ogłoszeń parafialnych dołączył, kiedy Olga zakończyła:

— I w tym celu wstąp do naszej Grupy Adopcji i Wsparcia Samotnych i Smutnych Terierów Czeskich.

— Czego?! — Łucja gwałtownie wstała. Podniosła leżącą u jej stóp ścierkę, którą wcześniej trzymała na kolanach.

— Terierów Czeskich — powtórzyła trochę zalekniona misjonarka Grupy Adopcji i Wsparcia. — To takie pieski — wyjaśniła.

— Pieski, mówi panienska. Samotne. I smutne. To niech na płocie powiesi. Pójdzie ktoś i sobie sam przeczyta, a ja muszę wracać, bo tyle roboty przed świętami, że nie wiadomo, w co najpierw ręce włożyć.

Olga bezradnie przyglądała się trzymanemu w rękach plakatowi i pomyślała z żalem, że tutejsi mieszkańcy są chyba pozbawieni wrażliwości.

**CAFÉ MUZEUM**

— Po co go tu przywiozłeś? — Alicja była niespokojna i zdenerwowana. — Jak ja mam teraz ogarnąć to spotkanie, skoro mam dwóch bohaterów zamiast jednego? Widzisz, co narobiłeś?

— Chciałem mu pokazać, jaka z ciebie służąca. Myślał, że jesteś pomocnicą ogrodnika.

— I bardzo dobrze! Chciałam, żeby tak myślał! I co teraz?

Andrzej tłumaczył się wprawdzie, ale nie wyglądał na skruszzonego.

— „Mówić prawdę i umieć prawdą żyć to rzecz wielkiej wagi”. Oscar Wilde — zacytował usłużnie.

Dawid najpierw był zaskoczony, kiedy zobaczył nowe oblicze Alicji. Z uznaniem ocenił jej wygląd, diametralnie różny od tego, co dotychczas demonstrowała. Zauważył, że nie tylko profil, ale i figurę ma niezłą. Nad strojem i makijażem trzeba byłoby wprawdzie jeszcze popracować, ale i tak musiał niechętnie przyznać, że źle ją ocenił i że należy niewątpliwie do kobiet o wielu twarzach. Skoro tak, jest nie tylko pyskata i złośliwa, o czym już zdążył się przekonać, ale także nieprzewidywalna, więc tym bardziej niebezpieczna.



Café Muzeum w centrum Cieszyna stanowiło odpowiednie miejsce, dostatecznie historyczne (była to dawna stajnia, którą polecił wybudować hrabia Filip Saint-Genois d'Anneaucourt, a zaprojektował twórca synagogi w Wiedniu i wielu pałaców wiedeńskiej arystokracji), dostatecznie przestronne i dostatecznie reprezentacyjne, żeby organizować tu od czasu do czasu spotkania z artystami, którzy zaszczycili prowincję swoją obecnością. O przyjeździe znanego aktora i reżysera wiadano od dawna, więc przygotowano wszystko jak należy. W świat poszła wiadomość, że liczba miejsc jest ograniczona, że trzeba wcześniej zarezerwować stolik w kawiarni, że patronat medialny obejmie lokalna prasa i że spodziewany jest też przyjazd Telewizji Katowice, a nawet czeskich dziennikarzy nie tylko z Zaolzia. Zainteresowanie było spore, a przecież nie wiadano jeszcze, że na sali będzie także Dawid. Alicja, poproszona wcześniej o poprowadzenie

spotkania, znalazła się w dość niezręcznej sytuacji. Stała właśnie z Jerzym na dziedzińcu Café Muzeum i pytała, czy chciałby mikrofon na statywie, kiedy padło głośne pytanie, zadane także zapewne na użytek stojących z boku dziennikarzy:

— Alicjo! To naprawdę ty? Jestem pod wrażeniem. Cześć, tato! Na pewno nie macie nic przeciwko, żebym sobie cichutko usiadł z boku i posłuchał?

Zaskoczeni nie odpowiedzieli, zresztą Dawid i tak nie usłyszałyby niczego, ponieważ natychmiast zaczęto go fotografować, dopytywać się, zapraszać, zwalniać dla niego stolik, proponować jedną z wykwintnych kaw serwowanych przez stylową kawiarnię albo aromatyzowaną herbatkę i do tego może deserek: magnolia biała albo magnolia czerwona (bo nasze miasto słynie z cudownych magnolii, które niebawem zakwitną), albo może strudel na ciepło i autograf, jeśli można, bo my się tu wszyscy panem zachwycamy.



Dawid rozsiadł się wygodnie, rozdawał uśmiechy, na jakieś nieokreślone „później” zapowiedział autografy i kątem oka obserwował ojca, który już wszedł w nową rolę i nie robił wrażenia zaskoczonego. Zwrócił się tylko cicho do Alicji tonem rozkazującym:

— Zmiana koncepcji. Przygotuj się. Za trzy minuty wchodzimy. To nie będzie teatr jednego aktora. Dostosuj się do nowej sytuacji.

Dokładnie trzy minuty później i ona, i wszyscy, którzy czekali przy stolikach stylowej kawiarni, byli świadkiem prawdziwego *entrée*. To było profesjonalne, zapomniane już przez młodsze pokolenie „wejście” — wejście aktora, wejście artysty, które zmusiło do wyrażenia szacunku przez wszystkich bez wyjątku, nawet Dawida. Alicja wśliznęła się pierwsza, a potem, jakby odmieniony, wyższy, postawny, pewny siebie i swojego talentu, a także (a może nade wszystko) aktorskiego rzemiosła przystanął na progu Jerzy Zan. Z lekka skłonił głowę, nie kokietował nikogo, nie mizdrzył się, ale pewnym krokiem, bez pośpiechu wszedł na salę. Ludzie wstali z miejsc i rozległy się brawa. Wszyscy patrzyli w jego stronę z podziwem. Nawet Dawid, a może zwłaszcza Dawid — bo nie tylko zachował się jak inni, ale także miało się wrażenie, że jest

dumny, szczęśliwy i zadowolony, a może tylko świetnie udaje.

„Kto wie?” — pomyślała Alicja, zerkając w jego stronę, i wtedy przypomniała sobie słowa z książki Agathy Christie. Jej bohater, detektyw Poirot, uważał, że filmy są okropnie nudne, ale aktorzy, którym płacą za oszukiwanie nas — interesujący. Postanowiła, że tym zdaniem rozpocznie rozmowę. Musi tylko najpierw przywitać go i wymienić najważniejsze osoby, oczywiście nie może nie uwzględnić obecności jego syna celebryty.

— Gości dzisiaj w naszym mieście reżyser filmowy i teatralny, profesor sztuki, aktor mający na swoim koncie wiele niezapomnianych ról, laureat prestiżowych nagród... — To wszystko brzmiało pompatycznie, ale musiało zostać wypowiedziane. Słuchając, Jerzy Zan siedział tak, jakby miał pozować do portretu. Założył nogę na nogę, swobodnie wsparł na poręczy krzesła wypiełgnowane dłonie, umiejętnie wyeksponował sygnet na małym palcu. Był ubrany konserwatywnie i bardzo elegancko. Miał na sobie szary garnitur szyty zapewne w Anglii, z włoskiej wełny we wzór kraty księcia Walii. Złożoną na sposób prezydencki jasnoniebieską poszetkę wstawił do brustaszy, a pod szyją zawiązał zgrabnym węzłem windsorskim granatowy krawat. Spod rękawa błękitnej koszuli wyglądał dyskretnie zegarek marki Rolex. Detale i skórzane brązowe buty monki zdawały się potwierdzać opinię wyrażaną w mediach: ten człowiek wiedział, jak się ubrać z klasą, i klasę swoją postawą i zachowaniem demonstrował.

Tymczasem Dawid wydawał się w każdej dziedzinie jego przeciwieństwem. Pozwolił sobie na oryginalną stylizację, wiedząc zapewne, że Łucja Śliwkowa nie przyjedzie dzisiaj do Cieszyna i nie zbeszta go publicznie, więc po porannej nieplanowanej wizycie w kuchni poszedł się przebrać i popracować nad fryzurą.

Wybrał jasnobrązowy szalowy kardigan, nieformalną błękitną koszulę z włoskim kołnierzykiem i szare bawełniane spodnie z wąską nogawką. Na nogach miał wysokie skórzane trzewiki. Był ubrany ze smakiem, ale jego strój nie pasował do charakteru spotkania. Kogoś innego można by oskarżyć o brak znajomości etykiety, ale Dawid doskonale wiedział, jak powinien się ubrać na każdą okazję. Demonstrował swój dystans do sytuacji i nonszalancję niczym rasowy

dandys. Przyjął niedbałą pozę i nie tyle usiadł, ile rozwalił się w fotelu, jakby wysyłając jasny sygnał — jestem facetem, który nie może wtopić się w tłum, jestem uwodzicielski, przystojny, rzucający się w oczy, wyluzowany, a jeśli chodzi o zasady i konwenanse — niczego nie muszę.



Dawid i Jerzy mieli, mimo wielu różnic, wspólną cechę. Należeli do mężczyzn, których sposób bycia i wygląd robił wrażenie. Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, co w najbliższych dniach będzie się działo w Stawiskach i okolicy. Ewelina, która w sklepie spożywczym zawsze sprawnie obsługiwała klientów, dowcipkując przy tym i wypytyjąc o dzieci, zdrowie i urodzaj, na widok Dawida, który wstąpił po butelkę niegazowanej wody, w skupieniu, rozmarzona kroić w nieskończoność żółty ser, starając się to robić z gracją; kasjerka rozsypała cukier z papierowej torebki na cieszyńskie kanapki ze śledziem, a tęga kierowniczką zdyszana przybiegła z magazynu, żeby zawołać, kiedy już zamykał drzwi:

— Zapraszamy ponownie, mamy duży wybór towarów!

Starsi mieszkańcy wsi pamiętali z kolei Jerzego z wielkich ról filmowych, więc jego obecność już spowodowała we wsi wielkie poruszenie. Teraz tłumnie zgromadzonej publiczności objaśniał, czym jest prawdziwa sztuka i co sądzi o młodym pokoleniu tak zwanych aktorów. Prawdę powiedziawszy, większość słuchaczy chciała się raczej dowiedzieć, czy sceny łóżkowe są udawane, czy gra się jak w realu; czy to prawda, co piszą, że ma kochankę w tych stronach i dlatego przyjechał do Stawisk, że nie dogaduje się z synem, a żona przyprawiła mu rogi; gdzie kupuje garnitury; czy naprawdę tak dobrze jeździ konno, czy tylko udaje, i jak wygląda z bliska.

Odpowiedział na pytanie o ulubione lektury, a omawiając je, dodał, że czyta prawdziwe książki, w których wszystko jest prawdziwe, a nie plastikowe i przewidywalne. Oto Tomasz Mann napisał ważne zdanie o tym, że sztuka jest twórczą tęsknotą, a *Tajfun* Conrada to wielka lekcja wyobraźni, że klasyka literatury znana jest młodemu pokoleniu raczej ze słyszenia, i to w zdecydowanie okrojonej wersji.

— Nasze dzieci i wnuki będą kojarzyć nazwiska klasyków z gatunkiem wódki, a *Konrada Wallenroda* z grą komputerową.

W tym momencie słuchacze zaśmiali się, niektórzy półgębkiem i nieco sztucznie, nie bardzo rozumiejąc, o jaką wódkę, grę i o jakich klasyków chodzi. Tymczasem Jerzy Zan zapalił się, kiedy rozmowa zahaczyła o teatr.

— To jest prawdziwa sztuka! — przekonywał z zapałem. — Zapewne bywacie państwo w waszym pięknym teatrze imienia Adama Mickiewicza?

Zawiesił głos i powiódł wzrokiem po sali.

Prawie wszyscy kiwali głowami na znak, że owszem, wiedzą, o co chodzi, i wiedzą, gdzie to jest, a niektórzy nawet bywają tam od czasu do czasu.

— Właśnie! Kondycja narodu, kanon wartości, przeżywanie i odtwarzanie emocji — wszystko to znajduje swój wyraz w tym miejscu, a przynajmniej znajdowało, bo teraz... Byłem kiedyś aktorem permanentnie zajęтым i prawie wszystko, w czym brałem udział, miało jakieś sensowne przesłanie, było z założenia ambitne i wymagało kunsztu, odpowiedniego przygotowania, wielu przemyśleń, wysiłku... A dzisiaj...

Zrobił teatralną pauzę, a Alicja po raz kolejny w myślach nazwała go mistrzem. Nie zadała kolejnego pytania. Słuchała jego opowieści o teatrze.

— Lepiej świat i bohaterów z moich przeżyć, z obserwacji, łączyłem wszystko z zawodową ciekawością, wciąż się uczyłem, podpatrywałem ludzi, ich zachowania. Kiedy wychodzę na scenę, podejmuję wyzwanie, bo niczego nie powtórzę, nie skasuję, nie udoskonalam w kolejnym dublu. Widzowie wychycą każdy fałsz — mówił głośno, z przejęciem. — Aktor nie musi być celebrytą. Aktor powinien służyć, wzbudzić emocje, od beztroskiego humoru po wzruszenie i przerażenie. Oto cała jego misja — dodał ciszej. — I w nagrodę stanie w świetle reflektorów i na koniec ukloni się, usłyszy brawa i zejdzie ze sceny. A potem, w garderobie, zostanie sam. Przed nim butelka wody mineralnej. Spojrzy w lustro, zacznie zmywać makijaż, wracać do rzeczywistości. Tam życie pisze dla nas role, bo

życie to przecież teatr. Czasem ponieważ nas po scenie, zafunduje nagłe zwroty akcji, światła, nawet brawa... Ale potem cisza, półmrok, samotność. A bisy? Bisy bywają w teatrze, a w życiu nieczęsto.

Alicja pomyślała, że jeśli mówiąc te słowa, grał, grał znakomicie, jeśli nie udawał, był wyraźnie wzruszony. Na koniec zapytała o pracę z młodymi aktorami. W tym momencie spojrzął na Dawida i miało się wrażenie, że zapomniał o innych słuchaczach.

— Cóż... Coraz mniej ich rozumiem, jestem nimi rozczarowany, mijam się z ich poglądami. Chcą błyszczeć jak najszybciej, za wszelką cenę. Nie pytają o przesłanie, o wartości, nie dyskutują o kontekstach. Przekazuję im więc techniczne uwagi — jak wejść, wyjść, przerzucić ciężar ciała z lewej nogi na prawą, dyskretnie poprawić zsuwający się kostium, zapiąć rozporek. Tyle. Mogę jeszcze zacytować apel jednego ze znakomitych aktorów i dodać, że ma świętą rację, kiedy prosi swoich studentów: „Nie odważcie się nazwać chałtury koncertem, telenoweli wydarzeniem, sitcomu hitem. Nie udowadniajcie jakości oglądalnością. Uczyńcie, jeśli możecie, teatr swoim losem...”<sup>3</sup>. Ale to jest tylko pobożne życzenie. Większość młodych aktorów do pięt nie dorasta prawdziwym mistrzom.

— A syn? — wyrwało się komuś z widowni.

Nastąpiła cisza.

— Cóż...

Dawid poderwał się z krzesła i podszedł do mikrofonu:

— Ojciec należy do wymagających profesorów, więc nie stawiamy go w niezręcznej sytuacji. Odpowiem za niego. Niełatwo być synem takiego ojca, ale jakoś sobie radzę, prawda?

Publiczność ochoczo przytaknęła. Rozległy się brawa, śmiechy. Dawid uciszył towarzystwo ruchem ręki. Był panem sytuacji. Nie powiedział głośno, że zawsze chciał zaimponować ojcu, że szukał jego akceptacji, ale zamiast niej słyszał krytykę, nawet drwinę. Jeśli już nawet zdarzyła mu się rola w teatrze albo w filmie, którą ojciec zechciał z nim omówić, zawsze zaczynało się od wytykania błędów. „Ten gest był przesadny, zbyt sztucznie i patetycznie zagrałeś scenę kłótni, za to finał powinien wybrzmieć. To ma być wysokie C, a ty niepotrzebnie wyciszyłeś emocje... No, ale ogólnie nieźle, zupełnie nieźle”. Zawsze

tak było. Zawsze „nieźle”, nigdy „dobrze”.

Stał przy mikrofonie w Café Muzeum i wiedział, że tego wszystkiego przecież nie opowie, nie dzisiaj, nie teraz, może kiedyś.

— Korzystając z okazji, zdradzę państwu niektóre drobne sekrety mojego taty. Otóż...

Zrobił dłuższą pauzę. Spojrzał wyczekująco w stronę Jerzego, jakby czekając na jakikolwiek objaw niepokoju czy protestu. Na próżno.

— Otóż — powtórzył — mój ojciec jest bardzo lojalny wobec przyjaciół i kolegów. Zwłaszcza kolegów ze studiów... Poza tym nie lubi owoców morza, w dzieciństwie podobno lunatykował, a kiedy byłem mały, czasem czytał mi bajki. Robił to jednak byle jak, bez odpowiedniej dykcji i intonacji, monotennie, licząc zapewne, że znudzony zasnę. Ale ja byłem uparty, więc najczęściej on pierwszy uderzał w kimono, a ja budziłem go i udawałem, że bardzo chcę się dowiedzieć, jakie było zakończenie.

Wszyscy obecni, łącznie z Jerzym, znów zareagowali śmiechem i Alicja czym prędzej zakończyła spotkanie, zapowiadając, że teraz będzie można zamienić kilka zdań z gośćmi, którym niniejszym serdecznie dziękuje za obecność. Jeśli ktoś był bystrym obserwatorem, zauważył, że wygłosiła tę formułkę z wyraźną ulgą.

## **KREW NA SNIEGU**

Łucja Śliwkowa zwana Śliwkulą i Helena Żyłowa zwana Żyliną wracały do domu. Wielka palma, która jeszcze dzisiaj wieczorem stanie przed ołtarzem w starym kościele Świętego Michała Archaniola, była gotowa. Szykowały wszystko już od dawna, bo trzeba było zrobić kwiaty z bibuły, przygotować gałązki i wstążki, ale i tak zeszło im na robocie parę ładnych godzin. Wiele spraw omówiły, ale nie wszystkie, bo teraz nieśpiesznie szły, pogadując o tym i owym. Kiedy minęły zakręt i przystanęły, żeby trochę odpocząć, zauważyły jakąś grupkę osób skupioną wokół starego krzyża.

— Goście z pałacu — domyśliła się Helena. — Modlą się czy jak?

Podeszły bliżej i niezauważone przysłuchiwały się rozmowie, która, jak się od razu zorientowały, niewiele wspólnego miała



z modlitwą, choć czasem wzywano imienia Matki Boskiej, Chrystusa Pana, a nawet Boga Ojca.

Olga, zasłaniając się pokaźną ilością różnych notatek, tłumaczyła bez większego entuzjazmu koncepcję swojej szefowej:

— Naczelną przyjedzie jutro — mówiła, starając się tym razem robić wrażenie przebojowej i pewnej siebie, choć nie bardzo jej się to udawało.

— Można głośniej? — Boski Zenek obarczony aparatami fotograficznymi był znudzony i demonstracyjnie dłubał butem w mokrej ziemi. — Zaraz znowu zaczniesz lać — dodał nie bez odrobiny satysfakcji.

Zenek, nie wiadomo dlaczego nazywany Boskim, był chudym, wysokim okularnikiem o bujnej czuprynie. Fotografia była jego pasją, ale nie zamęczał nikogo opowieściami o tym, co go interesuje. Był towarzyski, dowcipny, łatwo nawiązywał kontakty, a jego absolutna ignorancja w kwestii mody była tolerowana przez Żanetę Dzikowską, naczelną „Na Salonach”, bo chociaż nosił najczęściej luźne swetry, sprane dzinsy i trekkingowe buty, doskonale wiedział, co to *fashion*, *beauty*, *glamour*, portret, a nawet akt i nagość zakryta. Jego fotografie cechował niepowtarzalny klimat i oryginalny pomysł. Dzisiaj jednak nie miał nastroju.

— Musimy zrobić te zdjęcia — prawie płaczliwie przekonywała Olga. — Pani Żaneta chce je jutro zobaczyć.

— Chryste Panie! Przecież jutro jest niedziela — zauważył ponuro, nie odrywając wzroku od czubka buta utyłanego w błocie.

— Błagam cię! — jęknęła Nikola ubrana w ciemny długi płaszcz i taki sam welon zasłaniający jej włosy i część twarzy. — Zrób te zdjęcia, bo znowu trzeba będzie poprawiać makijaż.

— Ma rację — poparł ją Dawid. — Ma być rustykalnie i polemicznie, więc odważnie łamiemy konwencję. Nie pierwszy raz zresztą. Stań przy krzyżu — zwrócił się do Nikoli, zastępując niemrawą asystentkę naczelnej — albo lepiej usiądź na tej ławeczce, tak żeby było widać to seksowne wdzianko, które masz pod spodem. Ja będę się wspierał na twoich kolanach. Zrobimy taką nowoczesną pietę. Zenek, ty kombinuj, żeby było widać tę moją niby-ranę, zanim się to cholerstwo całkiem rozmaże. I pośpiesz się, bo mi już zimno z tym nagim torse.

Ta harringtonka nie bardzo grzeje.

— O Boże! — wrzasnął nagle i ledwo zdążył rękami osłonić głowę, kiedy padł pierwszy cios, a razem z nim głośne uzasadnienie.

— Ty bezbożniku! — wrzeszczała rozwścieczona Łucja. — To ja cię do mojego pałacu, do mojej hrabiny wpuściłam! Ja cię, jak syna rodzzonego! A ty takie brewerie zamierzasz?!

Nikt nie przypuszczał, że ochmistrzyni ma aż taki arsenał i potencjał bojowy. Jej atak wsparła waleczna, choć mała i niepozorna Helena Żyłowa. Obie kobiety nie były bezbronne, a poza tym działały z zaskoczenia. Łucja okładała torebką i parasolem najpierw Dawida, a potem kogo popadło, a Helena, krzyząc wniebogłosy: „Ludzie! Poganie chcą naszą świętą ziemię splugawić!” — ruszyła do natarcia z pękiem kłujących gałązek, które zostały po zrobieniu palmy.

Towarzystwo rozpierzchło się w popłochu, jedynie Boski Zenek stał nieporuszony, podniósł tylko ręce do góry i zawołał:

— Byłem przeciw. Mam świadków!

Szarża skończyła się tak samo nagle, jak się zaczęła. Łucja niespodziewanie przystanęła, zbladła i wyszeptała: „Będę umierać”, po czym osunęła się w ramiona przerażonego fotografa.

— Mówiłem, kurwa, że to nie był dobry pomysł! Pomóżcie mi! Ona waży ze sto kilo! — wołał z rozpaczą.



— Jesteś z siebie zadowolony? — zapytała Alicja. — Wyczerpałeś już repertuar czy masz jeszcze w zanadru podobnej klasy dowcipasy, jak ten dzisiejszy happening pod krzyżem?

— Co z nią? — chciał wiedzieć Dawid.

Stał wyczekująco pod drzwiami pokoju Łucji Śliwkowej. Lekarka parę minut wcześniej wyszła, nie spojrzawszy nawet na niego.

— To twarda sztuka. Zemdląła, ale już czuje się lepiej. Emocje i stres jej zaszkodziły. Chce cię widzieć, ale błagam, nie wykładaj jej tych swoich chorych teorii, bo znowu będzie to samo.

W tej sytuacji nie mógł nie wejść do mieszkania Łucji Śliwkowej. Otworzył drzwi niepewnie, ostrożnie. Nikt nie zaręczy mu bowiem, że osłabiona wprawdzie, ale nadal w bojowym nastroju na dzień dobry nie

zdzieli go czymś ciężkim. Nie rozumiał i nie akceptował konserwatywnych uprzedzeń, parafiańszczyzny i braku nowoczesności, ale ostatecznie był facetem na poziomie, szanował ludzi starych, chorych, pomagał słabszym i bezbronnym. Chciał być w porządku. Tego wymagała elementarna przyzwoitość. Z Łucją walczyć nie zamierzał i znów kolejny raz, odkąd tu przyjechał, przemknęło mu przez myśl, że nie będzie się z koniem kopał. Będzie się tylko bronił w razie potrzeby.



Siedziała w głębokim fotelu, wyciszona i spokojna. W pokoju panował półmrok.

— Bardzo cię, dziecko, obiłam? — zapytała.

— Ma pani krzepę, trzeba przyznać, ale w porę uciekłem.

Milczeli. Wskazała mu fotel naprzeciwko. Usiadł, czujnie obserwując jej ruchy.

— Należało ci się, to musisz przyznać.

— Należało — przytaknął posłusznie po chwili namysłu. Wolał nie wywoływać wilka z lasu, choć nadal uważał, że padł ofiarą zaściankowych poglądów.

— Ojca kochasz?

Tego pytania się nie spodziewał. Nie odpowiedział, zaskoczony, ale Łucja sama na nie odpowiedziała:

— Kochasz, bo ojcu się szacunek i miłość dzieci należą. Takie jest boże prawo. I ja kochałam swojego. Dobry był, choć milczący i zamknięty w sobie, za to pracowity i uczciwy. Szanowali go tutejsi i z jego głosem się liczyli. Kulawy był, to go na wojnę nie wzięli, ale pomagał swoim, co się po lasach chowali, jak mógł. I Niemcom jeden z naszych o nim powiedział. Ja wiem, kto go wydał, ale zamilczę. Bóg już go osądził, bo dziesięć lat będzie, jak umarł. Taki był hardy. Myślał, że będzie tu sądnemu dniu trąbił, ale też się pominął. I na sądzie stanął, jak wszyscy stanąć musimy prędzej czy później. Co on tam Panu Bogu naopowiadał, nie wiem. Jak się tłumaczył, jego rzecz. Matka mu wybaczyła, to i my wybaczyliśmy. Sąd zaś nad naszym ojcem szybko się odbył tu, na miejscu, bo wojna się kończyła. Parę dni trzymali go w piwnicy na probostwie. Nosiliśmy mu jedzenie, a proboszcz jakoś tak

zawsze tych żandarmów przekonał, że pozwolili nakarmić tatkę. Razu jednego przyszliśmy jak zwykle... — Lucja przerwała, wzruszona widać tamtą sceną, którą miała teraz przed oczami. Po chwili mówiła ciszej, wolniej, jakby sama do siebie: — Stara gospodyni z probostwa płakała, nie mogła powiedzieć ani słowa, pokazała nam tylko ten stary krzyż. Pobiegliśmy tam bez tchu. Pod nim leżał ojciec, twarzą do ziemi, a na śniegu była krew. Nocą do niego strzelili, że niby na śmierć już skazany, to trzeba go zabić, ale nie umarł od razu. Wołał księdza i ktoś go usłyszał. I ksiądz Urbańczyk mówił potem naszej mamulce, że to była spowiedź najpiękniejsza, jaką w życiu słyszał. Nie było w naszym ojcu, Józefie (bo tak mu na chrzcie dano), ani krzty nienawiści, ani grama złości. Dobroć sama. „Pozdrówcie, paterku, żonę i dzieci” — mówił. „Nie żałuję życia, bo umieram za Polskę. A że dziewięć pierwszych piątków odprawiłem, tom wiedział, że bez spowiedzi nie umrę”. Nie mógł dłużej mówić, bo krew ustami się zaczęła wylewać. I tak skołał, a żandarm powiedział, kiedyśmy przy ojcu w tym śniegu klęczeli i płakali, że to był bandyta.

Nastała cisza. Lucja kiwała głową, załzawionymi oczami spoglądała w przeszłość tak odległą, a przecież bliską. Nagle drgnęła, spojrzała na Dawida, jakby przypominając sobie, że nie jest sama. Skinęła na niego. Podszedł, pochylił się, wzięła go za rękę. Mówiła łagodnie, bez gniewu:

— Synku, świata jeszcze nie rozumiesz, boś młody. Ale wiedz, że każdy krzyż jest święty, a ty go chciałeś zhańbić. Wiedz, że ten krzyż jest dla mnie jeszcze świętszy przez to, że mój ojciec pod nim skołał.

— Przepraszam — powiedział i tknięty jakimś odruchem, którego się potem trochę wstydział, pocałował starą kobietę w rękę.



Wyszedł i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Alicja spojrzała na niego badawczo, potem szybko zajrzała do pokoju Lucji.

— Jeśli coś jej zrobiłeś albo powiedziałeś coś głupiego, to ja...

— Możesz być spokojna, ogrodniczko — powiedział trochę drwiąco, żeby pokryć wzruszenie, którego też się trochę wstydział. — Ochmistrzyni to twarda sztuka. Jutro znów będzie nas wszystkich

rozstawiać po kątach.



Nadchodziła noc. W recepcji hotelu dyrektorka dyskretnie ocierała łązy jednorazową chusteczką do nosa. Kolejne leżały przygotowane w szufladzie. Starła się, żeby nikt, kto będzie tędy przechodził, nie zauważył, jak wielkie wrażenie zrobił na niej tekst opublikowany w internecie, a zwłaszcza jego krótki fragment. Informowano fanów, widzów i wielbicieli, że Jerzy Zan i jego syn, Dawid, spędzają pierwsze dni wiosny w Stawiskach na Śląsku Cieszyńskim. Opisywano dzisiejsze spotkanie i wyrażono przypuszczenie, że Halina S. jest kimś więcej niż dobrą znajomą znanego aktora. Nadmieniono też, że za jej kadencji wyremontowany został hotel, którego została dyrektorem.

Poproszono o komentarz jej następczynię, Narcyzę Bucior, która powiedziała: „Etyczno-moralna postawa poprzedniej władzy pozostawia, jak wiadomo, wiele do życzenia i naszym zadaniem jest tę władzę rozliczyć. Z tego miejsca mogę obiecać, że będziemy sprawdzać, co nasi dawni władarze robią teraz i co robili kiedyś”. Dalej zapewniła, że zwykli ludzie mogą spać spokojnie, bo sprawiedliwości stanie się zadość, a jeśli nie wystarczy audyt, powoła się specjalną komisję i wszystkie ciemne sprawy Haliny S. ujrzą światło dzienne, łącznie z jej niemoralnym prowadzeniem się, które od dawna, szczerze mówiąc, podejrzewała.

W zamieszczonym na zakończenie komentarzu przypomniano, że była pani burmistrz jest mężatką i matką dzieciom, a od pewnego czasu inżyniera Zbigniewa S. nie widuje się w naszych stronach. Tymczasem wczoraj widziano i udokumentowano na fotografii, jak Halina S. i Jerzy Z. razem udali się do pewnego znanego adwokata. Czyżby pan mecenas miał pomóc rozwiązać małżeńskie problemy byłej pani burmistrz? I jaki ma z tym wszystkim związek znany aktor przebywający w Stawiskach?

## **PRZEWODNIK IMPREZOWY**

Czesiu Rychły uważnie przeczytał ogłoszenie przymocowane do drzewa pinezką z dużą czerwoną główką. Było napisane odręcznie na

papierze w kratkę: „Przyjmę fizycznego do pracy na hucie w czechach”. Wzruszył ramionami. To go nie interesowało. Znacznie ciekawsza była druga kartka, większa, dopięta do oferty pracy, którą zlekceważył, i to na pewno nie ze względu na rażący błąd ortograficzny. Tamto drugie ogłoszenie, jak przypuszczał, mogło mieć jakiś związek z wczorajszym wydarzeniem w Stawiskach. Niespodziewanie i nie wiadomo po co przyjechał wyelegantowany cudak: niski, „pakowny” (słowo to w języku Czesia oznaczało człowieka tęgawego) i wąsaty. Można byłoby zaryzykować określenie, że jest w średnim wieku, a może średni wiek już przekroczył — tego Czesio nie wiedział, ale dyrektorka hotelu pewnie tak, bo miała w rękach jego dowód osobisty. Z całą pewnością jednak mógł powiedzieć, że ten cudak, który pytając go o drogę, przedstawił się jako Cyprian Herkules Bogacz, antykwariusz i detektyw, nigdy na wsi nie mieszkał. Czesio wiedział, że na wsi ludzie nie mają takich wymyślnych kapeluszy, garniturów i kamizelek, koszul ze stojącym kołnierzykiem, przesadnie wyglancowanych butów i kokardy na szyi zamiast uczciwego krawata. Czesio cudem zapamiętał dziwne słowa, które usłyszał pierwszy raz w życiu.

— Cyprian Herkules... które imię, które nazwisko? — zastanawiał się głośno. — Antykwariusz? Co za licho? A czemu powiedział od razu, że bogacz? Wiadomo, że bywają ludzie majątni, ale żeby się tym na dzień dobry chwalić? Po co? I po co tu przyjechał?

Czesio wrócił do studiowania ogłoszeń, z których jedno mogło stanowić odpowiedź na pytanie, dlaczego do Stawisk niespodziewanie zawitał detektyw. To słowo akurat zrozumiał, bo bardzo lubił kryminały. Filmy, oczywiście, bo za książkami raczej nie przepadał.

— Zginął pyton królewski o długości półtora metra — sylabizował z mozołem.

Czesio Rychły wiedział, że pyton to jakiś wąż. Słyszał też, że zjada myszy i szczury, bo ludzie o tym od paru dni mówili. Gada nikt dotąd nie znalazł, choć posterunkowy chodził z notatnikiem i spisywał różne zeznania, ale to nic nie pomogło. Rozpytywał też o inne sprawy, mianowicie o pierwszy w historii Stawisk, a może i całego kraju przypadek napaści fizycznej i słownej na babcię klozetową w celach rabunkowych. Innych przestępstw, które mogłyby sprowadzić w te

strony bogatego detektywa Cypriana Herkulesa, Czesiu Rychły nie mógł sobie przypomnieć. Owszem, było jeszcze coś, ale to raczej robota nie dla tajnego agenta albo innego śledczego. O chałupie starej Ociepkuli mówili, że jest nawiedzona. Chałupa jest nawiedzona, nie Ociepkula, ale i tak detektyw nic nie mógł poradzić. Takie rzeczy się we wsi zdarzały i zdarzają. Antoni na przykład opowiadał o dziwnej wigilii w domu rodzinnym, do którego wrócił po wojnie. Szukał krzesła dla przybysza, żeby postawić je obok stołu, zanim zacznie się wieczerza. Matka, stara Stefania, zwana też Stefą, powiedziała, żeby wziął z sypialni, tam gdzie stoi choinka. Wszedł, w pokoju było ciemno. Usłyszał wyraźny, choć cichy głos: „Wy jesteście szczęśliwi, a ja?”. Zaskoczony włączył światło. Nikogo nie znalazł, ale w tym pokoju ktoś był. Matka też o tym wiedziała, bo kiedy jej o wszystkim opowiedział, nie zdziwiła się. „To ten nieborak, któregośmy znaleźli na podłodze” — wyznała ze smutkiem, kiwając głową. Okazało się, że ci, których wojna dotąd nie wywiała w świat, uciekali, kiedy zbliżał się front, a kiedy wrócili, dom na Karłowcu wprawdzie stał jak dawniej, ale wtedy, po wojnie, nic już nie było takie jak dawniej. Pochowali żołnierza w niemieckim mundurze, ale wciąż przychodził. Dawał znaki, że zazdrości żyjącym.



Gdyby Czesław Rychły czytał archiwalne numery gazet albo opracowania historyczne, zapewne mógłby dodać jeszcze kolejne przykłady, ale jak wiadomo Czesio starał się unikać czytania. W przeciwnym razie pomyślałby też o dawnych czasach, kiedy to ludzie z samego Cieszyna przyjeżdżali oglądać dom Wojaczków, w którym niespodziewanie spadały kamienie, kawałki cegły i węgla. Wójt, rdzenny Polak o nazwisku Francuz, nieufnie przyglądał się tym dziwom, aż wreszcie zabrał ze sobą dwóch pachołków, którym kazał pilnować służącej. I upilnowali. Raz czy dwa razy w izbie nagle spadł kamień, ale w końcu znaleźli schowany sprytnie w jej fartuchu kawałek węgla i cegły. Odkąd odesłali ją do rodziny, dom nie był już nawiedzony. Zdarzyły się też i inne podobne przypadki. Nawet ksiądz proboszcz z egzorcyzmami się wybierał do prawie obłąkanej ze strachu samotnej Krzywońki, u której o północy coś wyło, brzęczało i buczało

przeraźliwie. Znow pomogli dobrzy ludzie, którzy wysledzili sasiodow uprzykrzajacych zycie nieszczesnej kobiecie.

Wiele podobnych zjawisk wyjasniono, ale byly i takie, ktore do dzisiaj zostaly tajemnica. Nadal nawiedzony byl podobno dom Antoniego. Mieszkal w nim sam, ale i o przeszlosci, i o duchach niechetnie opowiadal. A nawet gdyby opowiedzial, zaden detektyw, nawet bogaty, z nimi nie wygra.

Czesio Rychly postanowil osobiscie przeprowadzic sledztwo i zapytac mieszkancow Stawisk, co sadza o przyjezdzie Cypriana Herkulesa. Dobra byla po temu okazja, bo w przypalacowej kaplicy konczyla sie wlasnie suma. „Idzcie, ofiara spefniona” — zaspiewal proboszcz, poczekal na odpowiedz wiernych: „Bogu niech beda dzienki”, uklakl razem z ministrantami i odszedl od oltarza. Organista zaintonowal stara pieasn, ktora znala zapewne hrabina Ludwika i jej maz Maksymilian, a moze takze jej nieszczesna matka, Fanny, po smiertelnym upadku z konia pochowana w podziemiach kaplicy. Czesn wiernych spiewala: „Szczesliwy, kogo Opatrznosn Boska...”, pozostali zas od razu wyszli, skoro ofiara spefniona, zeby na zewnatrz glonso i z przejeciem probowac odpowiedziec na pytanie zadane przez Czesia Rychlego.



— A jezli grabie liście, to jestem grabarzem? — dopytywal Kacper.

Antoni drgnal wyrwany z zamyslenia.

— Nie.

— To dobrze. Karolina kiedyś mowila mamie, zeby sie nie grzebala, bo mama czesala wlosy grzebieniem. Dlatego pomyslam o grabarzu. A Karolina rano plakala, bo ta glupia Nikola powiedziala, ze ma odstajace uszy. Wtedy ja powiedzialam Nikoli, ze ma krzywy ryj, i mama dala mi szlaban. Ale niesprawiedliwie!

— Kacperku, nie wypada... — Antoni nie zdazył pouczyc malego, jak powinien sie zachowywac, bo nagle na sciezce prowadzacej w strone glownego wejscia do palacu rozleglo sie glonsne:

— Halinka! To naprawde ty?!



Po chwili zdumiona Halina Szczęsna, która dopiero co wysiadła z samochodu, zakomunikowała równie głośno:

— Marysia Dzika!

I nastąpiła krępująca cisza. Po niej nastąpiło wypowiedziane głosem suchym i szorstkim sprostowanie:

— Nic podobnego. Nazywam się Żaneta Dzikowska.

Dawno nie miały okazji się spotkać.

— Jaki świat jest mały — dziwiły się teraz nieco sztucznie wśród naturalnej wiosennej świeżości dnia, uprzejmie nie wnikając, dlaczego wraz z upływem czasu zmienił się nie tylko wygląd dawnej koleżanki ze studiów Marysi Dzikiej, ale także jej nazwisko, a nawet imię.

— Przywiozła tyle par butów, że chyba będzie je zmieniać trzy razy dziennie, i w dodatku chodzić na czworakach — zauważył Andrzej, który pomagał wnosić i rozpakowywać walizki.



Żaneta Dzikowska wyglądała tak, jak powinna wyglądać redaktorka naczelna opiniotwórczego pisma dla kobiet „Na Salonach”. Salon był w tym przypadku pojęciem pojemnym, oznaczał bowiem reprezentacyjne pomieszczenie, w którym przyjmuje się gości w willach i rezydencjach, ekskluzywny sklep, spotkania towarzyskie w elitarnym gronie, wystawę sztuki i ogólnie towarzystwo nowoczesne i na pewnym poziomie. Żaneta pasowała do salonu, a salon do niej. Informowała swoje czytelniczki o rzeczach fundamentalnych. Oto na przykład znana aktorka właśnie wprowadza na rynek nową kolekcję dżinsów, nie wiadomo, kto okradł Beckhama, topowa modelka podobno pije i nie zapina pasów w samochodzie, w stronę pewnej celebrytki ktoś rzucił rolką papieru toaletowego, ale trudno się dziwić, skoro zaśpiewała i ubrała się tak, że trzeba zadać pytanie: „Hit czy kit?”. Zadając to pytanie, Żaneta, rzecz jasna, znała na nie odpowiedź, bo to ona właśnie mówiła kobietom, co jest trendy, kto jest ikoną mody, i przekonywała, że można zakochać się nieodwzajemnioną wprawdzie, ale za to miłością piękną i czystą w butach, które mają wyraźnie zarysowany kształt okrągłego noska, szyk i kobiecość w kuszącej proporcji, smukłą szpilkę, topową platformę łagodzącą wysokość obcasa, minimalistyczny,

a zarazem powabny skórzany wierzch.

Żaneta Dzikowska uważała się za singielkę z wyboru, osobę, która znakomicie czuje się na salonach, ponieważ odpowiednio wygląda, odpowiednio się ubiera i zachowuje. Ilekroć, tak jak teraz, spotykała znajomych, nieodmiennie zagajała rozmowę: „Co u ciebie słyhać, bo u mnie znakomicie...”, albo „Jak się czujesz, bo ja świetnie”.

Jej entuzjizm, energia, nienaganny wygląd, zaangażowanie we wszystko, czego się podejmowała, a nawet pracoholizm spowodowały, że odkąd skończyła studia, zaczęła robić karierę. Jej przebieg zrelacjonowała właśnie oszołomionej nieco Halinie Szczęsnej, która odwdzięczyła się blado na tym tle prezentującą się informacją, że przez dwie kadencje była burmistrzem Stawisk („burmistrzą” — skorygowała z naciskiem Żaneta), a teraz jest dyrektorką (w tym przypadku Halina nie odważyła się już użyć rodzaju męskiego) hotelu U Hrabiny.

— A to nasz ogrodnik. Pamięta czasy dawnych właścicieli. — Halina postanowiła zaprezentować miejsca i ludzi, z których była dumna.

Antoni zdjął czapkę, a Kacper, choć nie został przedstawiony, powiedział grzecznie „Dzień dobry”. Żaneta zwróciła na niego uwagę w sposób, jaki mu najmniej odpowiadał.

— Tak naprawdę dziecko o tej porze powinno być w szkole — pouczyła i nie zwracając uwagi na gniewną ripostę, że jest przecież niedziela, zajęła się Antonim. — Pan w takim wieku jeszcze pracuje? — dziwiła się. — Ma pan siłę?

— Siłę to ja zabezpieczam, nie chwając się, a stary ogrodnik jest od myślenia i mówienia, co trzeba zrobić — poinformował Czesio, który jak zwykle znalazł czas na kilka chwil zadumy i refleksji, które tego dnia miały miejsce na stercie starych desek, i trzymał jeszcze w rękach puszkę z niedopitym piwem, ale zobaczywszy gości, postanowił nie przegapić nadarzającej się okazji. — Słyszałem, że pani jest wielce światowa. Znaczy się, że pani to taki... latający Holender, no... że pani bywa to tu, to tam...

Żaneta Dzikowska na wszelki wypadek nie odniosła się do uproszczonej charakterystyki swojej osoby i czekała, co z niej wyniknie.

— Bo ja chciałem się spytać, czy pani nie masz przy sobie funtów?

Widząc jej zdziwienie, wyjaśnił pośpiesznie:

— Kolano mi trochę napier... znaczy się boli, a jak przykładam złotówki, nie pomaga. Funty podobno lepsze.

Żaneta nie miała funtów, nie słyszała też o ich leczniczych właściwościach. „Proletariat wiejski w najczystszej postaci” — skomentowała w myślach. Nie warto było poświęcać Czesiowi uwagi, ale Antoni jako bywalec salonów hrabiowskich był interesujący, nawet jeśli pojawiał się tam w charakterze służącego. Zwróciła się więc do niego:

— Pan musi się czuć tutaj tak naprawdę szczęśliwy. Jestem ciekawa, co się z panem dzieje, kiedy doświadcza pan codziennego obcowania z naturą, kiedy pan widzi z bliska oszałamiający kalejdoskop pór roku, wirowanie liści i zaślubiny pastelowego poranka z szarym mrokiem nocy, kiedy rozkoszuje się pan tak naprawdę oszałamiającą feerią barw, pulsowaniem światła i promieni słonecznych, kiedy przejmujący ból istnienia zagłusza poczucie...

— Antoni jest taki bardziej niepijący! — Czesio stanął w obronie szanowanego we wsi ogrodnika, z oburzeniem przerywając wywód Żanety Dzikowskiej. — Nie pozwolę, żeby mu pani ubliżała. Ja to co innego, ale nawet jak nabity jestem jak autobus do Istebnej, takie cuda się ze mną nie wyrabiają! Bo jak tylko ze dwa, trzy piwka na co dzień skosztuję, to mógłbym nawet śmigłowiec pilotować.



— Przejdźmy do pałacu, Żaneto. Przedstawię ci pozostałe osoby. Może znasz Cypriana Herkulesa Bogacza?

— Chyba nie sądzisz, że znam kogoś w tej dziurze? — oburzyła się naczelną „Na Salonach”.

Zanim dyrektorka hotelu zapewniła, że Herkules nie mieszka w „tej dziurze” na stałe i zaledwie wczoraj zameldował się w hotelu, zainteresowały ją uchylone drzwi prowadzące do kaplicy. O tej porze już nie odbywały się tam nabożeństwa. Usłyszała dochodzący z wnętrza głos:

— Kobiety bywają jak dekoracje. Są ładne, ale bezużyteczne. Kieruje nimi błędne mniemanie, że jeśli, jak na przykład *mademoiselle*

Nikola, włożą oszalałymi wzorami, wówczas odwrócić naszą uwagę. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby młody człowiek uwolnił się od dokuczliwej obecności... O, *pardon*, witam szanowne panie!

Cyprian Herkules, który z namaszczeniem przemawiał, stojąc na barokowej ambonie ozdobionej płaskorzeźbą przedstawiającą odrażającego wieloryba z wytrzeszczonymi oczami pożerającego nieszczęsnego Jonasza, zauważył Żanetę Dzikowską wchodzącą do kaplicy w towarzystwie Haliny Szczęsnej.

Nie rozumiały dlaczego, nie będąc księdzem, głosi kazanie, dlaczego motywem przewodnim jest dezabil w barbarzyńskie wzory i dlaczego jego kontrowersyjnych wywodów w ciszy i skupieniu słuchają nieliczni wierni siedzący w ostatniej ławce.

— Pozwolą panie, że wyjaśnię...

Cyprian Herkules zdążył już opuścić uprzywilejowane miejsce i tłumaczył, że oto właśnie zainicjował śledztwo, które poprowadzi z pomocą uroczej Alicji, znawczynie dziejów arystokratycznych rodów, uzdolnionego studenta matematyki, Andrzeja, którego miał zaszczyt poznać w Krakowie i dzięki któremu trafił na nowy trop, a także znakomitego aktora — Dawida, który, jak się raczył wyrazić, dołączy do towarzystwa, bo na tym zesłaniu jest nudno jak cholera, a jeśli stworzy się fajny team, może coś się wreszcie zacząć.

— Dobrze zacytowałem? — zapytał Dawida, który z aprobatą przytaknął.

— Śpieszę bowiem wyjaśnić, że na ogół posługuję się innym nieco językiem. Wracając jednak do meritum sprawy, dodam jeszcze, że śledztwo, jak większość spraw, którymi się zajmuję, dotyczy niewyjaśnionych tajemnic z przeszłości. Niczego więcej zdradzić w tej chwili nie mogę, proszę jedynie, żeby szanowne panie, opuszczając to historyczne i przepiękne pomieszczenie, zechciały starannie zamknąć za sobą drzwi.

— Mógł pan jeszcze domagać się, żeby nikomu nie zdradziły naszej kryjówki — dodał Dawid, kiedy drzwi już zostały zamknięte.

— Spoko — wtrącił Andrzej. — Nikola powiedziała, że większość dzisiejszego dnia przeznaczy na „szoping”, bo w niedzielę, zwłaszcza

Palmową, bywają megaokazje. Poza tym w Bielsku umówiła się z frendziarą i będą szukać jakiegoś hipsterskiego lokalu.

— Ależ jesteś sarkastyczny — skomentowała Alicja.

— Sarkastyczny? — bronił się student matematyki. — Raczej poirytowany. Łazi za mną, odkąd ją przywieźliście do hotelu. Nie rozumiem, czemu się na mnie uwzięła. Dawid jest na topie, ale jego się tak nie czepia.

— Przede wszystkim nie jesteś nią zainteresowany, dlatego się uwzięła. Niewiele jeszcze wiesz o kobietach, ale nauczę cię. Poza tym jestem dla niej za stary.

— Ale Nikola zdecydowanie bardziej pasuje do ciebie. Jest głupia jak but... O, przepraszam — zreflektował się.

— Drodzy państwo, mamy dużo ważniejsze sprawy do omówienia, zatem uprzejmie proszę o uwagę! — zabrał głos Cyprian Herkules i przystąpił do przedstawienia zebranych już wcześniej przez niego i Andrzeja informacji na temat skarbów ukrytych w Stawiskach pod koniec wojny.



Dawid czytał monotonnym głosem pytania zamieszczone w „Przewodniku imprezowym”, a przejęta Karolina wybierała najodpowiedniejszą odpowiedź spośród podanych wariantów.

— I dwunaste: W jakim stroju najczęściej można cię spotkać w sobotę?

Ładna dziewczynka o nieco odstających uszach, nad którymi, jakby dla spotęgowania efektu, Łucja zrobiła jej odstające kucyki, wyczekująco i ze skupieniem wpatrywała się w twarz aktora. Odpowiedzi znała na pamięć i wiedziała, które z nich wybrać, żeby ostatecznie okazało się, że jej charakterystyka brzmi następująco: „Nadawałabyś się na modelkę albo projektantkę mody, ponieważ jesteś na bieżąco z najnowszymi trendami, które z zapałem śledzisz”.

— No?

— Przepraszam, zagapiłem się — tłumaczył zrezygnowany Dawid, który wiedział doskonale, że gdzieś na pewno czai się Łucja Śliwkowa gotowa interweniować, gdyby nie był dość miły dla „małej i słodkiej

Karolinki”. Nie czmychnął w porę i dziewczynka dopadła go, kiedy szedł w stronę stajni, beznadziejnie, jak się okazało, licząc na popołudniową konną przejażdżkę.

— Więc jaki strój... co my tu mamy... — Spojrzał do „Przewodnika”. — A) błyszczący top i dżinsy, b) uroczy różowy sweter i spódnica, c) szorty i T-shirt.

— A) — odpowiedziała bez namysłu kandydatka na modelkę.

— Masz parę złotych w portfelu, wydajesz je na: a) rzeczy, z których robisz prezenty dla przyjaciół, b) zorganizowanie dla nich domowego party, c) nową opaskę na włosy.

Karolina kupiłaby opaskę. Dawid z ulgą przeczytał ostatnie polecenie:

— Wskaż słowo, którego inni użyliby, chcąc cię opisać.

Spośród zaproponowanych: „kreatywna”, „modna”, „supergwiazda” właścicielka nieco odstających uszu i bardzo odstających kucyków wybrała po krótkim wahaniu „supergwiazdę”.

Pozostało jeszcze odczytanie charakterystyki i był wolny.



Tymczasem na pałacowym dziedzińcu miała miejsce dość głośna wymiana zdań.

— Dlaczego nocą szliście do kaplicy? Po co sprowadziłeś detektywa? — pytała rozdrażniona Halina.

— Ja? — zdziwił się nieszczerze Andrzej.

— Nie udawaj. Przecież wiem. Cyprian Herkules Bogacz to właściciel antykwariatu w Krakowie i detektyw, który specjalizuje się w śledztwach historycznych. Widziałam wizytówkę, a poza tym sam o tym mówi i w dodatku chwali twoje zaangażowanie. Po co przyjechał?

— Mam tego dość! — zirytował się Andrzej. — Nie możesz nas ciągle monitorować. Jakbyś miała domek dla lalek. „A teraz laleczki zjedzą kolację, laleczki pójdą spać”... Jestem dorosły, a młodego upilnuję, więc spoko luzik. A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, laleczki idą teraz odwiedzić Mieszka.

— Kogo?

— Idziemy do starych dębów. Ten najbardziej leciwy nazywa się

Mieszko, nie wiedziałaś? Pamięta tak dawne czasy, że nawet Łucja Śliwkowa odpada w przedbiegach. A Herkulesa sama zapytaj, po co przyjechał. To żadna tajemnica. Na Allegro kupiliśmy z jego bratankiem, a moim kumplem z grupy mapę Stawisk z czterdziestego piątego. Mówi ci to coś?

— Na Allegro? — Halina była zaskoczona. — Nie miałam pojęcia...

— Tak. Wyobraź sobie, że istnieje, i w dodatku ktoś nam ją po prostu sprzedał za stówę, nie wiedząc chyba, jak może się okazać cenna.

Andrzej rozejrzał się, zauważył brata grzebiącego z zapalem patykiem w świeżo skopanych klombach.

— Kacper! Zostaw to. Idziemy na naradę!

Zrobił parę kroków, odwrócił się i powiedział pojednawczo:

— Jasne, że będę rozważny i ostrożny, mamó. To tylko parę dni. Potem wracam do Krakowa.

— Od razu po świętach masz zajęcia?

— A jak myślisz? Choć wolałbym leżakowanie.

## **KLATWA HRABIEGO**

Narcyza Bucior wyglądała tak, jakby paliła jej się głowa. „To musiał być jakiś piekielnie oryginalny kolor farby do włosów” — pomyślał Jerzy Zan, kiedy się z nią uprzejmie, choć chłodno przywitał w progu gabinetu burmistrza. Zanim wskazała mu fotel i pognała po jakiś poczęstunek, potrącając po drodze stojący przy wejściu wieszak na ubrania, zdążył jeszcze zauważyć jej jedyny w swoim rodzaju strój: wysokie zimowe kozaczki, dość długą wełnianą burą spódnicę w kratkę, bluzkę nieokreślonego koloru i rzucający się w oczy lekki, wyraźnie letni kolorowy szal założony na szyi niczym stuła. Zwiewny, długi i szeroki frunął za nią, kiedy energicznie wchodziła i wychodziła, wciąż coś kompletując, uzupełniając i donosząc.

— Nie ma dzisiaj mojej sekretarki — tłumaczyła — więc muszę sama... Oczywiście kiedy tylko pan zadzwonił, natychmiast postanowiłam się z panem spotkać. Jestem pana wielbicielką i to dla naszego miasta prawdziwy zaszczyt...

Aktor — mistrz słowa — skrzywił się nieznacznie, usłyszawszy wymowę końcówki „ą” w wykonaniu Narcyzy Bucior.

— Czy to obraz Jana Wałacha? — przerwał jej, wskazując górski pejzaż wiszący na ścianie wśród licznych dyplomów, słów uznania i fotografii przedstawiających nowych włodarzy ściskających dłonie ważnych osób, przecinających wstęgi, otrzymujących od dzieci kwiaty, ordery uśmiechu, od sportowców koszulki, a od strażaków miniaturowe sikawki. Tymczasem Wałach — znakomity malarz i rzeźbiarz, który zahaczył o wielki świat, tam studiował i odnosił sukcesy, a potem wrócił w rodzinne strony, gdzie pozostał do śmierci — ze swoją delikatną pastelową akwarelą nie rzucał się w oczy.

— Równie genialny, co skromny — powiedział Jerzy Zan, oglądając z bliska obraz. — Widziałem film dokumentalny pokazujący dziewięćdziesięcioletniego już wówczas artystę. Miał dobry, łagodny i trochę dziecienny uśmiech, robił wrażenie zakłopotanego szumem, który wokół niego robiono, i na pytania odpowiadał: „Nie mam żadnych planów. Maluję sobie”.

— Ta skromność i pokora jest też mojom dewizom. Zasady przede wszystkim! Staram się żyć według najwyższych moralnych standardów — zapewniła pani burmistrz, podsuwając gościowi kieliszek. — Może na początek bruderszafcik, panie Jureczku. W Egipcie majom swoim klątwę faraona, w Turcji swoim klątwę sułtana, a naszym, że tak powiem, klątwę hrabiego przyjezdni leczom miódulom. To lokalna naleweczka.

Pokazała butelkę opatrzoną etykietą z napisem „Beskidzka miódula”, ale gość wymownym gestem zasłonił kieliszek i zmienił ton. Już nie był uprzejmy.

— Doskonale pani wie, co mnie tu sprowadza. Pani wczorajsza wypowiedź była skandaliczna, niesprawiedliwa i krzywdząca. To zwykłe oczernianie ludzi. Miasto nie remontowało hotelu, a Haliny Szczęsnej i mnie nic nie łączy. Życzę sobie, żeby pani w najbliższym czasie przedstawiła dowody potwierdzające, że oskarżenia są prawdziwe, albo oficjalnie przeprosiła Halinę i mnie. Wiem, że dowodów pani nie ma, bo nie istnieją, więc...

Nieco przestraszona i zbita z tropu Narcyza Bucior próbowała



otulić się szalem i zapewniała, że nie o niego przecież chodzi, ale o rozliczenia „z poprzedniom władzom”, że takie informacje otrzymała od urzędników, że jest tutaj od niedawna, możliwe, że to jakaś pomyłka...

— Pomyłka?! — przerwał jej nieudolne tłumaczenia. — Pomyłka może zajść wtedy, kiedy ktoś ubierze skarpetki nie do pary.

Jerzy Zan wstał, z niesmakiem spojrzął na kieliszek, miódulę i właścicielkę osobliwej, włożonej wczesną wiosną, letnio-zimowej kreacji.

— Tymczasem żegnam panią i czekam na sprostowanie. Ma zostać wypowiedziane głośno, wyraźnie i ma je usłyszeć i przeczytać bardzo szeroki krąg odbiorców.

Narcyza Bucior odprowadzała gościa do drzwi, wciąż licząc na ocieplenie stosunków.

— Kto jak kto, ale pan powinien rozumieć ludzi, którzy robiom porządek i rozliczajom poprzedniom ekipę. Z tego, co wiem, jest pan po naszej stronie. Tak pięknie recytował pan na obchodach rocznicy...

— Nie jestem po żadnej stronie — przerwał jej zniecierpliwiony. — Proszę, żeby na przyszłość zechciała pani o tym pamiętać. A jeśli...

Nie dokończył, bo do gabinetu wpadł z impetem ubrany w elegancki garnitur i futro narzucone niedbale na ramiona starszy, przysadzisty i łysawy interesant, który odepchnął Jerzego, z gracją pocałował w rękę panią burmistrz i zwrócił się do niej po polsku i po włosku, narzekając na urząd, który go nie rozumie.

— *È bellissimo!* Ale ja tu widzieć mafia! Polska mafia! — powtarzał.

Za nim wpadła młoda, długonoga dziewczyna w spódniczce, która więcej odsłaniała, niż zasłaniała.

— Jestem jego tłumaczką — wyjaśniła. — Dario chciał u was kupić niemiecką mapę sztabową Stawisk z czterdziestego piątego roku, ale w informacji turystycznej dali mu tylko kolorowe folderki.

Jerzy wyszedł, bo nie interesował go Dario i jego mapa z 1945 roku. Nie dowiedział się więc, że Włoch przyjechał szukać skarbów i razem z Adą, zjawiskową sekretarką, zamieszka w pałacu.



— Po zaćmieniu mamy piękne słońeczko, prawda, Dawidku? Narcyzy, krokusy, fiołki wyłazą z ziemi, takie cudne! I suche badyłe trzeba poobcinać, ziemię skopać, pograbić. Dobrze, że Halinka wezwała Czesia Rychłego do pomocy — komentowała Łucja Śliwkowa, patrząc w stronę krzątającego się obok pałacu mężczyzny.

— Jak się nazywa?! Rychły?! — zdumiał się Dawid, który zdążył już bliżej poznać kierowcę traktorka *hand made* i jego możliwości. — Niemrawy, Ślamazarny — to rozumiem, ale Rychły?! Miałem wątpliwą przyjemność jechać za nim i jego ekstrawaganckim pojazdem i jestem pewien, że ten facet jest przeciwieństwem swojego nazwiska. Za to głowę ma mocną, to mu trzeba przyznać.

— Mówisz jakieś trudne słowa — zniecierpliwiła się Śliwkowa — ale jedno ci powiem. Czesiu nie jest może i do prac różnych wrywny, ale też i swoje już w życiu zrobił. A ostatnio chyba do pieniędzy jakichś przyszedł, bo kupuje i kupuje. Na przykład wczoraj sobie marynareczkę nową zakupił. Trochę lepszą niż te twoje przyciasnawe i więcej światową, bo kolor miała taki bardziej przepiękny. A w zeszłym tygodniu rower i nową przyczepkę do traktorka, uprzednio to nawet psa i od razu budę dla niego. Ludzie zachodzą w głowę, czy nie zamierza się żenić. Jak myślisz?

— Nie mam pojęcia — wzruszył ramionami. Nawet ten ruch dzisiaj sprawiał mu trudności, bo Czesio poprzedniego wieczoru pokonał go po raz kolejny, ale o tym na pewno nie opowie Łucji Śliwkowej. Z różnych powodów wolał się jej nie narażać, więc starał się przezornie nie eksperymentować w dziedzinie ubrań i fryzury, kiedy była w pobliżu. Mimo nieprzyjemnego incydentu pod krzyżem stawał się powoli jej ulubieńcem. Znów zaprosiła go na herbatkę z malinami, którą wypili, siedząc na ławeczce przed bocznym wejściem do pałacu i grzejąc się w promieniach wiosennego słońca.

— Pan Rychły potrzebuje śrubokrętu płaskiego! — wołał przejęty Kacper, który wcześniej rano zapewnił swoją matkę, że nie musi odrabiać zadania domowego, bo w poniedziałek jego klasa jedzie na wycieczkę (nie dodał, że za dwa tygodnie), ale za to koniecznie musi pójść do pani Łucji. Tym sposobem znalazł się w okolicy pałacu, gdzie zawsze,

a zwłaszcza teraz, działo się coś, co było znacznie bardziej interesujące niż na przykład rozwiązywanie zadań o tym, że Błażej ma w skarbonce 74 złote, a Adrian dwa razy mniej. Co go obchodzi Błażej i jego skarbonka? Razem ze starszym bratem mieli ważniejsze rzeczy do roboty, a on zobowiązał się, że będzie tymczasem obserwował teren. Wprawdzie teraz został zaangażowany do drobnych prac przy porządkowaniu klombów, ale nie buntował się, bo w ogrodzie też mogło być coś ciekawego.

Śrubokręt znalazł w końcu w warsztacie, w którym zastał także ogrodnika. Stary Antoni, dowiedziawszy się, o co chodzi, wziął całą skrzynkę z narzędziami i poszedł z odsieczą Rychłemu, który, jak sądził, zapewne próbuje naprawić kosiarkę.

Czesio zdumiony spojrzał najpierw na skrzynkę, potem na Antoniego.

— Po co mi to całe żelastwo? Młodego wysłałem po śrubokręt, bo żem nie miał czym piwa otworzyć — wyjaśnił i dodał, wołając w stronę Jerzego Zana, który głośno opowiadał Alicji o swoim pobycie w ratuszu i spodziewanych oficjalnych przeprosinach: — Jak się głównem człowieka obrzuci, to choćby nie wiem co — smród się za nim ciągnie!

Zaskoczony aktor spojrzał w jego stronę. Czesio tymczasem zdążył już otworzyć butelkę piwa za pomocą śrubokręta płaskiego.



— Zdecydowanie niesalonowy styl, ale trudno się dziwić, skoro mamy do czynienia z grubianinem. Panu to zapewne także bardzo przeszkadza — wyraziła przypuszczenie Żaneta Dzikowska, która od rana znakomicie się prezentowała w czarnym kombinezonie od Valentino odważnie zestawionym z pomarańczowym żakietem.

— Uważam, że jest świetny — powiedział Jerzy Zan, uprzejmie witając się z dziennikarką.

— Też tak sędzę — potwierdziła. — Dziewczyny słusznie się w nim od razu zakochały, bo jest minimalistyczny oraz monochromatyczny, jednym słowem klasyczny, dlatego skradł serca tak wielu różnych kobiet, gwiazd i celebrytek, więc na stałe trafił także do mojej szafy.

— Czesio Rychły?! — zdumiał się aktor.

— Jaki Czesio?! — Teraz i Żaneta była zaskoczona i nieco zmieszana. — Nowy kombinezon od Valentino, który dzisiaj włożyłam. Mówił pan przecież, że jest świetny.

Pełna zakłopotania cisza, jaka zapadła po tych słowach, przerwana została coraz głośniejszym wołaniem:

— Dzień dobry! Dzień dobry! Kłania się „Niezależna Gazeta Miejsko-Gminna”. Czy możemy zadać kilka pytań?

Przez świeżo zagrabiony trawnik wielkimi susami, starając się ominąć kępki narcyzów, nadciągał w kierunku rozmawiających młody chłopak z mikrofonem i dyktafonem w ręku, a także aparatem fotograficznym na ramieniu. Oprócz tych dziennikarskich akcesoriów miał jeszcze solidną zadyszkę, rozpięty płaszcz i włosy w nieładzie.

— Nawet tu nie dają człowiekowi spokoju. — Żaneta Dzikowska już poprawiała fryzurę, zapinała guzik od żakietu i sprawdzała, w jakim stanie są szpilki, nieco sponiewierane podczas nieplanowanej przechadzki wokół pałacu. — Tak naprawdę popularność jednak jest męcząca — żaliła się nieszczercze.

— Michał Michałek.

Dziennikarz lokalnej gazety przedstawił się i równocześnie uklonił, po czym, zignorowawszy zwracającą się w jego stronę naczelną „Na Salonach”, zapytał pomocnika ogrodnika, czy mógłby skomentować wczorajszy incydent.

— Że co? — Czesio nie wiedział, co oznacza słowo incydent.

— Chodzi o to, że dzisiaj rano aktor Dawid Zan zgłosił kradzież samochodu. W każdym bądź razie rozpoczęto intensywne poszukiwania, zwłaszcza ze względu na uszkodzowanego, którego wszyscy w całych Stawiskach, w całej Polsce, w całej Europie, ba, nawet w całym świecie znamy i cenimy. I co się okazało? Fakt autentyczny! Samochód stał w warsztacie niejakiego Pieczonki Leona, miejscowego mechanika, który zeznał w każdym bądź razie, że to pan ze szwagrem Poloczkiem Eugeniuszem w towarzystwie wspomnianego aktora przyholowaliście auto, mówiąc, że zepsuło się na Babilonie.

— Bo się zepsuło.

— Więc dlaczego...

— Dlatego, że jesteśmy dobrzy ludzie, a szwagier, co mieszkał kiedyś na Pustkach, później u teściów na Podkaczoku, teraz się pobudował na Babilonie, no i żeśmy aktorowi pomogli, bo Gienek do mnie zadzwonił, że aktor się został stać na drodze.

— Więc dlaczego...

— Bo mu się auto zepsuło! — Czesio był wyraźnie zniecierpliwiony.

— Ja pytam, w każdym bądź razie, dlaczego nazajutrz rano aktor zgłosił kradzież?

— Bo ma słabą głowę.

— Nie bardzo rozumiem. W każdym bądź razie...

— Boś młody i głupi!

Dziennikarz wyłączył dyktafon.

— Co tu jest do rozumienia — tłumaczył Czesio. — Zapytał, jak ma się odwdzięczyć. Na to my, że swój honor mamy i nie będziemy od takiego gościa, co go w telewizji pokazują, brać zapłaty i żeby się z nami napił jak równy z równym. Słabą głowę ma, nieborak. Miastowy, to nic dziwnego. Szwagier też taki był, ale trenował dużo. No a ten rano się obudził, zobaczył, że auta nie ma, nic nie pamiętał, to i narobił rabanu na cały powiat. Wystarczyło mnie zapytać, tobym zeznał, co i jak, i nie byłoby tego całego...

— Incydentu — odpowiedział usłużnie zawiedziony Michał Michałek, chowając dziennikarski sprzęt do przepastnej torby. — Czyli finalna konkluzja jest taka, że w każdym bądź razie żadnej sensacji nie ma.

— Nie ma?! — szczerze zdziwił się Czesio. — Tu są same sensacje — dodał już ściszym głosem, odprowadzając wzrokiem Jerzego i Żanetę. — Znajdź pan tego detektywa spiskującego z Andrzejem, naszą Alicją i młodym aktorem, co ma słabą głowę. Zapytaj pan o mapę i będziesz miał swoją sensację. Nic więcej nie powiem, bo obiecałem, że będę milczał, to milczę.



— Chodź do salonu. Pooglądasz ze mną telewizor — kusiała Nikola, spotkawszy Andrzeja.

— Telewizor już widziałem — mruknął niechętnie i oznajmił: — Idę do kuchni.

— A! Tu jesteś!?! — zawołała triumfalnie Łucja Śliwkowa. — Trzeba wytrześć dywany.

Miał wrażenie, że znalazł się w potrzasku. Wiedział z doświadczenia, że na dywanach się nie skończy i zacznie się niemiła przedświąteczna harówka. Chcąc odwlec ten nieprzyjemny moment, udał ogromne zainteresowanie tym, co gotowało się w garnku.

— Jak ładnie pachnie! — pochwalił uprzejmie i zapytał: — Co to jest?

— Sos słodko-kwaśny — usłyszał. — Nowy przepis, który mi jedna miastowa paniusia dała. Gotuję na próbę.

— Sos słodko-kwaśny?! Cóż to za głupia nazwa. To tak, jakbym powiedział... — tu na chwilę się zawahał — dziewczyna piękno-brzydka!

— Nie znasz się na gotowaniu ani na dziewczynach! — zawyrokowała kucharka, która pomagała Łucji, choć teoretycznie powinno być odwrotnie. — Ale spróbować możesz.

Andrzej położył talerz na jednej z szafek, ale Halina Szczęsna, która właśnie weszła, zaprotestowała:

— Idź do pokoju! Tu jest taka kuchenna atmosfera. Stermarny garnków, bałagan...

— Okej! — Andrzej nie protestował. — Idę do pokoju! — I dodał jeszcze: — Tam będzie za to pokojowa atmosfera!

Już zaczynał mieć nadzieję, że uda mu się wymknąć, ale usłyszał:

— Pamiętaj o dywanach!

Liczył na dzień spokoju. Na próżno. Rano matka zniecierpliwiona mętными tłumaczeniami synów o postępach prac rzekomo wykonywanych w ogrodzie w ostatnich dniach domagała się pisemnego sprawozdania. Na szczęście zyskali czas do namysłu i zamiast zgodnie z prawdą napisać: „Nie zrobiliśmy prawie nic”, wspólnymi siłami zreagowali dość obszerne sprawozdanie:

Przyniesienie suchych gałęzi.

Przygotowanie gałęzi do spalania.

Próba spalania gałęzi (nieudana).

Przyniesienie gazet i zapalek.  
Ponowna próba spalenia gałęzi  
(tym razem udana).

— Młody, dopóki sprawę dywanów pilotowała Łucja Śliwkowa, można było mieć nadzieję, że uda się jakoś wyśliznąć, ale z mamą nie ma żartów — relacjonował po obiedzie przygnębionemu Kacprowi. Obaj wiedzieli, że Łucję wystarczyło odpowiednio podejść, tak jak zrobili to wczoraj, kiedy chciała im znaleźć jakieś zajęcie.

— To prawda, że pani też była kiedyś aktorką? — zdążył zapytać Kacper, zanim wdała się w szczegóły dotyczące planowanych prac porządkowych z ich udziałem.

— I to jaką! — ożywiła się natychmiast i porzucając niemiły dla obu stron przedmiot dotychczasowej rozmowy, wyjaśniła, że Dawid i Jerzy są może i kształceni, ale na pewno nie widywali takiego teatru, jaki kiedyś bywał w Stawiskach. I nikt żadnych szkół nie potrzebował, a grali jak z nut!

I zaczęła się opowieść o amatorskich przedstawieniach, której Kacper i Andrzej słuchali z rozbawieniem, ciesząc się w duchu, że tymczasem w siną dal odchodzą plany zaangażowania ich do znienawidzonych prac domowych.

— O Madeju opowiem, chcecie?

Przytaknęli skwapliwie. Jasne, że chcieli! Marzyli o Madejowej historii.

Łucja najpierw powtórzyła często i przy różnych okazjach wypowiedaną opinię, że kiedyś młodzi byli inni, lepsi niż teraz, i opisała barwnie i ze szczegółami jeden z wieczorów w remizie strażackiej, który miał być na to dowodem.

Co roku wystawiali jasełka, czasem z żywym Jezuskiem, który darł się wniebogłosy, a Matka Boska, której rolę najczęściej odgrywała Łucja Świderkówna z domu, dziewczyna o wyjątkowej urodzie, próbowała go uspokoić, inni aktorzy zaś przekrzyczeć.

Kacper upewnił się, że „Łucja Świderkówna z domu” to nikt inny tylko Łucja Śliwkowa i że to ona jest nazwana dziewczyną o wyjątkowej urodzie.

— Byłam kiedyś młoda — zapewniła go i powróciła do przerwanej

opowieści o aktorach ze Stawisk.

Męskie główne role zawsze otrzymywał Józef Kisiała, którego zwano we wsi Monarchą albo Patriarchą. Pożyczał sutannę od księdza. Sutanna zdawała się strojem dostojnym, który widzom bardzo się podobał i dlatego nie można się było bez niej obejść. Kisiała, który też nosił w kościele sztandar, godnie się prezentował, mówił głośno i z namaszczeniem, chodził wolnym krokiem i był bardzo urodziwym wysokim blondynem. Teraz też miał wystąpić w tradycyjnym stroju i czekał już za kulisami. Ksiądz proboszcz zapowiedział, że za chwilę przed publicznością odegrana zostanie wielce pouczająca i straszna historia o grzesznym zbójniku, którego dobry anioł i pobożny zakonnik sprowadzili na dobrą drogę, a nosi ona tytuł „Pałka Madeja”. Cudnego anioła przedstawi Łucja Świderkówna; zakonnika, wielce uczonego w piśmie, a przy tym rozmodlonego i Bogu miłego, odegra Kisiała Józef. Rozległy się brawa, choć widzowie mieli jeszcze usłyszeć, jakie są nazwiska innych aktorów. Ksiądz uciszył zebranych i dodał, że będzie też zły, a potem dobry zbój Madej, czyli Janek Szostok. Widownia głośno się zastanawiała, kim jest Janek, ale siedzące w pierwszych rzędach gospodynie doszły do wniosku, że to musi być najmłodszy syn wdowy z Odnóżki. Kiedy wyszedł na scenę, okazało się, że miały rację, i od razu o tym powiedziały sobie nawzajem i innym, którzy siedzieli w dalszych rzędach.

„Dobrzy ludzie, jestem złym zbójem!” — wołał ze sceny Janek Szostok, pokazując nienabitą strzelbę, którą pożyczył od gajowego. Powiedział jeszcze, że napada na kupców i rabuje ich towary i że za nic ma sobie boskie przykazania, bo diabłu zaprzedał duszę. W tym momencie diabeł zachichotał za sceną i pokazała się na chwilę jego czarna rogata gęba wykrzywiona w potwornym grymasie. Gęba była wprawdzie sztuczna, ale chichot bardzo prawdziwy, więc widzowie zaszemrali z uznaniem.

Piekielny huk zaskoczył wszystkich. To komendant straży pożarnej hałasował, waląc kijem w odwrócony do góry dnem wielki garnek służący jego żonie do gotowania prania. Łomot miał widzów przekonać, że nad lasem rozszalała się burza, w czasie której o duszę Janka walczyła z szatańskimi mocami para bohaterów: Łucja w długiej powłóczystej



sukni i dostojnie kroczący po scenie Józef ubrany w sutannę wikarego.

Przekonali w końcu przestraszonego Madeja, który twierdził wcześniej, że niczego i nikogo się nie boi, iż powinien odpokutować swoje winy, a wtedy jego dusza będzie uratowana. Musi tylko posadzić pałkę, którą dotąd straszył i zabijał ludzi, i podlewać ją wodą przyniesioną w ustach ze strumyka. Musi podlewać tak długo, dopóki pałka nie zakwitnie. I wtedy nastąpiła najlepsza część przedstawienia. Chodził Madej do strumyka, nosił wodę w ustach i pałkę podlewał. Za sceną dostarczał mu wody Teodor Rajwa, który czasem też trochę wódki podał spragnionemu Madejowi, a on chodził i chodził. Najpierw wyprostowany, potem na kolanach, coraz słabszy i słabszy. W końcu po raz ostatni dowlóknął się do swojej zbójczej pałki, podlał ją, a ona wreszcie zakwitła. Wszyscy aktorzy i widzowie zapewne też wiedzieli, że nie był już tak trzeźwy jak na początku, a nawet za sceną słychać było, jak podśmiewali się z niego dostarczyciele wody czy wódki. Na koniec umilkli, kiedy przy dźwiękach bardzo rzewnej melodii granej na skrzypcach, która miała być na pewno muzyką niebiańską, ukazała się znów Łucja, czyli triumfujący anioł. Tym razem miała dużo potężniejsze skrzydła, które zmiatały ze sceny elementy dekoracji.

Zrobiło się cicho jak w kościele, niektóre gaździny pochlipywały dyskretnie nad losem wycieńczonego Madeja, któremu pomagano wstać. I to był chyba najtrudniejszy moment i największe aktorskie wyzwanie, bo to właśnie anioł musiał podnieść ślaniającego się na nogach nawróconego zbrojnika, a potem podtrzymać do czasu, aż publiczność przestanie bić brawo.

Potem była zabawa. Tańcowali zbrojnicy z aniołami, nawet diabeł z zakonnikiem i służące z gospodarzami, a przygrywała kapela. Muzykanci już wcześniej próbowali wody, którą Madej podlewał zbójczą pałkę, bo widać było czerwone twarze i dało się usłyszeć pierwsze, nieco fałszywe nuty. „Jawornickiego!” — zawołał któryś z aktorów i już zamigotały kolorowe fartuchy, pasy i żywotki śląskich sukien.

Kacper i Andrzej cicho wyszli na dziedziniec pałacu. Zostawili Łucję z jej wspomnieniami zadowoleni, że na razie żadne jej polecenia ani rozkazy nie zakłócą ich planów.

## LALKA

— Chciałbym wam podziękować — powiedział Antoni, dołączywszy do stojącej nad stawem pary. Alicja i Dawid oglądali stare zdjęcia i porównywali je z obecnym wyglądem tej części parku, w której kiedyś po stawie pływały łódki, a na małej wysepce połączonej z brzegiem drewnianym pomostem stała urocza altanka otoczona kwiatami i pnączami. — Przyszli do mnie i przeprosili. I jeszcze powiedzieli, żebym was o tych przeprosinach zawiadomił. — Stary ogrodnik, Antoni Tomala, głos miał przyjemny i uśmiechał się, a wtedy zmarszczki wokół oczu pogłębiały się wprawdzie, ale powodowały, że wyraz twarzy znakomicie uzupełniał ton jego głosu. — Mieszkam sam. Nie dostaję zbyt wielu listów, nie mam wielu znajomych. Może dlatego, że jestem odludkiem — mówił wzruszony. — Wiele w życiu przeszedłem, a teraz nie mam nikogo, kto się za mną ujmie. Nie przyszedłem z pustymi rękami. Alicjo, dziecko drogie, wiem, że to ci się może spodobać, więc weź. Dla ciebie wyszykowałem, naprawiłem, bo troszkę była już podniszczona.

W tym momencie nieco nieporadnie zademonstrował pudełko, które trzymał dotąd schowane za plecami. Było to zwykłe pudełko po butach i nie robiło wrażenia, dopóki nie odchylił wieczka.

— Piękna! Skąd pan ją ma? — Alicja była zachwycona, Dawid zdziwiony.

— Nie bawisz się już chyba... a może się mylę? Zbierasz lalki?

— To nie jest zwykła lalka. Nie widzisz?

Wzięła zabawkę do ręki. Przyjrzała się jej uważnie.

— Spójrz, jakie ma smutne oczy...

— To bardzo cenny eksponat... wyjątkowo cenny. — Cyprian Herkules Bogacz pojawił się nie wiadomo skąd i już wyjmował z kieszeni eleganckiej popielatej marynarki składane szkło powiększające.

Uklonił się grzecznie, uniósł lekko kapelusz, nałożył z powrotem i uważnie przyjrzał się lalce. Nie odrywając od niej wzroku, mówił:

— Wyprodukowana między tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym

dziewiątym a tysiąc dziewięćset dziesiątym rokiem. Wtedy fabrykant Jumeau chwalił się, że jego lalki mają „ludzkie spojrzenie”. A ta ma, jak państwo widzicie, głowę z porcelany, szklane, brązowe oczy o wyjątkowo smutnym spojrzeniu, jak zechciał już ktoś z tego szacownego grona zauważyć... — przerwał, oderwał wzrok od lalki, skłonił się dwornie przed Alicją — zdaje się, że *mademoiselle*.

Przytaknęła.

— Zatem powróćmy do opisanego przed chwilą niezwykłego przedmiotu — kontynuował. — Zabawka ubrana jest w specjalnie dla niej szytą kompletną bieliznę... — Detektyw uniósł spódnicę lalki, żeby zaprezentować starannie wykończoną delikatną koronką białą halkę, a także długie do kolan pantalone. — Piękna stylowa suknia w ciemnobordowym kolorze świetnie komponuje się z eleganckimi bucikami sznurowanymi z obcasikiem. Zapewne zostały wykonane ze skórki, a na podeszwie powinny mieć... o, zechcą państwo zobaczyć, specjalny symbol.

Alicja, potem Dawid i wreszcie zdziwiony i jakby nieufny ogrodnik po kolei brali do rąk szkło powiększające, żeby obejrzeć omawiane detale.

— Jest wyjątkowo piękna — zauważyła Alicja. — Podoba mi się jej twarzyczka, taka subtelna i dziecięca, ten wyraz oczu, smutny i zamyślony. Jasne włoski zwinięte w rureczki wystają spod ślicznego czepeczka wykończonego koronką. Zobaczcie, ma nawet w uszach perłowe kolczyki.

— Piękna — powtórzył detektyw — bardzo piękna, ale, w rzeczy samej... — zawiesił głos, spojrzał badawczo w stronę coraz bardziej speszzonego Antoniego i powiedział wolno i dobitnie: — Ta lalka, drogi panie, przede wszystkim jest bardzo cenna.

Cyprian Herkules Bogacz nie sprawiał już wrażenia dobrotliwego i łagodnego gościa hotelu U Hrabiny, spacerującego po parku dla zażycia świeżego powietrza. Był drapieżny, jakby wietrzył zwierzynę, którą zaraz upoluje. Patrzył ogrodnikowi prosto w oczy, wyczekująco i groźnie.

— Skąd pan ma tę lalkę? Czy wie pan, ile jest warta? To własność rodziny Lahensteinów. Proszę spojrzeć, na paseczku obok klamry jest

wyhaftowana głowa konia. Ten motyw pojawia się od czasu, kiedy panią na Stawiskach została piękna amazonka, matka hrabiny Ludwiki. A zatem jak pan wytłumaczy fakt, że oto trzyma pan w zwykłym pudełku po butach zabawkę wartą kilka, a może nawet kilkanaście tysięcy euro?!

— Aż tyle? — zdziwił się Dawid.

— O wartości emocjonalnej nie wspomnę — dodał detektyw po chwili bezskutecznego oczekiwania na odpowiedź.

— Nie myślałem... — zaczął tłumaczyć Antoni.

— I tego się właśnie obawiam — przerwał Herkules — nie myślał pan! Proszę oddać dowód rzeczowy i nie opuszczać Stawisk do czasu wyjaśnienia sprawy. Dziś po obiedzie pana przesłucham.

— Co pan wyprawia?! — Alicja była wściekła. — Znam tego człowieka i ręczę głową za jego uczciwość!

— *Mademoiselle* — detektyw był znowu sympatycznym i łagodnym gościem hotelu U Hrabiny — lepiej niech panienka nie nadstawia kształtnej i pięknej główki, która swego czasu zachwyciła wielu — powiedział, patrząc na Alicję w szczególny sposób, a ona wyraźnie się zaczerwieniła. — Dopóki nie zbadam sprawy, wszyscy są podejrzani.

— Dobrze, ale na dzisiejsze poobiednie przesłuchanie sama pana zaprowadzę. I będę w nim w dodatku uczestniczyć!

— Ależ bardzo proszę, z największą przyjemnością tuż po deserze podam panience ramię.

— Idziemy razem, a jeśli chodzi o ramię, Alicja porusza się o własnych siłach i nie musi się na nikim wspierać! A ja będę w pobliżu, więc gdyby coś... — Sprawa tajemniczej mapy i cennej lalki zaczęła wciągać Dawida, dlatego zamierzał w niej uczestniczyć.

— A zatem do zobaczenia na obiedzie. — Detektyw uklonił się, wyjął złoty kieszonkowy zegarek, odsunął wieczko, nałożył binokle, które trzymał na rzemyku zawieszonym na szyi i okręconym wokół guzika kamizelki, sprawdził, która jest godzina, i odszedł drobnymi, wystudowanymi krokami, podpierając się laseczką ze srebrną rączką w kształcie łabędzia.



— Chodzi o lalkę? Znowu o lalkę, kukielkę, pacynkę? — Podczas obiadu rozmawiano o niedawnych wydarzeniach, a Jerzy Zan doszukiwał się pewnych analogii, symbolicznego znaczenia i podtekstów. Antykwariusz i detektyw specjalizujący się w śledztwach historycznych jadł w milczeniu, za to Dawid był wyraźnie podekscytowany.

— To nie jest jakaś zwykła zabawka. Jest warta majątek!

— Odwiedziłem niedawno Antoniego — opowiadał Jerzy. — Zaprosił mnie na herbatkę z sokiem malinowym. Taką dobrą, jaką parzy nasza ochmistrzyni. Chyba wszyscy starsi mieszkańcy Stawisk wierzą w moc malin. Wróćmy jednak do meritum sprawy. Antoni ma cały zbiór starych zabawek. Naprawia je, uruchamia dawno zepsute mechanizmy i niczym Rzecki przygląda się im, kiedy wprowadzone w ruch tańczą albo wspinają się lub jadą, wierzgają, biegną. Przygląda się bez słowa i bez słowa chowa do szafy. Może myśli wtedy, że sami jesteśmy jak marionetki wprowadzone w ruch, że życie to głupstwo, bo jego początku nie pamiętamy, końca nie znamy, że jest powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą i nic nieznaczącą. I wreszcie, że życie to przedstawienie w amatorskim teatrze, a kiedy dobiegnie końca, wówczas minie zacność, uroda, moc, pieniądze i sława, nas zaś „wemkną w miśkę, jako czynią łątkom”.

— Kochanowski, Szekspir, Prus — z nieco nienaturalnym pośpiechem, jakby wyrwany do odpowiedzi, trafnie zgadywał Dawid. — *Theatrum mundi*, wielki reżyser, który i tak decyduje, co, kiedy i jak zagramy, a w odpowiednim momencie da znak i wtedy zgasną światła.

Ojciec słuchał go z uwagą. Nie przerywał, nie komentował. Nie potakiwał ani nie przeczył.

— Czy sądzi pan, że Antoni jest trochę filozofem, jak stary subiekt? — zapytała Alicja. Nie odpowiedział wprost.

— Lalki i stary Ignacy, a może Antoni. I jakaś siła sprawcza, która ten teatr wprowadza w ruch. Fanny, która spadła z konia, jej nieszczęśliwy mąż i wypędzeni z pałacu hrabiowie, którzy patrzyli z niedowierzaniem i przerażeniem, jak wali się ich świat... Dla nich zgasły światła, ale są nowi aktorzy. Kolejno wchodzi na scenę i znikają. Po nas wejdą

następni, staną w świetle reflektorów, wygłoszą swoją kwestię, lepiej lub gorzej. Zgasną światła zapalone dla nich i bisów już nie będzie...

— To dziwne... Czy wiecie, że ogrodnik ma na imię Antoni Ignacy? — wtrąciła Alicja.

Chwilę jeszcze rozmowa toczyła się wokół lalek, marionetek, kukiełek i od dosłowności przeszła do metafory, a potem znów skierowana została na poprzedni tor. Nie wszyscy obecni przy stole zrozumieli, czego naprawdę dotyczyła.



Cyprian Herkules, dotąd skupiony na konsumowaniu obiadu i deseru, wypił już małymi łyżkami małą czarną kawę i wstał. Biorąc do ręki kapelusz, który uprzednio położył na krześle obok, zwrócił się do obecnych w jadalni:

— Teatr teatrem, ale rzeczywistość wzywa, więc pozwolą państwo, że udam się teraz do Antoniego Ignacego i zadam mu parę niewygodnych pytań...

Ruchem ręki uspokoił Alicję, która już nabrała powietrza, chcąc mu przerwać, zaprotestować albo nawet zmusić do rezygnacji z planowanego przesłuchania, i kontynuował:

— Obawiam się, że moja wizyta jest konieczna i, co więcej, spodziewana. Oczywiście możecie państwo pójść ze mną, ale uprzedzam, nikt nie powinien się wtrącać.

Alicja i Dawid wstali od stołu.

Dwadzieścia minut później zostali wyproszeni z domu ogrodnika i słyszeli głos detektywa, który zapewniał łagodnie:

— Jestem, jak to się mówi, uosobieniem dyskrecji. Wszystko, co mi pan powie, pozostanie między nami. — Nagle zmienił ton na zdecydowanie bardziej donośny i stanowczy: — Byłbym wielce zobowiązany, gdyby młodzi ludzie stojący pod oknem zechcieli wrócić do pałacu i nie podsłuchiwali.

— Ma oczy z tyłu głowy? — zastanawiał się Dawid, kiedy już szli powoli główną drogą prowadzącą przez centrum Stawisk. — Przecież nie mógł nas widzieć.

— Podobno ten człowiek ma przenikliwy i dociekliwy umysł,

znakomity słuch, bystry wzrok i wysokie mniemanie o sobie. Rozwiązał już niejedną zagadkę z przeszłości i zawsze znajdował winnego lub winnych, nawet jeśli dawno już nie żyli i pozostawili po sobie nieposzlakowaną opinię.

— Myślisz, że ten cały Ignacy Antoni czy Antoni Ignacy jest przestępcą?

— Żartujesz?! — Alicja była oburzona. — Znam go od dawna. Ta lalka była przeznaczona dla mnie. Chciał zrobić mi przyjemność, ale na pewno jej nikomu nie ukradł. I chyba się domyślam... — urwała nagle, jakby w obawie, że powie za dużo.

## **TERRORYSTA**

— Wśliznę się tam, panie Antoni.

— Ani mi się waż!

Kacper był trochę zdziwiony, bo zazwyczaj dość łagodny ogrodnik tym razem wydawał się zdenerwowany i uparty. W piwnicy, gdzie trzymał narzędzia, była wąska wnęka, która mogła stanowić obiecujący początek tajemnego przejścia. Cóż z tego, kiedy Antoni miał zawsze klucze przy sobie i krótko odpowiadał na wielokrotnie ponawiane natarczywe pytanie: „Dlaczego nie?”.

— Nie i koniec.



Antoni jako dziecko dusił się w innym wąskim przesmyku i zostałby tam na zawsze, gdyby nie matka, a potem nawet ona nie ustrzegła go przed nowym zagrożeniem. Czy miał teraz o wszystkim opowiedzieć chłopcu, skoro wątpił, że zrozumie? On sam przecież do dzisiaj nie wszystko rozumiał.

Miał wtedy kilka lat i bawił się w chowanego. Znalazł świetną kryjówkę. Najpierw słyszał wołanie, zobaczył, że któreś z dzieci podeszło bardzo blisko, więc wśliznął się jeszcze głębiej. Leżał tak twarzą do ziemi w wąskiej drewnianej rurze. To nic, że była odpływem kanalizacyjnym i znalazł się w wilgotnym mule, ale nikt się nie domyślał, gdzie jest. Robiło się coraz ciemniej. Wygrał. Od jakiegoś

czasu nikt go już nie szukał. Fornalskie dzieci biorące udział w zabawie przed odejściem powiedziały:

— Nie ma go tu. Idziemy. Antek pewnie dawno jest już w domu na Karłowcu.

Potem chciał wyjść. Nie mógł. Był zaklinowany. Wołał. Najpierw rozpaczliwie, głośno, potem coraz ciszej. Starał się odwracać twarz tak, żeby móc oddychać, ale był coraz słabszy. Za chwilę znów zakrztusi się wilgotnym mułem leżącym na dnie, więc spróbował jeszcze raz i zawołał ze wszystkich sił:

— Mamo!

To nie był krzyk, lecz raczej kwilenie, ale szukająca go z niepokojem i rozpaczą matka usłyszała.

Zapamiętał też dzień, w którym dusił się po raz drugi. Był już wtedy dorosły i nie wiedział jeszcze, że to sama hrabina, pani na Stawiskach, której córka uratowała życie Hani, najpewniej chciała go wtenczas życia pozbawić.

Wyznała pod koniec wojny swoją winę jego matce Stefanii. Podobno wypowiedziane przez kaznodzieję biblijne słowa o błogosławieństwie i przekleństwie ją do tego wyznania skłoniły. Błogosławieństwo to życie, przekleństwo to śmierć, a ona wybrała dla niego śmierć. Widać nie chciała, żeby syn dworskiego parobka i służącej był powiernikiem i przyjacielem jej córki, hrabianki Izabeli. Niemcy wzięli go do wojska dopiero w 1944 roku, bo wcześniej mówiła im, że jest potrzebny w majątku, ponieważ wciąż brakuje rąk do pracy. Jednak tego dnia, kiedy Izabela wyznała matce, że go kocha, zawiadomiła Komendę Wojskową w Cieszynie, że Antoni, syn Stefanii, powinien iść na front. Izabela nie zdążyła go pożegnać, bo razem z hrabiną wyjechała na parę dni, a matka kazała mu uklęknąć pod krzyżem, przeżegnała go i przytuliła, mówiąc:

— Bóg niech cię ocali, syneczku.

Więcej mówić nie mogła.

W pociągu wszyscy próbowali dopchać się do okna, żeby zobaczyć bliskich stojących na peronie. Zobaczył ją. Znów płakała.

Potem wywieźli ich gdzieś daleko, musztrowali, krzycząc na całe gardło, i dali niewygodny i ciężki żołnierski ekwipunek. Ubranie polecili



wysłać do domu. Wysłał razem z listem: „Żegnam Was. Z Bogiem. Wyjeżdżamy nie wiadomo gdzie”.

We Francji kupił matce jedwabną chustkę, a Izabeli piękną kolorową pocztówkę, przedstawiającą zakochanych wpatrzonych w siebie, uśmiechniętych wśród wiosennych kwiatów. Chustkę wysłał, pocztówkę ma do dziś.

Dowódcy mówili im, że ścigają terrorystów — tak nazywali francuskich partyzantów. Szli i szli. Za sobą zostawili Pireneje, a kiedy weszli do miasteczka, zobaczył cuda, których nigdy wcześniej nie oglądał. Zobaczył raj. Wspaniałe wille, opalające się dziewczyny i prześliczne drzewa pomarańczowe.

Wkrótce o raju zapomniał, bo atakowali ich terroryści, a oni szli w stronę dawnej granicy francusko-niemieckiej, mijając po drodze spalone wozy, samochody, rozdęte trupy. W końcu wojsko niczym długi, rozciągnięty po horyzont wąż znalazło się na przedmieściach, a kiedy weszli na most, wśród zapadającej nocy, rozległ się potworny huk. Zapamiętał strach, dym, ogień, trzęsącą się ziemię, odgłosy artylerii, broni maszynowej, jęki, potworne wrzaski ludzi, skomlenie zwierząt. Gnano ich dalej i dalej, w to piekło na ziemi, w stosy trupów na ulicach miasta. „Jezus, Mario, Józefie święty! Ratujcie!” — wołał albo szeptał i biegł z innymi, i wpadł w rów po lewej stronie drogi, a na niego inni żołnierze chcący uciec przed śmiercią, którzy miażdżyli go swoim ciężarem tak, że nie mógł oddychać. Umierał, dusił się, jak wtedy w dzieciństwie. Nagle tamci poderwali się, a na niego spadła ziemia i kamienie. Zrozumiał, że obok wybuchł granat i że najpewniej został już pogrzebany.



Mimo wszystko przeżył. Wbrew sobie, wbrew własnej woli, z powodu wypowiedzianego nad nim przekleństwa, wziął udział w zapamiętanej przez historię bitwie o Autun w 1944 roku. Antoni był po stronie zwyciężonych.

W niewoli pluli mu w twarz. Nie rozumiał dlaczego. Niczego złego nie zrobił.

Był ranny w nogę i wycieńczony wrócił na wagonie z węglem.

W Stawiskach była już nowa władza. Kiedy matka poszła prosić o wsparcie, tłumacząc, że mąż zginął na wojnie, a syn został ranny, usłyszała, że mogą się paść jak bydło, skoro pierworodny służył w Wehrmachcie. Hrabina, hrabia i ich córka Izabela byli już od jakiegoś czasu w Wiedniu, jednak zanim wyjechali, Ludwika Lahenstein opowiedziała Stefanii o swojej winie i błagała o wybaczenie. Stefania bez słowa skinęła głową. Wybaczyła, ale nie zapomniała nawet wówczas, kiedy Antoni, uważany za zaginionego, wrócił w końcu do domu.



Późnym popołudniem do kuchni, w której królowała Łucja, wszedł Antoni. Usiadł przy stole. Chwilę później ochmistrzyni postawiła przed nim kawałek kołacza z posypką i herbatę z malinami. Herbatę zaczął pić, ale kołacza nie tknął.

— Przyszedłem porozmawiać.

— Widzę, że jakiś jesteś nieswój. To ten detektyw i jego posądzenia? Lalkę przecież dała twojej siostrze hrabianka. Pamiętam jak dziś i mogę przysiąc, że nie ukradłeś. A temu elegancikowi swoje powiem, że mu w pięty pójdzie. Żeby tak uczciwych ludzi...

— Porozmawiać przyszedłem! Żebym ja też mówił!

Łucja, która akurat energicznie sprzątała podłogę, drgnęła, odwróciła się zdumiona, powoli odłożyła miotłę i usiadła naprzeciw ogrodnika.

— Jestem coraz słabszy. Ty i ja powinniśmy dawno już być na emeryturze.

— Nie ma mowy!

Nie skomentował jej słów. Może nawet ich nie słyszał.

— Hrabianka Izabela mówiła, że kocha kwiaty, że lubi spacerować w ogrodzie, dlatego wciąż tu jestem, choć jej już nie ma. Wciąż też mam pocztówkę z Paryża, którą przywiozłem z wojny, ale nigdy nie wysłałem. Nie znałem adresu. Podobno mieszkała w Wiedniu, ale wyjechała. Więc pracuję tu w jej ogrodzie i już mi niewiele życia zostało. Tyle lat człowiek sieje i podlewa, martwi się suszą, bo kiedy nie pada deszcz, podlewać trzeba częściej. Trzeba nosić ciężkie konewki

z wodą, a kiedy się podlewa, chwasty rosną większe niż w czasie suszy i tak w kółko. Podlewać, plewić, plewić i podlewać. I po co?

— Jak to po co? Antoni! Ty się opamiętaj. Nigdy cię takim nie widziałam — zniecierpliwiała się Łucja. — Po co? Po co? Aż w końcu wyrosnie to, co ma wyrosnąć, i radość da tym, którzy pracowali, i tym, którzy tylko przyglądali się pracy. Bóg widział, ile wyniosłeś konewek wody, ile razy schyliłeś się, żeby wyrwać trawę i chwasty. Dostaniesz swoją zapłatę, już ty się nie bój. Za wszystko.



Antoni nie słuchał.

— Znowu wiosna. I trzeba zaczynać od początku. Orali dzisiaj pola. Traktorem. A pamiętasz, Łucjo, jak przed wojną były konie i woły? Może nie pamiętasz, jesteś przecież młodsza ode mnie. A tych, którzy woły po polach prowadzili, nazywali „wolorzami”. Razu jednego w niedzielę zwierzę złamało nogę i wtedy hrabia się wściekł. I nie pozwolił wyprowadzać wołów w pole w dzień święty, choćby nie wiem co. Dobry był człowiek, choć narwany... Ale dziedziczka... Ona nigdy nie miała serca dla naszej rodziny. Moja matka...

— Zanim kogoś osądzisz, musisz wiedzieć wszystko, a nie wiesz. Twoja matka nosiła się godnie i była urodziwa. Podobała się. Oczu od niej nie mogli oderwać, taka była piękna. Grafowi też się podobała i gościom, którzy tu przyjeżdżali do pałacu. Usługiwała im...

— Odkąd pamiętam, pracowała w chlewie, nie na pokojach.

— Dziedziczka raz czy dwa zobaczyła, jak hrabia Maksymilian do Stefanii zagadnął, to jej kazała się wynosić, ale winy twojej matki w tym nie było żadnej... chyba — dodała ciszej.

— A potem jeszcze hrabianka Izabela i ja...

— Antoni! Weź się w garść. Nie będziesz mi się tu mazgał jak jakiś poeta. Kończ zjedz, herbatę dopij i do roboty wracaj! Twoja matka była silna. O starzyku, góralu, już nie wspomnę. Nie siedziałby tu i nie jęczał nad swoim losem. Próbowaleś kiedyś tę twoją Izabelę odszukać? Wiem, zaraz po wojnie o hrabiach lepiej było zapomnieć. Ale teraz są inne czasy. Są te całe internety. Młodzi niech ci pomogą. A może ona jeszcze żyje? Może cię pamięta? Kto wie? Może tę miłosną kartkę, coś

kupił w Paryżu, wyślesz hrabiance albo chociaż się dowiesz, gdzie nasza Izabela jest pochowana.

Łucja zabrała ze stołu talerzyki i kubki. Zamaszystym gestem przetarła ścierką blat. Wciąż była trochę rozdrażniona.

— A na koniec o starzyku twoim opowiem. Dla nauki i dla rozweselenia. Odwiedził tu twoją matkę zaraz po wojnie, kiedy ty byłeś jeszcze w świecie, i miał wracać koleją. Bilet mu kupili i rano chcą starego Koconia budzić, ale go nie ma. Nigdy w życiu nie jechał pociągiem i twierdził, że to dla górala, który ma zdrowe nogi i dobre kierpce, straszny wstyd, więc skoro świt wstał po cichu, żeby nikogo nie obudzić, i poszedł pieszo. Szedł górami dwa czy trzy dni, aż doszedł do domu. Osiemdziesiąt osiem lat mu wtedy było. To nawet więcej, niż ty masz, Antoni. My jesteśmy ludzie twardzi. Rozumiesz?

— Rozumiem.

## **PIERWSZA WSPÓLNA NOC**

— Chciałeś, żeby było ciekawie, to teraz masz! — Alicja spróbowała po raz kolejny bezskutecznie otworzyć drzwi kaplicy. — Zimno mi — poskarżyła się.

— Weź moją kurtkę. Albo jeszcze lepiej, razem się nią okryjemy. Że też akurat nas to spotkało. Jak myślisz, pech czy przeznaczenie?

— Pech. Wiem, że wolałbyś spędzić noc z którąś z tych laseczek, które tu prezentują pracowicie swoje wdzięki: Nikola, Ada, nawet ta zalekniona Olga.

— Wszystkie, byle nie ty? I tu się mylisz, bo z tobą na pewno nie będę się nudził. Będiesz mnie albo za coś ochrzaniać, albo wykpiwać, albo moralizować. Masz też w ofercie na pewno darmowy wykład historyczny na wybrany temat. Więc zajmij miejsce i baw mnie.

Dawid, który siedział dotąd na stopniach zabytkowego drewnianego konfesjonału, poderwał się i teatralnym gestem podał jej ramię.

— W konfesjonale są tony grzechów — powiedziała. — W dodatku ten potwór ozdabiający ambonę działa na moją wyobraźnię. Usiądziemy w zakrystii. Tam jest przytulniej.

Miała rację. Było nie tylko przytulniej, ale znaleźli także ciepłą pelerynę, którą proboszcz powiesił na wieszaku. Były jeszcze ornaty, alby i komże, ale uszyte z cienkich materiałów, więc nie mogły się w tej sytuacji przydać.

Wyglądało na to, że będą zmuszeni przeczekać do rana. Coś ich podkusiło, żeby wieczorem jeszcze tu zajrzeć. Mapa z nazwiskiem i herbem Lahensteinów, którą zdobył Andrzej, wskazywała wyraźnie trzy miejsca. Jednym z nich mogła być przypałacowa kaplica. Wiadomo było, że w 1945 roku z rzadka trzeźwiejący kucharz i jego na ogół trzeźwi dwaj pomocnicy gdzieś schowali skrzynie. Skrzyń nikt dotąd nie znalazł, a tamci dawno nie żyją. Hrabia i hrabina tylko część rzeczy zabrali ze sobą, kiedy uciekali ze Stawisk. Mówiono, że wrócą po pozostałe i że Maksymilian Lahenstein coś notował na mapie sztabowej, którą zabrał ze sobą.



Dawid miał telefon komórkowy, ale nie było zasięgu. Gdyby zapalili światła, ktoś zauważyłby, że zostali zamknięci w środku, ale wszystkie wyłączniki były schowane w specjalnej skrzynce, a klucz do skrzynki miał ksiądz, kościelny i dzwonnicy ze Stawisk.

— Dzwonnicy? — zdziwił się Dawid. — Jak w Notre Dame?

— Jeszcze przed wojną Mrowczykowie mieszkający najbliżej kościoła zobowiązali się, że będą dzwonić na Anioł Pański, zwoływać ludzi na mszę, wydzwaniać „konajączki” umarłym i nigdy jeszcze nie zawiedli. Na pewno przyjdą przed szóstą, ale wcześniej nie należy się nikogo spodziewać, jedynie duchów, które upodobały sobie to miejsce, ale przyjdą o północy. A zatem mamy jeszcze ponad dwie godziny względnego spokoju. Potem się zaczniesz.

Przygotowała już najcieplejsze okrycia i teraz szukała wygodnego miejsca, na którym można byłoby usiąść i znaleźć się jak najdalej od hrabiowskich sarkofagów.

— Spędzimy naszą pierwszą wspólną noc. Może to nie zbieg okoliczności, że ktoś za wcześnie zamknął drzwi. — Dawid otoczył Alicję ramieniem.

Nie zaprotestowała, wręcz przeciwnie, szcękając z zimna zębami,

przysunęła się i otuliła szczelnie peleryną i kurtką.

— Byłoby romantycznie, gdyby nie sceneria i okoliczności — powiedział. — Może powinienem cię pocałować, ogrodniczko, czy raczej pani od historii?

— Nie żartuj — mruknęła niechętnie.

— A jeśli nie żartuję?

— Żartujesz! — zdecydowała za niego.

— Skoro tak uważasz... Nie będę się z koniem kopał. Jesteś krewną Łucji. Nie da się ukryć.

— Kto ci powiedział, że zamierzam to ukrywać, wręcz przeciwnie.



Było coraz ciemniej. Latarka w telefonie komórkowym nie mogła być stale włączona, bo jej żywot byłby krótki, a mogła okazać się jeszcze potrzebna.

— Boisz się? — zapytała Alicja.

— Ciebie na pewno, Łucji Śliwkowej też. Nieźle mnie urządziła. Chcesz zobaczyć siniak na...

— Obejdzie się — zapewniła czym prędzej. — Pytam, czy boisz się duchów? Pod nami jest miejsce wiecznego spoczynku Fanny i jej męża.

Zapadała noc, a oni zostali uwięzieni w starej kaplicy. Nie mogli nie pamiętać o tym, że w krypcie znajdują się sarkofagi rodziców hrabiny Ludwiki, równie pięknej, co nieszczęsnej amazonki, która zginęła podczas konnej przejażdżki, i jej męża, który wyjechał za granicę, żeby zapomnieć, i wkrótce do niej dołączył.

— O innych nieboszczykach nie wspomnę — kontynuowała swoją ponurą wyliczankę Alicja, chcąc nastraszyć Dawida. — Nie słyszałeś jeszcze o wędrującym po wsiach Piskorzu.

— Wiedziałem, że będzie jakaś historia z historią z tle.

— Mroząca krew w żyłach. Opowiedzieć czy trzęsiesz portkami?

— Dawaj. W razie czego obronisz mnie, bo masz na pewno jakieś układy z tutejszymi duchami, upiorami i czarownicami. Przysuń się do mnie, będzie nam cieplej. Trzęsiesz się cała. Chyba nie ze strachu?

— Mówiłam już, że jest mi zimno. Zresztą nie zmieniaj tematu,

bądź mężny i słuchaj. Pewien bogaty gospodarz nareszcie doczekał się syna, więc to swoje szczęście opił solidnie, ale już parę lat później zmarkotniał. Mówiono, że syn jest dziwny. Nie nauczył się w szkole wiele, trochę pomagał w gospodarstwie, ale nade wszystko pokochał wędrowanie. I nie pomagało, że chowano jego buty, żeby zimą nie szedł, bo on i tak uciekał z domu. Szedł boso. Więc litowano się nad nim, ubierano, karmiono, a Piskorz wędrował i klękał przed każdym krzyżem i każdą kapliczką. Potem wracał i za jakiś czas na nowo. Znów szedł, bo wędrowka była treścią jego życia. Mówiono, że był uczciwy i nigdy swoich dobrodziejów nie okradł. Żałowano go więc bardzo, kiedy zamarzył w końcu, bo upił się i zasnął. Tak zastała go śmierć. Zabrano nieszczęśnika rankiem, położono w tej kaplicy, a że był jak zwykle zarośnięty i brudny, wezwano dzwonnika, który umiał też nieboszczyków szykować do pochówku, żeby się nim zajął. Półmrok zimowy panował, kiedy ten wszedł i ledwo otworzył drzwi, stanął oko w oko z żywym nieboszczykiem, który ocknął się w międzyczasie, zobaczył, że leży na marach, i przerażony chciał uciec. Pogrzeb się, owszem, odbył, ale chowano nieszczęsnego dzwonnika, który umarł ze strachu. Piskorz wędrował dalej, a kiedy i na niego przyszedł kres, pochowano go, a na nagrobku napisano tak: „Wszystkim nam jedna droga: bogatym i ubogim. Kresem każdej drogi jest ta sama śmierć”. I jak?

— Jakoś się trzymam. Swoją drogą prawdziwy *homo viator*. Podoba mi się ten napis na grobie. Motyw wędrowki zawsze mnie fascynował.

— Tak? To dorzucę ci jeszcze zdanie, które powiedział pewien bardzo mądry człowiek: „Przejdę przez ten świat tylko jeden raz. Dlatego cokolwiek mogę zrobić dobrego lub jakąkolwiek komukolwiek wyświadczyć przysługę, niech uczynię to teraz...”.

— „Bo nie będę szedł tą drogą nigdy więcej”. — Dawid dokończył zdanie i skomentował: — Umiem te słowa na pamięć i też uważam je za mądre. Dlaczego jesteś zdziwiona? Już włożyłaś mnie do woreczka z napisem: płytki, głupi celebryta, który ma parcie na szkło. Ale tylko ci się wydaje, że mnie znasz.

— Daj spokój. Jest jedenasta. Nie chce mi się o tej porze z tobą

polemizować.

Spojrzał na zegarek z podświetlaną tarczą. Dawno już zrobiło się ciemno. Coś skrzypiało, szurało, popiskiwało.

— Jesteśmy na wsi. W dodatku niedaleko lasu. Jakieś nietoperze, sowy, zwierzęta, które nocą polują, mają teraz swoje pięć minut — domyślał się, chcąc uspokoić i siebie, i Alicję. Oboje jednak nie tylko zwierzętom przypisywali dziwne odgłosy. Wiedzieli, że wiekowe budowle żyją swoim życiem, mają swoją mowę, swoje skrzypienia, szумы, szmery i szelesty.

— To dziwne, że musimy przejść po nagrobnych płytach w drodze do prezbiterium — powiedziała cicho i jakby w zamyśleniu Alicja. Dawid miał już pewność, że wspominali tę samą sytuację, której byli dzisiaj świadkami, mianowicie opowieść Lucjana.



Był to najmłodszy z rodziny dzwonników, który zamykał codziennie kaplicę około dwudziestej. Dzisiaj kaplica została zamknięta nie wiadomo przez kogo pół godziny wcześniej. Lucjan był nieco gburowaty i nieprzystępny i niechętnie rozmawiał z gośćmi mieszkającymi w hotelu U Hrabiny. Był trochę nieobyty, ale bardzo przystojny. Dziewczyny z ekipy, która przyjechała do Stawisk, chciały go oswoić i, jak mówiły, poczochrać dzikiego lwa po grzywie, tym bardziej że Łucja Śliwkowa scenicznym szeptem zdradziła im pewną tajemnicę. Chłopak o egzotycznej urodzie był prawdopodobnie potomkiem Serba albo Włocha. Nie była pewna narodowości, ale za to przekonana, że chodziło o żołnierza, który był tu z jakimś oddziałem podczas wojny.

— Zapatrzyła się na niego Marta z Odnóżki, a może i zniewolił ją i urodziła syna — opowiadała Łucja. — Jego urodę dostali w spadku dzwonnicy ze Stawisk.

Lucjan pokonał nieśmiałość i dzięki temu goście hotelu byli świadkami siermiężnej może i nieuładzonej stylistycznie, ale za to niezwykle udramatyzowanej opowieści o tym, dlaczego jego matka od kilku lat boi się sama wejść do kaplicy.

— Nie przestąpi progę, nawet w biały dzień — zapewniał —



choćby nie wiem co! Nie wejdzie tu, odkąd razu jednego pod wieczór poszła z moim kuzynem, co nas odwiedził, znaczy się, przyjechał z Rzeszowa, bo tam mieszka, znaczy się, na stałe...



— Która godzina? — zapytała Alicja.

— Za dwadzieścia minut wybije północ — odpowiedział półgłosem Dawid.

— A jednak się boisz. Czuję to — triumfowała Alicja.

— Nieprawda. Jestem pewien, że wasz naturszczyk opowiadał tę historię, bo chciał wydać się interesujący i tajemniczy. Faceci tak mają, uwierz mi.

Niestety, sam sobie nie uwierzył i zaczynał odczuwać jakiś dziwny niepokój. W wyobraźni widział twarz dzwonnika, którego oczy lśniły, kiedy głębokim, donośnym głosem opowiadał o kamiennych, wąskich schodach prowadzących na chór, po których ktoś wszedł. Jego matka stała właśnie przed ołtarzem na płycie z hrabiowskim herbem i imieniem pochowanego w krypcie nieszczęśliwego wdowca zmarłego za granicą. Była jak sparaliżowana, choć nie wiedziała czemu. Zdarzało się już przecież, że ktoś wieczorem modlił się w kaplicy, wołała wtedy, że za chwilę zamyka drzwi.

Tym razem jednak kroki człowieka idącego po kamiennych wąskich schodach były dziwnie ciężkie. Nagle umilkły i nikt się nie odezwał, kiedy ona, a potem jej kuzyn nakłaniali dziwnego przybysza do opuszczenia kaplicy.

Nic. Cisza. Żadnego głosu, żadnego oddechu, szmeru.

Kuzyn zaczął wchodzić po schodach. Wtem coś go zatrzymało. Nie potrafił powiedzieć co. Po prostu nie mógł zrobić kroku. Nie mógł wejść na górę. Zmusił się wreszcie. Sprawdził. Nie było nikogo.

Kiedy wrócili do domu, byli bladzi nienaturalną bladością i czymś przerażeni. Długo nie chcieli opowiedzieć zaskoczonym domownikom, co się właściwie stało. Kuzyn z Rzeszowa dwa dni później wyjechał, uroczyście oświadczając, że jego noga w tym miejscu więcej nie postanie, a matka Lucjana nie mogła wprawdzie wyjechać, bo tu był jej dom, ale odtąd szerokim łukiem omijała kaplicę, a będąc w jej pobliżu,

zawsze żegnała się zamaszystym gestem i odmawiała na głos „Wieczny odpoczynek”.

— ...racz im dać, Panie, a światłość wiekuista... — Dawid usłyszał cichy szept Alicji. Ocknął się z zamyślenia. Zegar zaczął wybijać północ. Równocześnie rozległy się ciężkie, wyraźne i powolne kroki. Alicja przylgnęła do niego, ale ten gest na pewno nie miał erotycznego podtekstu.

„Trochę szkoda” — pomyślał. Szybko włączył latarkę, omiół światłem szafę z albami i ornatami, krzyż stojący w rogu i drewniany klęcznik.

— Nikt nie otwierał drzwi kaplicy, więc skąd... — drżącym głosem powiedziała Alicja.

Kroki umilkły. Wyczekiwali.

— Nadal nie ma zasięgu — stwierdził Dawid, chcąc się wykazać jakąkolwiek aktywnością. Drgnął, kiedy odgłos kroków rozległ się ponownie, ale teraz brzmiał jakoś inaczej. Chód był lżejszy i szybszy.

— Ktoś otworzył drzwi. Słyszałam — w głosie Alicji zabrzmiała nadzieja.

Odważył się wstać i ruszyć w stronę wejścia. Zobaczyli światło latarki i usłyszeli:

— To niewiarygodne! Zdumiewające! Młody człowiek o imieniu Kacper trafnie odgadł, że jesteście w kaplicy i próbujecie nawiązać z nim kontakt.

Ktoś przekręcił klucz, otworzył skrzynkę kryjącą wyłączniki i nareszcie zapaliło się światło w zakrystii i nad ołtarzem.

— Cyprian Herkules — prawie wykrzyknęła Alicja — tak się cieszę, że pan tu jest!

— Do usług, *mademoiselle*! — Ukłonił się jak zwykle szarmancko i gestem zaprosił do opuszczenia pomieszczenia, w którym nie wypadało spędzać nocy ani samotnie, ani tym bardziej we dwoje.

Zaproszenia nie musiał powtarzać. Od razu zostało przyjęte.

## **FUNKCJA UWIKLANA**

— Dziękuję, wolę sałatkę. — Żaneta Dzikowska uprzejmie

przekazała półmisek z drobiem kolejnej osobie siedzącej przy stole, ale Kacper trochę się jej dziwił:

— Pani na lekcji mówiła, że w mieście kurczaki są faszerowane hormonami i jednemu facetowi od tego wyrosły cyce, ale u nas nie ma...

Nie pozwolono mu skończyć. Został wyprowadzony z jadalni przez Andrzeja, który przeprosił towarzystwo za jego nieobycie towarzyskie. Żaneta zastygła w bezruchu i długo nie mogła się zdecydować, czy jest w stanie kontynuować posiłek. Już wcześniejsza wypowiedź jego siostry, Karoliny, która niespodziewanie oznajmiła, że dzięki „Barwom szczęścia” poznała pojęcie „biologiczny ojciec”, wydała jej się nie na miejscu.

— Uważam — powiedziała głośno i z naciskiem — że goście hotelowi powinni mieć możliwość pozostawania podczas obiadów, śniadań i kolacji we własnym gronie.

— Dlaczego? — czym prędzej zaprotestowała Nikola. — Tu jest przecież tyle miejsca.

— Nie o miejsce chodzi — zapewniła Żaneta, ale modelka nie zmieniła zdania, domyśliła się bowiem, że planowane restrykcje obejmą nie tylko Kacpra i Karolinę, ale także Andrzeja, a Andrzej jej się podobał. Wyczuwała wprawdzie, że chyba trochę ją lekceważy, ale uznała, że to z jego strony rodzaj gry i flirtu.

Na początku chciała ustalić, ile ma lat, więc zapytała, kiedy ma urodziny.

— Piętnastego sierpnia — odpowiedział i wrócił do rozmowy z detektywem.

— Którego roku? — nie dawała za wygraną.

— Każdego roku — rzucił przez ramię.

Andrzej, który nie tylko ze słyszenia znał dziwnie brzmiące określenia, takie jak „matematyka dyskretna”, „funkcja uwikłana”, „zasada szufladkowa”, „część urojona” czy „rozmaitości zanurzone”, znajdował wspólny język z niemłodym, dbającym o porządek, symetrię, formy towarzyskie i wypielęgnowane wąsy antykwariuszem i detektywem w jednej osobie.

Młoda i piękna modelka, Nikola, która sama siebie nazywała osobą spirytualną, preferującą medytację i wyprawy w głąb siebie, zrozumiała

tuż po niedawnym przyjeździe na prowincję, że Andrew jest słodki. Intrygowało ją wprawdzie, że nie pozwala się do siebie zbliżyć, i drażniło, że ostentacyjnie zadaje się z jakimś podstarzałym dandysem, ale świadoma swoich wdzięków liczyła na wygraną. „Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana” — powtórzyła w myślach ulubioną sentencję i postanowiła zabrać głos:

— Sorry, że się wtrączę, ale uważam, że szukanie staroci nie jest na dzień dzisiejszy trendy. No błagam! To jakaś masakra. Ja na przykład chciałabym zrobić coś fajnego dla ludzkości, więc choć głównie uwielbiam modę i ciuchy, zgodziłam się też nagrać płytę. Nie mam wokalu, przyznaję się bez bicia, ale zadzwonili do mnie, to się zdecydowałam i finalna konkluzja...

„Kiedy wydaje się, że powiedziała za dużo, ona mówi więcej” — pomyślała z dezaprobatą Alicja, którą niedawno dziewczyna zaprosiła nie tylko do znajomych na Facebooku, ale także do polubienia stron w rodzaju: „Super Stylowa Bejbe”, „Moja przyjaciółka jest zajebistą dupą”, „Twe czerwone usta wpadają w me gusta”, „Od początku aż do śmierci pozytywnie pierdolnięci” i „Smukłe uda — to się uda”. Nie dziwiła się, że Andrzej przed nią uciekał. Robiła to samo, ale mniej otwarcie.



Jerzy Zan z kolei wspólne posiłki wykorzystywał między innymi po to, żeby przyjrzeć się różnym ludziom, podpatrywać ich zachowania, a Nikola szczególnie go interesowała. Ten typ bohaterki występował w nowym filmie, w którym miał zagrać. Fascynowało go nagromadzenie cech, które na ogół występują u różnych osób w różnym natężeniu. Jego studenci też mieli za sobą różne wpadki. Klasycy niejedną raz przewracali się w grobie. Biedny Wyspiański, który w *Weselu* umieścił niejakiego Nosa, nie przypuszczał nawet, co na przestrzeni lat z nieszczęsnym Nosem wyrabiali młodzi czytelnicy, którzy często poprzestawali na kiepskich streszczeniach. Tak więc Wyspiański złożył w usta Nosa słowa Przybyszewskiego, z ust Nosa padła teza, z ust Nosa wyłoniła się myśl i tak dalej. Przez chwilę pomyślał, że przytoczy te zdania, ale wolał nie ryzykować. Kto wie, czy i kogo by one

rozśmieszyły. Obawiał się, że nie tylko Nikola nie zrozumie. Właśnie zwierzała się, że jej matka jest dewotką, a ojciec inżynierem, kiedy rozległo się gromkie:

— Czołem, bogaty Herkulesie! Musisz mi pomóc, bo moje życie stoi na włosku!

— Chyba wisi — mruknął Andrzej, który poderwał się, żeby zamknąć drzwi z impetem otwarte przez Czesia Rychłego prezentującego teraz całemu zgromadzeniu poszarpane i gdzieniegdzie solidnie rozdarte nogawki spodni.

— Niebawem — zainteresował się detektyw — czyżby ktoś nastawał na pana?

— Co robił? — zdumiał się poszkodowany. — Napadnięty zostałem, kiedy prowadziłem Cezarka. Już mówię, jak było. Spotkałem się wczoraj, jako że w Wielki Piątek pić już nie wypada, więc z nim się spotkał z Kiełbasą i Kapustą, a potem jeszcze doszedł...

— Bigos — domyślił się Andrzej, który znał kolegów Czesia Rychłego i ich osobliwe nazwiska.

— I jak wracałem, spotkałem naszego psa. Tego największego, który pilnuje nocą parku. Cezarek nie chciał wracać, ale go na siłę ciągnęłam. Ktoś go na mnie napuścił, bo nigdy taki gryzący i napastliwy nie był. Chcą się mnie pozbyć, bo wiem, gdzie kucharz mógł zakopać skarby!

— Cezarka przyprowadziłeś? — dziwiła się Łucja Śliwkowa, która właśnie weszła, żeby posprzątać ze stołu. — Jakiego Cezarka? Nasz pies całą noc tu był. Coś ty za bydlę przywłókł do pałacu?! — zdenerwowała się na dobre. — Nic dziwnego, że cię tak urządził, i dobrze, że właśnie uciekł. Koniec z kolegami, a jutro pójdziesz do spowiedzi! — zarządziła ochmistrzyni, a detektyw, śmiejąc się, dodał triumfująco:

— *Voilà!*

— Co „wuala”? — obraził się Czesio, cofając się w stronę drzwi i próbując zakryć ręką sporą dziurę z tyłu spodni. — Jakżeś pan taki prześmiewny, to skarbów sam szukaj! Ja ci nie pomogę!

— Kacper nie będzie jadł w kuchni — oświadczyła Łucja, kiedy za Czesiem zamknęły się drzwi. — Może nie powiedział tego zbyt pięknie, ale dziecko ma rację. Nasze kury chodzą po podwórku, rzuci się im

ziarna albo tego, co tam z obiadu zostanie...

Żaneta Dzikowska definitywnie zrezygnowała z dokończenia obiadu.

Jerzy umiejętnie spowodował, że temat drobiu ostatecznie porzucono. Życzył poszukiwaczom skarbów, żeby zlokalizowali nie tylko skrzynie z bogactwami hrabiów, ale przy okazji brakujące ogniwo ewolucji, złoty pociąg, zero absolutne i bursztynową komnatę i żeby przy tej okazji uniknęli czyhających na nich niebezpieczeństw. W tym momencie spojrzął znacząco w stronę Alicji i Dawida.

— Zważywszy na padający właśnie zmarznięty śnieg, który wali o szyby i w dach, oddam się po obiedzie lekturze w saloniku myśliwskim, zamiast szukać dziury w całym, i to jeszcze w taką pogodę — podsumował.



— Żeby bogactwa wydobyć z ziemi, jeśli tam ukryte zostały, musisz mieć świecę z wosku uzyskanego od młodych pszczoł, które się wyroiły trzy razy w ciągu roku, i jeszcze święconą wodę i nóż zrobiony z żelaznego haka szubienicy. Zrobić go należy w czasie nabożeństwa pasyjnego w Wielki Piątek, czyli pojutrze. A co ty masz, Dawidku? Ty niczego nie masz, nieboraku. Może wodę święconą i świecę, jeśli dobrze poszukać.

— I przydałaby się nam ostatniej nocy, prawdę mówiąc — wtrąciła Alicja, podając gościom deser.

— To czemu nie poszukaliście zapalek w zakrystii, żeby chociaż jakąś gromnicę zapalić? Zło by odstraszyła i duchom zabroniła przystępu. Oj, dzieci, dzieci — narzekała Łucja, równocześnie doglądając parzenia kawy. — Była u nas kiedyś taka poszukiwaczka skarbów, ale marnie skończyła — kontynuowała swoją opowieść niezadowolona, że Alicja i Dawid tej nocy nie spali w swoich łóżkach. — Wstyd i obraza boska, żeby kaplica do czego innego niż do modlitwy służyć miała — gderała.

— Drzwi zamykać porządnie proszę, bo zimno i śniegiem sypnie zaraz, chociaż to już dzisiaj mamy kwiecień — zwróciła uwagę Żanecie Dzikowskiej, która wprawdzie wzruszyła ramionami, ale posłusznie

wykonała polecenie.

— A może ktoś was zamknął w kaplicy, żeby umożliwić romantyczne *tête-à-tête*? — wyraził przypuszczenie Andrzej.

Alicja spiorunowała go wzrokiem, równocześnie stawiając przed nim filiżankę. Łucja tymczasem szła za nią, poprawiała wszystko to, co wcześniej zostało już położone i rozmieszczone, i podjęła wcześniejszą opowieść.

— Służąca znalazła przy drodze zakopany kociołek pełen dukatów. Wszyscy się dziwili. Za miesiąc za kamieniami wypatrzyła drugi garnek z pieniędzmi. Tego już było za wiele. Do kozy ją wsadzili i zaczęli przepytywać. I okazało się wtedy, co to była za jedna, ta Miskowa! Zuzanka, córka gospodarzy, u których służyła, zakopała, nie wiedzieć czemu, swój dziewiczy wianek. A ona nocą go podobno wydobyć chciała, żeby użyć do czarowania. Zuzanka widziała przez okno, jak nagle huragan straszny się zerwał, kiedy tylko Miskowa zaczęła kopać w ziemi, ale ucichło, kiedy wbiła nóż w ramę okna, bo pod oknem wianek był schowany. Wzięła go do ręki, przewiązała końskim włosiem, żeby do czarowania i szukania dukatów służył. I służył razem z nożem i świecą, co ci o niej już, Dawidku, mówiłam. No i trzeba mieć też układy z diabłem, jak ta służąca miała, a o to cię już, chłopcze, nie podejrzewam, chociaż cudacznie nieraz wyglądasz w tych twoich ubrankach. Serce masz mimo wszystko dobre, już ja to wiem.

Dawid powstrzymał się od komentarza.

Okazało się, że los nieszczęsnej służącej posądzonej o czary został przypieczętowany, kiedy jeden z pacholków zeznał, że wydobywając z ziemi skarb, rozmawiała z diabłem. Leżąc na brzuchu, wołała w głąb wykopanej jamy, że obiecuje mu czarnego konia, kozła, koguta i nawet samą siebie. Wołała po polsku, a diabeł nie odpowiadał, bo widać żaden z tych darów nie był mu przydatny. Skarb jednak pozwolił znaleźć, a rajcy miejscy, którzy liczyli, że Miskowa zapłaci jakąś daninę dla miasta, którą dzisiaj nazywa się podatkiem, musieli się obejść smakiem, bo garnce z dukatami zniknęły.

Andrzej odniósł się krytycznie do usłyszonej przed chwilą sensacyjnej historii.

— Jak rozmawiała, jeśli diabeł nie odpowiadał? Rozmowa to

wymiana myśli pomiędzy co najmniej dwoma osobami. Taka jest definicja, a skoro nikt się w tej wykopanej dziurze nie odzywał, mamy do czynienia z monologiem.

— Doceniam każdy przejaw logicznego myślenia. Uważam, że analiza i synteza to klucz do dedukcji, dlatego jestem zaszczycony, że moim pomocnikiem w Stawiskach jest młody człowiek będący w służbie królowej nauk, za jaką nie bez powodu uważamy matematykę — wtrącił barwnie i niezwykle uprzejmie Cyprian Herkules Bogacz, który na chwilę oderwał się od spożywania deseru.

Słowo „spożywanie” dużo bardziej pasowało do opisu czynności, którą wykonywał, niż zwyczajne „jedzenie”, ponieważ w jego wykonaniu było celebracją.

— Magiczne sztuczki i czary, o których raczyła wspomnieć pani ochmistrzyni, nie będą nam potrzebne. Zapewniam, że dedukcja wystarczy. Moje szare komórki i wsparcie ze strony szanownych pomocników są gwarancją sukcesu.

— Opowiedziałam, jak było, a nie raczyłam wspomnieć — obraziła się Łucja. — Zobaczymy, czy te wasze szare komórki wystarczą, skoro jakieś siły nieczyste zamknęły naszą Alicję i Dawida, a potem o północy przyszły do kaplicy. A jeśli nie siły nieczyste, to źli ludzie. Na świadków biorę tu obecnych, że ostrzegałam. I powiadam: miejcie się na baczności, bo może być i tak, że zadufany w sobie detektyw następnym razem nie zdąży na czas.

Po wyjściu Łucji w jadalni zaległa cisza.



Naprzeciwko ratusza montowano ozdoby przypominające o nadchodzących świętach. Narcyza Bucior otworzyła okno i stamtąd doglądała prac. Właśnie przechodziła młoda kobieta z małym, ciekawym świata chłopcem.

— Co tu pisze? — spytał, zmuszając ją, żeby zwolniła.

— Mówi się „jest napisane” — poprawiła go odruchowo matka, zaaferowana swoimi sprawami. Ponieważ nie dawał za wygraną, zniecierpliwiona przeczytała: „Wesołego Alleluja”.

— Co to jest „wesoły alleluj”? — chciał wiedzieć dociekliwy



malec.

Matka zadumała się nad odpowiedzią.

„Właśnie!” — pomyślała nowa pani burmistrz. „Trzeba wyedukować społeczeństwo także i pod tym kątem, a w przyszłym roku napis powinien być bardziej jednoznaczny, bo cóż to w końcu jest »wesoly alleluj«?”

Wieczorem Bucior doszła do wniosku, że do pałacu trzeba wysłać kilka kartek świątecznych, które podpisze własnoręcznie w imieniu mieszkańców jednostki miejsko-gminnej. Już wcześniej zadbała o to, żeby kartki miały odpowiedni charakter. Wezwała panią odpowiedzialną za ich przygotowanie, wytłumaczyła, że nie życzy sobie żadnych jajuszek, kurczaczków i króliczków w trawie. Ma być dosłownie i obrazowo.

Wzięła teraz do ręki jedną z nich, na której natchniony, choć niewątpliwie pozbawiony talentu malarz regionalny namalował postać Chrystusa wychodzącego z grobu, z satysfakcją odczytała wzniosłe i piękne życzenia zaczynające się od słów: „Niech zabrzmie uroczyste Alleluja” i złożyła zamaszty podpis. Przekaze jutro sekretarce listę osób, którym należy je wysłać priorytetem. Na czele tej listy umieściła nazwisko aktora, którego, mimo jego protestów, nadal uważała za swojego człowieka.



Zaneta Dzikowska niechętnie odczytywała pojawiające się w jej skrzynce mailowej życzenia świąteczne. Właśnie dlatego wyjeżdżała dwa razy w roku na takie zadupie, żeby uniknąć całego cyrku z Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. W sklepach kolejki, kolędy, hordy aniołów z zadowolonymi Mikołajami albo znów kiczowate zajaczki, baranki, chorągiewki z napisem „Alleluja”, koszyczki na święconkę. A potem spory o to, kto z kim i w jakich konfiguracjach będzie się tą święconką opychał. To nie dla niej. Mimo wszystko jakoś na te nachalne i słodkie życzenia trzeba odpowiedzieć. Przynajmniej na część z nich, bo są gotowi obrazić się ci, na których jej z różnych powodów zależy.

Znalazła jakiś wiosenny widoczek i zdecydowała, że to on będzie tłem życzeń. Poszukała w internecie inspiracji, skrzywiła się

z niesmakiem, czytając zdanie: „Niech się w śmigus-dyngus woda na Was leje, a zając przyniesie pokój, radość i nadzieję”, z aprobatą pokiwała głową, znalazłszy coś, co wydawało jej się uniwersalne i poetyckie: „Zieloności, słonecznego blasku i optymizmu, a także wiosennego relaksu i wytchnienia”.

Dwie godziny później zamknęła pokrywę laptopa zadowolona, że nie musi już zawracać sobie głowy świętami. Miała tylko nadzieję, że w hotelu nie będą o nich zbyt natarczywie przypominać.

## **AMAZONKA**

— Wygląda w tym kapelutku jak krowa z *Rogatego rancza* — powiedział półgłosem Andrzej i szturchnąwszy młodszego brata, polecił: — Uprzedź mamę, że pani burmistrz na horyzoncie.

— Zawsze ja! — oburzył się Kacper. — Ogłaszam strajk włoski!

— Taaak? A co? Będziesz siedział wolniej, niż siedzisz? Ruchy, bo ja jestem dziś asystentem i pomagam w zorganizowaniu sesji zdjęciowej.

— Niby jak pomagasz? Przecież razem siedzimy na ławce.

— Widzicie, jaki bezczel? — Andrzej zadał nie wiadomo komu retoryczne pytanie.

Kacper, ociągając się, wstał i poszedł w stronę recepcji.

— Andrew, nareszcie zobaczysz świat modelingu w akcji — ekscytowała się Nikola, siadając blisko niego, tak aby jej łokieć wspierał się o jego udo. Zmysłowym ruchem odgarnęła z ramion długie, proste blond włosy i założyła nogę na nogę. Ubrana w czarny obcisły kombinezon i buty na wysokim obcasie mogła niejednego faceta przyprawić o zawrót głowy.

— No weź, wyluzuj trochę. Szukanie niepotrzebnych rupieci i matematyczne zagadki są oldskulowe i megagłupie...

— Powiedziałbym ci, kto jest megagłupi, ale się obrazisz! — Andrzej nie pozwolił jej skończyć. Gwałtownie wstał. — Sorry, idę pomóc kamerzyście i fotografowi.

Zauważył jej uśmiech, jakby przymocowany do twarzy i niemający nic wspólnego z wyrazem oczu.

— Nie ogarniasz? — zapytał z niechęcią niepozabawioną jednak

cienia żalu. Była taka piękna.

Nadal się uśmiechała, ale zaczynała żywić pewne obawy dotyczące ich wzajemnej płaszczyzny porozumienia. Andrew należał do facetów, którzy najwyraźniej nie słyszeli, że Eva Minge proponuje kombinezon w zestawie ze szpilkami i ramoneską i że hitem jest nowa kolekcja tego typu zarówno eleganckich, jak i casualowych ubrań. Czy Andrew nie zlekceważył jej stroju i czy już wiedział, że trendy w modzie często zataczają koło i pojawiają się sezonowo wzbogacone o nowe formy, kroje czy detale? To dotyczy także kombinezonu do niedawna traktowanego z lekceważeniem, ale teraz będącego supermodną alternatywą dla sukienek czy zestawów typu spodnie plus top.



Tymczasem w recepcji Kacper zaanonsował głośno i wyraźnie:

— Kapeć idzie!

— Co idzie? — zdziwiła się Halina Szczęsna.

— Nowa burmistrz. Andrzej mówił, żeby uprzedzić.

— Pani Bucior — domyśliła się dyrektorka hotelu. — Bucior, nie Kapeć! Skąd ci to przyszło do głowy?

— Była u nas w szkole i tak ją nazwaliśmy. Jest śmieszna. Nie wiedziałaś? — Kacper wzruszył ramionami i wyszedł. W drzwiach grzecznie powiedział „Dzień dobry”, ale został zignorowany.

— Chcę rozmawiać z ekipom filmowom. — Nowa pani burmistrz jednostki miejsko-gminnej poinformowała swoją poprzedniczkę, która grzecznie, ale stanowczo odmówiła, wyjaśniając, że właśnie wszyscy goście szykują się do sesji zdjęciowej.

Narcyza Bucior była jednak nieustępliwa i w końcu przechodząca właśnie Żaneta Dzikowska zgodziła się z nią zamienić słowo. Specjalistka od mody najpierw z wyraźną odrazą omiotła wzrokiem jej lekki czerwony szal w białe grochy, odważnie, a nawet brawurowo skomponowany z fioletowym żakietem z grubej wełny z dopinanym kołnierzem, a potem z roztargnieniem wysłuchała zaproszenia na konkurs kulinarny pod hasłem „Na świątecznym stole”.

— Gotujom panie z Koła Gospodyń Wiejskich, będzie prawdziwy kucharz ze swojom wspaniałom czapom. Organizatorzy zabezpieczajom

dobre jedzenie, stoły i sztuce. I będzie degustacja...

— Nie sądzę, żeby mi odpowiadała tutejsza kuchnia — przerwała jej naczelną „Na Salonach”. — Tak naprawdę jestem wegetarianką, czyli nie jem mięsa — wyjaśniła w obawie, że na prowincji mogą nie znać tego słowa, a jeśli znają, mogą nie rozumieć jego istoty.

— Będę też sałatki i ziemniaczki z cebulkom...

— A na czym smażona cebulka?

— Na smalczyku — usłużnie zapewniła Narcyza Bucior.

— Wykluczone. — Żaneta uważała rozmowę za zakończoną. Na odchodnym dodała jeszcze, że pisemne zaproszenie można zostawić w recepcji. Fotograf, kamerzysta i wizażystka nie prowadzą zdrowego stylu życia i jedzą byle co z byle kim i byle gdzie, więc może przyjdą.



Żaneta Dzikowska śpieszyła się, żeby pokierować przygotowaniami do sesji zdjęciowej, ale zanim wyszła, była jeszcze świadkiem hałaśliwego wejścia spoconego z wysiłku listonosza, który taszczył wielki i niekształtny pakunek.

— Jasna cholera! Jasna cholera! — powtarzał. — Czemu się zgodziłem przejąć ten rewir? Tym razem Czesio kupił na Allegro rogi łośia. I po co? Do malucha się nie zmieściły, musiałem pieszo z tym drałować. Nieporęczne, ciężkie i szlag by to jasny trafił! Gdzie ten idiota?! Niech podpisze odbiór, zanim mnie nagła krew zaleje!

Halina zawołała winowajcę, który podpisał co trzeba i powiedział, że w sali myśliwskiej widział takie przepiękne dekoracje, więc podobne chce sobie powiesić w domu na pamiątkę tego, że sam prezydent Mościcki w Stawiskach polował, ale o tym ignoranci, tacy jak niedouczony listonosz, nie mają pojęcia. Rogi kosztowały coś koło tuzena i nie jego zaszary interes, na co on, Czesio, wydaje ciężko zarobione pieniądze.

Wkroczyła Łucja Śliwkowa, która zbesztala obu uczestników kłótni i wysłała do spowiedzi. Żaneta zdążyła wymknąć się na dziedziniec, zanim i ją ochmistrzyni w trybie pilnym zobowiąże do wyznania grzechów, wyrażenia żalu i postanowienia poprawy. Zdecydowała, że do Stawisk już nigdy więcej nie przyjedzie.



Boski Zenek ucieszył się perspektywą degustacji.

— Uwielbiam regionalną kuchnię — zwierzył się Andrzejowi, który pomagał mu rozstawić sprzęt u wylotu dębowej alei prowadzącej do pałacu. — Opowiedz, co tutejsze gospodynie gotują na Wielkanoc. Muszę się mentalnie przygotować. Spróbuję wszystkiego. Jak widzisz, nie muszę się odchudzać, nigdy nie musiałem.

Andrzej zaczął opowiadać o murzinach, kołaczach, domowych szynkach i tartym chrzanie. Boski Zenek mógłby tak słuchać i słuchać, ale przerwał mu, bo po pierwsze, robił się coraz bardziej głodny, a po drugie — praca też mogła stać się dzisiaj fascynująca. Postanowił, że wykorzysta rzadkie chwile, kiedy jaskrawe słońce wychodzi zza ołowianych chmur przynoszących deszcz ze śniegiem, a nawet śnieg.

— Skoro chcesz napisać o wyższych sferach, zrobimy ci klimatyczny materiał ilustracyjny. Zdjęcia i filmik, który możesz wrzucić do internetu. Modelka ubrana w strój amazonki będzie jechać konno dębową aleją. Wyobrażasz sobie? Drzewa jeszcze bez liści, niesamowite i nagie. Ciemne niebo i przedzierające się przez chmury słońce. Kobieta galopuje. Rozwiana suknia, cylinder z woalką albo z fruującymi na wietrze szarfami. Za nią Dawid. Także konno i także w stroju z epoki. W tle pałac. Spotkają się i potem zobaczymy. — Boski Zenek z zapalem omawiał z szefową nową koncepcję.

— Niczego nie zobaczymy, bo Nikola boi się konia. Ostatecznie może obok niego stać, ale tak naprawdę nie usiądzie w damskim siodle. W męskim zresztą też nie. O galopowaniu mowy nie ma. Musisz zrezygnować z tego pomysłu albo zmodyfikować go — zgasła jego zapal Żaneta Dzikowska.



— I tu zaczęły się schody. Koncepcja miodzio, a realizacja do dupy — opowiadał dziesięć minut później Andrzej, którego wysłano, żeby na plan sesji zdjęciowej przyprowadził nie tylko osiodłane konie, ale także Alicję. — Boski Zenek się uparł. Widział cię w siodle. Mówi, że jesteś

zjawiskowa, znakomicie jeździsz konno i że dzisiaj zastąpisz Nikolę, która raz spróbowała, ale miała wrażenie, że siedzi na desce z uszami, i więcej za cholerę tam nie wróci. Musisz się zgodzić.

Alicja się nie zgodziła. Żadne perswazje nie pomagały. Oddała się w ręce stylistki, wizażystki i specjalisty od kostiumów dopiero wówczas, kiedy Łucja Śliwkowa wezwała ją do siebie na krótką rozmowę.



Przyprowadzono konie. Alicja stanęła obok Gardena, złapała za uzdę i przywitała się z nim, przytulając twarz do jego głowy.

— Znakomicie, świetnie, co za naturalność, świeżość. — Boski Zenek podekscytowany i rozgorączkowany zrobił już całą serię zdjęć. — Dawid. Nie stój jak kołek. Co z tobą? Nie możesz oderwać od niej wzroku? Nie dziwię się. Ale ja to przeczuwałem, wiedziałem, byłem pewien, że kamera i obiektyw ją kocha. Panie Jerzy, może wyreżyseruje pan tę scenę? — zaproponował.

Jerzy Zan ociągał się z odpowiedzią. Podobnie jak prawie wszyscy, którzy uczestniczyli w sesji zdjęciowej lub przyglądali się temu, co dzieje się w okolicach pałacu, zdziwił się, zobaczywszy nowe, nieznane dotąd oblicze Alicji Modrzewskiej. Suknia i makijaż odmieniły dziewczynę, a raczej młodą kobietę, ale to nie wydawało mu się aż tak zaskakujące, jak jej sposób zachowania. Kiedy zaczęła się sesja zdjęciowa, grała twarzą, ciałem, gestem, intuicyjnie wybierała pozy pozbawione sztuczności. W tej sytuacji postanowił wkroczyć do akcji, widząc, że jego pomysł ma szansę na realizację. Nikola nie wiedziałaby nawet, o czym mówi, za to Alicja i Dawid kiwali głowami, kiedy tłumaczył, że powinni spróbować odtworzyć emocje, flirt, a może i erotyczne napięcie, wyczuwalne w scenie z *Lalki*, kiedy podczas konnej przejażdżki w Zaslawku Wąsowska próbuje uwieść Wokulskiego.

— Pamiętacie? Powiedziała, że chyba odpiął się popręg i że coś się psuje koło strzemia. Zeskoczył z konia, podszedł, odsunął jej suknię, odsłaniając gołą łydkę, zawahał się chwilę, ale przytulił się do jej nogi, bo tylko w ten sposób mógł włożyć rękę pod siodło, sprawdzić i powiedzieć: „Popręg jest mocny”. Kiedy zasugerowała, że pocałował jej nogę, odparł krótko i rzeczowo: „Nie”. Wydawać by się mogło, że

pozostał niewzruszony, a jednak Prus napisał: „Krew uderzyła mu do głowy”. Nie musicie odtwarzać tych samych gestów i tej samej sytuacji, ale chcę, żebyście stworzyli podobny klimat. Zagrać to?

Zagrali.



Ciemne, ołowiane chmury wisiały nad horyzontem. Odwieczne stare drzewa trwały nieruchome i bezlistne. Nagle słońce niespodziewanie wydostało się spoza granatowego kłębowiska, znajdując jasnoblękitną przestrzeń. Smukła amazonka ukazała się na horyzoncie. Stanowiła idealną harmonię z kłusującym koniem. Wiatr rozwiewał jej suknię i bawił się wstążkami ozdabiającymi cylinder. W połowie drogi dołączył do kobiety przystojny jeździec. Teraz konie szły stępą. Wiatr ucichł. Słońce oświetliło jej i jego twarz, wydobywając urodę, ujawniając nastrój i emocje. Patrzyli na wprost, a jednak wiadomo było, że nie dostrzegają widocznego u wylotu alei majestatycznego pałacu ani białych zawilców i delikatnych fiołków gęsto porastających przestrzenie pomiędzy drzewami. Skupieni byli na sobie.

Zatrzymali się. Zeskoczył z konia. Podszedł do niej. Patrzyła mu w oczy bez słowa, kiedy pomagał jej zsiąść. Dużo dłużej, niż było to konieczne, trzymał ją w ramionach. W końcu stanęła obok niego i pogładziła go po policzku. Powoli, nieśpiesznie, zmysłowym ruchem zaczęła zdejmować rękawiczkę. Wciąż patrzyli sobie w oczy. Zdjął kapelusz. Stał wyprostowany w postawie wykwintnej, wystudiowanej, pełnej szacunku, ale nie dystansu. Pochylił się lekko, jedną ręką przyciskał do piersi nakrycie głowy, drugą ujął jej dłoń i pocałował.

Słońce zaszło za chmury. Zrobiło się dużo ciemniej. Bezlistne drzewa znów stały się niepokojąco tajemnicze, nieziemskie i niesamowite. Mogły wiele opowiedzieć, wyjaśnić i ujawnić, a jednak trwały nieruchome i ciche.



Późnym popołudniem przejęty Boski Zenek przeglądał zdjęcia i po raz kolejny odtwarzał obraz zarejestrowany przez kamerę, która

udokumentowała przy okazji rozanielony wyraz twarzy małej Karoliny przyglądającej się niecodziennemu widowisku. Nie udokumentowała natomiast sceny, która rozegrała się nieco później w małej altance. Tylko Olga zauważyła, że dziewczynka gdzieś zniknęła. Poszła jej szukać. Karolina siedziała z opuszczoną głową, wpatrzona w czubki swoich bucików.

— Nie podobało ci się? — zagadnęła ostrożnie i jeszcze ciszej niż zwykle.

— Podobało, ale muszę jak najprędzej pojechać do Paryża. Tam są najmodniejsze i najbardziej odlotowe ciuchy na świecie, wiesz?

Olga przytaknęła.

— I może tam też naprawią mi uszy. Będę piękna. Nikola mówi, że odstające są *passé*. Nie wiem, co to znaczy, ale chyba, że niedobre. A ja takie mam! — powiedziała z żalem.

Asystentka Żanety Dzikowskiej tego dnia znów ubrała się na czarno, ale pozwoliła sobie na wprowadzenie odrobiny wiosennego klimatu i założyła zielone czółenka, co okazało się nie najlepszym pomysłem, ponieważ pogoda nie była jeszcze w pełni wiosenna. Olga usiadła obok Karoliny i teraz obie wpatrzyły się w czubki jej butów.

— Przemoczone. I brudne — zauważyła dziewczynka. — Chodź, wysuszymy je, bo się przeziębisz.

— Dziękuję. Masz dobre serce. Zanim pójdziemy, chcę ci coś opowiedzieć. To będzie nasza tajemnica. Nie zdradzisz jej nikomu?

— Trzy palce na sercu — zapewniła z przejęciem Karolina.

Olga rozejrzała się uważnie i sprawdziwszy, czy nikt ich nie słyszy i nie widzi, zaczęła:

— Piszę książeczki dla dzieci. Historie o zwierzętach, najczęściej o pieskach. Jedną ci przeczytam. Chcesz?

Karolina skinęła głową.

— Jasne.

Olga wyjęła z dużej czarnej torby mały notebook. Po chwili nieco drżącym głosem odczytywała tekst z ekranu.



W mieście na jednej z wystaw sklepowych ktoś umieścił



ogłoszenie: „Sprzedam szczeniaki”. Do właściciela psów zgłosił się chłopak, który chciał zobaczyć pieski. Przybiegły wszystkie. Wydawały się sympatyczne i rozbrykane, ale jeden był inny. Utykał.

Chłopiec zapytał o cenę i długo przyglądał się najwolniejszemu ze wszystkich i najmniej radosnemu psu.

— Wezmę go — zdecydował w końcu.

Właściciel szczeniaków był wyraźnie zdziwiony.

— Weź zdrowego! Po co ci taki kulawy piesek?

— Nie! Chcę go kupić.

— Dobrze! Skoro się upierasz, proszę bardzo. Ale ponieważ jestem uczciwym człowiekiem, dlatego oddam ci upatrzonemu psu za połowę ceny. Nie jest tyle samo wart, ile jego rodzeństwo...

— Skąd! — gwałtownie zaprotestował chłopak. — Zapłacę tyle, ile za zdrowe psy. Teraz mam tylko połowę, ale obiecuję, że resztę pieniędzy przyniosę jutro.

— Skoro się upierasz... Mimo to nadal nie rozumiem...

— Nie szkodzi. Nie chcę niczego tłumaczyć.

Chłopak odchodził, niosąc na rękach swojego nowego przyjaciela — szczeniaka. Właściciel uważnie im się przyjrzał i nagle zrozumiał wszystko. Chłopak też był inny niż wszyscy; jedną nogę miał nieco krótszą i lekko utykał.

— Taaak — powiedział zamyślony. — To kaleka, a przecież nie jest wart mniej niż inni ludzie.

Tymczasem chłopak śpieszył się, ponieważ zaczął już zapadać zmierzch, a droga do domu była daleka. Miał wrażenie, że szczeniak zasnął, kiedy nagle usłyszał jego głos:

— Jestem szczęśliwy. Nie spodziewałem się, że ktoś wybierze właśnie mnie. Dziękuję.

— Nie ma sprawy — odpowiedział chłopiec.

— Nie dziwi cię to, że rozmawiamy?

— Niespecjalnie. Od razu wiedziałem, że jesteś niezwykły.

— Jestem po prostu inny.

— Masz jakieś imię?

— Jeszcze nie, ale uważam się za szczęściarza. Może nazwiesz mnie Felix? Ale pisane przez „x”, bardzo proszę. Chciałbym mieć coś

oryginalnego. „X” jest tajemnicze i oryginalne. Zgoda?

— Może być! Felix znaczy szczęśliwy. A ja mam na imię Janek. Nic specjalnego, może lepiej, gdyby mama nazwała mnie Albertem, ewentualnie Herakliuszem. Wiem jednak z doświadczenia, że takie imiona nauczyciele szybciej zapamiętują, dlatego ci, którzy je noszą, spędzają dużo więcej czasu przy tablicy niż zwyczajny Janek, więc nie mam uwag. Jest spoko.

— Chodzisz do szkoły?

— Nie mam wyjścia, ale teraz na szczęście jeszcze trwają wakacje. Lubisz wakacje?

Felix nie odpowiedział. Wtulił się tylko w ramię swojego nowego właściciela, a rytm kroków utykającego chłopca ukołysał go do snu. Zanim zasnął, przypomniał sobie słowa pewnego bardzo mądrego człowieka: „Gdyby wszyscy mieli po cztery jabłka, nikt nikomu nie byłby potrzebny”. Nie wszyscy są jednakowo piękni, silni, odważni i utalentowani, ale wszyscy mogą być dobrzy dla innych. To jest najważniejsze.

Felix i Jan zostali przyjaciółmi na całe psie i ludzkie życie.



Olga skończyła. Niepewnie spojrzała na słuchaczkę i recenzentkę jej pierwszych literackich prób.

— I jak?

— Miodzio! — z entuzjazmem oceniła rozpromieniona Karolina, której oczy nie miały już nawet śladu łez. — Tak mówi Andrzej, kiedy mu się coś mega podoba — wyjaśniła, widząc nieco zdziwione spojrzenie autorki, i dodała prosząco: — Mogę razem z tobą układać bajki?

— Dobrze — zgodziła się oficjalna asystentka i konspiracyjna literatka. — Tylko najpierw zmienię buty. Idziemy.

Poszły.

Tego dnia Karolina postanowiła zostać pisarką.

**TAJEMNICA ALICE BISCH**

Zmierzchało. Dawid i Alicja siedzieli na tarasie. Oboje byli zmęczeni, ale dzień uważali za udany, choć przyniósł ze sobą nieplanowane i niezwykle zdarzenia.

Ogród domu na skraju wsi wyraźnie już zaczynał mieć wiosenny wygląd; choć śnieg uparcie jeszcze czasem prószył, trawa była już jasnozielona. Widać też było liliowe plamy fiołków, żółte i białe narcyzy, a z ziemi wylażyły tulipany, które zakwitną nieco później. Ptaki nie przejmowały się śniegiem i śpiewały tak, jak powinny śpiewać ptaki oznajmiające wiosnę. Było pięknie, choć dość zimno.

— Dziękuję za kawę. Przyszedłem do ciebie, bo... — nie dokończył, ponieważ usłyszeli dźwięk telefonu komórkowego. Alicja szukała go bez skutku.

— Czekaj, pomogę... — Dawid zerwał się z krzesła. — Zdaje się, że gdzieś na górze.

Znów zbyt szybko, zbyt głośno, zbyt stanowczo zaprotestowała:

— Nie! Nie idź tam! Sama poszukam.

— Za późno, już mam... O kurde! Ale chata! — Dawid rozglądał się ciekawie po pokoju. — Antyki, obrazy, lustra — wymieniał — jak w muzeum. Nooo, na bogato. I właściciele mają też hopla na punkcie historii, jak ty, prawda? Mogę?

Nie zdążyła odpowiedzieć, zresztą i tak już rozmawiała z kimś, kogo wyraźnie próbowała zniechęcić. Mówiła stanowczo, że to nie jest odpowiedni moment, że innym razem, że jest zajęta.

Dawid usiadł, a właściwie zapadł się w jednym z foteli i przeglądał książkę, którą znalazł na biurku. Spoważniał.

— Co się stało? — zapytała.

Powoli, przyglądając mu się z uwagą, odłożyła telefon, usiadła naprzeciwko, zapaliła secesyjną lampkę. Nie odpowiedział.

— Zrobiło się chłodno, nie wracajmy na taras. Zaparzę herbaty... — zaproponowała.

Przed chwilą chciała, żeby już sobie poszedł i zakończył tę dziwną i niespodziewaną wizytę, ale teraz zauważyła, że siedzi przed nią inny Dawid. Nie był to beztroski, dowcipny i czarujący, wyluzowany, rozdający wystudiowane uśmiechy i autografy człowiek sukcesu. Był szary jak szara godzina, która się właśnie zaczynała. Nie tknął

postawionej przed nim herbaty z miętą.

— Wiesz, co to jest?

Pokazał okładkę książki, która leżała na stoliku.

— Oczywiście. Świetna rzecz, bestseller. Umiejętnie zbeletryzowana historia oparta na faktach.

— Właśnie. Na faktach. Dziwne — zaśmiał się, ale jakoś sztucznie, inaczej niż zwykle. — Co za zbieg okoliczności. Parę miesięcy temu czytałem ją w radiu. Pierwszy rozdział. Posłuchaj.

— Ale ja już...

— Posłuchaj.

Był stanowczy, poważny, skupiony. Przesunął lampkę bliżej siebie. Zaczął czytać.



— Trzynastka jest pechowa! Od razu mówiłem, żeby nie pakować się do jednego pociągu. Dobrze, że mi chociaż gitarę zostawili! — Krępy czarnowłosy chłopak rozpalał ognisko, komentując gderliwie zdarzenia mijającego dnia. Kilkunastu młodych ludzi krzątało się blisko plaży, rozbijając namioty, wypakowując plecaki, przygotowując biwak.

— Stary! Twoje teorie są do dupy! — krzyknął wesoło przeraźliwie chudy i pryszczaty drałgal, odrywając się na chwilę od pracowitego sporządzania jakichś notatek. — Liczyć nie umiesz? Jaka pechowa trzynastka? Alina holuje przecież młodszą siostrę!

— Gruby! Zostaw to! Potem będziesz gryzmolił ten twój dziennik. Do roboty! — komenderował przystojny brunet w okularach.

Kończył się upalny dzień. Pierwszy dzień ich wakacji w Jugosławii. Byli grupą dobrych znajomych, a nawet przyjaciół. W ciągu roku akademickiego mieszkali na osiedlu studenckim. Niektórzy z nich znali się jeszcze z podstawówki albo przynajmniej z liceum. W niełatwych czasach dogasającej, ale jeszcze wciąż wszechwładnej komuny postanowili zobaczyć kawałek świata. Bez troskie, ale i nieraz dość ubogie było życie studentów, zwłaszcza że czasy do bogatych nie należały, chyba że się było odpowiednio ustawionym. Oni nie byli, może z wyjątkiem Grubego, ale Gruby to równy gość. Ojciec wprawdzie aktywnie działał w Komitecie partii, ale

syn za to pokrzykiwał przy każdej okazji: „Precz z komuną!” i należał gdzie trzeba, więc go koledzy przygarnęli.

Obiecał, że będzie kronikarzem wyprawy, poza tym jako jedyny miał konkretną kasę, a nie tylko konserwy, makarony i pół plecaka sprzętu, który trzeba było sprzedać w tej pięknej i gorącej Jugosławii, żeby przeżyć dwa tygodnie. Wiadomo było, że jakby co, nie da kolegom zginąć z głodu. Makówa prawie niczego już nie miał, bo celnicy wezwali go do kontroli i spytali, po co mu tyle kaw, piłek plażowych, różowych szminek i dwie wiertarki. Coś tam tłumaczył, ale i tak prawie wszystko mu zabrali. Litościwie zostawili tylko konserwy, makaron, gitarę i flaszkę.

— On nie dopłynie! Po co się z nim założyłeś, idioto! — Basia była zdenerwowana. Stała blisko brzegu, od czasu do czasu przykładła dłoń do czoła, żeby padający na twarz cień osłaniał ją od jaskrawego słońca i ułatwiał śledzenie sylwetki majaczącej w oddali. Gruby był w połowie drogi. Miał dopłynąć na wyspę, odsapnąć i wrócić. Wypili już trochę, prawie zapomnieli o zatłoczonym pociągu i kontrolach na granicach. Byli panami świata, o którym ich rodzicom nawet się nie śniło. Gruby się wyrывał, że dopłynie do wyspy, więc niech się chłopak wykaże. Czy ktoś go zmuszał?

Chwilę później już nie tylko Basia stała przy brzegu spokojnego, ale jednak przecież groźnego morza. Pozostałym dziewczynom wyraźnie udzielił się jej niepokój.

— Histeryczki! — powtarzał Adam, leżąc na nagrzanej południowym słońcem skale i od czasu do czasu spoglądając w stronę wyspy i w stronę Grubego. Gruby wcale nie był gruby — był chudy jak patyk i nie miał najlepszej kondycji. Widać było, że wyraźnie zwolnił tempo.

Makówa poderwał się niespodziewanie i zawołał:

— To mój najlepszy kumpel! Ruszcie się i zorganizujcie jakąś łódkę! On nie dopłynie!

Basia już szarpała za ramię drzemiącego Orzecha, inni też chyba zaczęli rozumieć powagę sytuacji. Teraz nie byli już uczestnikami bez troskiej wyprawy. Makówa wskoczył do wody i płynął już w jakimś rozpaczliwym i upartym pośpiechu. Mógł powstrzymać kumpla przed

tym głupim zakładem, ale nie chciał się wychylać. Nie daruje sobie, jeśli będzie za późno.

Godzinę później owinięty w śpiwór Gruby siedział przy ognisku.

— Spanikowaliście! — powtarzał uparcie. — Wygrałbym zakład!

Kiedy jednak znalazł się sam na sam z Makową, powiedział półgłosem:

— Dzięki, stary! Nie dałbym rady!

— Wiem. — Makowa się uśmiechnął. — Ale oni nie muszą wiedzieć.

— Nigdy ci tego nie zapomnę. Myślałem, że już po mnie. Jesteś moim najlepszym kumplem — wyciągnął rękę.

— Jasne! Napijmy się. — Makowa chciał już najwyraźniej uciąć tę zbyt kliwą, jego zdaniem, rozmowę. — Kumpel to kumpel — dodał i poszedł po schowaną głęboko w plecaku flaszkę przeznaczoną na czarną godzinę.

Przytulone do siebie pary dyskretnie wmykały się do namiotów. Ktoś brzdąkał na gitarze, ktoś śpiewał cicho: „Już jest za późno, nie jest za późno”.

— Przyjaciele! — zawołał Makowa, pokazując wydobytą z czeluści wysłużonego plecaka butelkę wódki. — Napijmy się za wakacje w Molunacie! I za to, żebyśmy się tu znowu spotkali, kiedy już się w życiu ustawimy, obalimy komunę i kiedy będziemy sławni i bogaci!



Skończył. Zapadła cisza. Wstał z fotela, odłożył książkę i usiadł na podłodze u stóp Alicji. Oparł się o jej nogi. Odruchowo wsunęła dłoń w jego włosy. Czekala. W końcu zaczął mówić:

— W studiu czekał na mnie autor tej książki, Maks Wierzbicki. Był bardzo tajemniczy. Powiedział tylko: „Chciałem, żeby to pan czytał *Zdrajcę*. Właśnie pan”.

— Byłem zaintrygowany. W domu doczytałem ją do końca. Wiesz, o czym jest książka?

Kiwnęła potakująco głową, ale nie zwracał na nią uwagi. Mówił dalej:

— Paczka kumpli, razem na dobre i na złe w siermiężnych czasach PRL-u. No i Gruby, dość zakompleksiony nieudacznik przygarnięty przez rówieśników. I co się okazało? Cały czas kablował, regularnie opowiadał ubekom o tym, co się dzieje w akademiku. Makówa przez niego wyleciał ze studiów, a był zdolny jak cholera. Miał wyjechać na stypendium. Musiał potem studiować zaocznie. I wiesz co? Uparty był, więc zrobił doktorat, habilitację, a po latach pracował jakiś czas w IPN-ie i przejrzał swoją teczkę. Tak powstała ta historia. Opowiedział ją dziennikarzowi, który napisał powieść o zdradzie. Gruby zrobił karierę. Makówa nigdy nie ujawnił jego nazwiska. Ale ja je poznałem.

Dawid mówił szybko, jakby chciał całą tę opowieść mieć już za sobą.

Alicja słuchała, nie wtrącała się, nie zadawała pytań. Godzina już nie była szara. Mrok nocy rozświetlało ciepłe, pomarańczowe światło secesyjnej lampy z abażurem.

W pewnym momencie Dawid przerwał, wziął głęboki oddech, odwrócił się wolno w stronę Alicji, pocałował wewnątrz dłoni zamysłonej dziewczyny, patrząc jej głęboko w oczy. Zrobił tak, jak parę godzin wcześniej, ale tym razem nie na użytek kamery i aparatów fotograficznych.

— Wiesz, kim był Gruby? — zapytał.

Odpowiedziała mu cisza.

— Domyślasz się chociaż? — powiedział głośniejszym głosem i znów usiadł u jej stóp, kładąc głowę na kolanach Alicji.

Ponownie wsunęła dłoń w jego włosy i gładziła go po głowie delikatnie, jak uspokaja się skrzywdzone dziecko. Nie powiedziała, że domyśla się, co za chwilę usłyszy.

— To był mój stary... Prawy i sprawiedliwy. Aktor o wielkim dorobku, wybitna osobowość, oddany sztuce przez duże „S”!

Milczeli chwilę.

— Rozmawiałeś z nim? Pytałeś go dlaczego?

— Nie. Odkąd się dowiedziałem, tym bardziej olewam jego umoralniające gadki. Żyję po swojemu. Wino, kobiety i śpiew. Żadnych wielkich idei, żadnych haseł, żadnej służby i posłannictwa, bo to wszystko gówna prawda! A tobie łatwo mnie oceniać, bo widzisz tylko

świat czarny i biały, biały i czarny.

Znów się zaśmiał, znów nienaturalnie. Nagle wstał, przyjrzał się Alicji uważnie i zapytał:

— Powiedział ci?

Namyślała się chwilę.

— Niezupełnie. Powiedział tylko, że zrobił kiedyś coś, czego się wstydzi, ale nie miał wyboru, a później starał się wszystko naprawić.

— Jasne! Naprawić. Matka odeszła, zostaliśmy sami. Mistrz i syn, który nie spełnił jego oczekiwań.

Rozmawiali do późna. Kiedy odchodził, był już spokojny, melancholijny, może trochę wstawiony, bo Alicja przyniosła ze swojego pokoju czerwone wino i wypili — a raczej wypił — sporo.

Pocałował ją w policzek.

— Mam wrażenie, że znam cię od lat. Świetnie potrafisz słuchać. Dotąd żadna inna kobieta...

Przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się. Mówił coraz ciszej:

— Twoje włosy zawsze pachną czymś naturalnym. Miętą, poziomkami, lawendą... sam nie wiem... Dzisiaj zobaczyłem inną Alicję. Jest w tobie coś takiego, że... gdybyś tylko chciała...

Dotknął ustami jej ust, najpierw czule i delikatnie, a kiedy się nie odsunęła, delikatność zmieniła się w natarczywość, żarliwość i zmysłowość, a wówczas, jakby niechętnie i z przymusem, odepchnęła go lekko. Poprawiła fryzurę, dotknęła ręką policzka.

— Już późno. Wyśpij się, a jutro pogadaj z ojcem.

— Jak chcesz — westchnął z rezygnacją. — Zawsze zasadnicza. Pani profesor od historii. Żadnych uczuć? Żadnych namiętności? Nic? Nawet hrabiego nie kochałaś?

Nie odpowiedziała. Gestem wskazała wyjście.



Idąc w stronę schodów prowadzących na parter domu, zobaczył uchylone drzwi do jej pokoju i światło, które zapomniała wyłączyć. Nie zapytał, czy może wejść. Po prostu wszedł.

— O kurde! — usłyszała. Wiedziała, że zaskoczyło go nie tylko to, że wnętrze, do którego wtargnął, ma zupełnie inny klimat, ponieważ jest



nowoczesne i funkcjonalne. Z niedowierzaniem przyglądał się plakatowi wiszącemu naprzeciwko drzwi.

— Alice Bisch! Dawno jej nie widziałem. Świetna modelka, chodziła dla Gucciego, dla Prady, dobrze się zapowiadała, mogła być ikoną, twarzą znanych marek, ale nagle skończyła karierę... Wyjechała gdzieś podobno... Nikt nie wie...

Mówił coraz wolniej. Patrzył na Alicję, znów na dziewczynę z plakatu.

— Ale ze mnie idiota. To przecież ty! Masz inne włosy, często zakładasz okulary, nie robisz makijażu, nosisz jakieś workowate ciuchy, ale to twoja twarz!

Nie zaprzeczyła. Usiadł na jej łóżku. Potarł czoło. Stała w progu bez słowa.

Zaskoczenie powoli mijało. Wiedziała, że kiedyś się dowie albo domyśli, ale nie chciała, żeby to nastąpiło za wcześnie. Już nie był zdziwiony, raczej rozdrażniony i rozgoryczony.

— Czemu mi nie powiedziałaś? Opowiadałem ci o życiu w świetle reflektorów, o modelingu, mądrzyłem się, a ty przecież... Ale byłem głupi... Ta dzisiejsza sesja zdjęciowa, twój profesjonalizm, a wcześniej wszystkie niedomówienia, zdania urwane w połowie. Najpierw ojciec, teraz ty, po drodze jeszcze parę innych osób... Dlaczego ludzie, na których mi zależy, wciąż mnie rozczarowują? Kiedy grają, a kiedy są prawdziwi? Na scenie jesteś Alice, za kulisami Alicją, albo odwrotnie. Ten twój hrabia wiedział?

— Nie byłby zadowolony.

Wstał, zaczął szybko schodzić po schodach. Kiedy otwierał drzwi wejściowe, powiedział z wyraźnym wyrzutem.

— Wypasiona chałupa na tym zadupiu i równie wypasiony ogród. To wszystko na pewno należy do ciebie. Alice Bisch zarobiła na wybiegu niezłą kasę. Dziś mało kto o niej pamięta. Minęło parę lat, a w tej branży szybko się zapomina. Ale ja nie zapomniałem... Mogłaś mi powiedzieć, myślałem, że jesteśmy co najmniej kumplami. Wyszedłem na durnia.

Wyszedł. W sensie dosłownym i przenośnym. Nie zaprzeczyła.

Odczekała chwilę, zgasła światło przed domem, zamknęła

uchylone drzwi na taras. Usiadła w fotelu, chwilę później słuchała, jak Indila śpiewa *Dernière Danse*. W jednym z wywiadów powiedziała, że w jej piosenkach jest łagodność i cierpienie.

„Chyba tak” — pomyślała Alicja i uświadomiła też sobie z żalem, że Dawid nie da się tak łatwo udobruchać. Gotów obrazić się na dobre. Szkoda. Przy bliższym poznaniu zyskuje. I wcale nie jest taki próżny, jak chcą „Pudelek”, „Gwiazdy”, „Plotki” i „Na Salonach”... Ale teraz już wszystko przepadło.

Indila, powtórzywszy tęskny refren o tańcu i słodkiej udręce, umilkła.

— Czyli koniec — powiedziała półgłosem Alicja. — Coś się kończy, zanim na dobre się zaczęło.

## **ZDRAJCY**

— Nie wchodzić! Bo powycierałam! — Łucja stała z miotłą na straży i nie wpuszczała tych, którzy zbyt wcześnie przyszli na śniadanie. Przy okazji też informowała, że dzisiaj można zjeść tylko raz do sytości i że dwa pozostałe posiłki są, owszem, przewidziane, ale skromniejsze niż zwykle, bo jest post ścisły.

— Dlaczego? — zapytała Nikola.

— Wielki Piątek przecież. Ten dzień powinno się spędzić w domu i w kościele. Specjalnie wyganiałam już wcześniej do spowiedzi, bo podobno jedynie zbrodniarze wyznają grzechy w Wielki Piątek. Wszyscy natomiast muszą pocałować wystawiony w kaplicy krzyż — objaśniała ochmistrzyń, uprzedzając gości, że nie będzie żadnej muzyki, radia, telewizji ani wymyślnego jedzenia. Będzie post i cisza.

Modelki, stylistki i wizażystki wznosiły oczy w górę, Żaneta wspomniała coś o średniowieczu, zacofaniu i braku tolerancji, ale Łucja nie pozwoliła jej dokończyć:

— To nasze Stawiska. Pani tu tylko w gości przyjechała i czy się to podoba, czy nie, będzie tak, jak odwiecznie bywało.

Dziewczyny razem z szefową postanowiły ten trudny dla nich czas spędzić z dala od hotelu i wracać tu jedynie na noc.



Łucja nie mogła się nadziwić, jak to się wszystko pozmieniało. Dawniej nie musiałyby niczego tłumaczyć, nakazywać i zakazywać, bo wszyscy wiedzieli, co należy robić.

— Kiedyś moja matka na widok kobiety w spodniach splotowała z pogardą — wspomniała.

Alicja się roześmiała.

— Jerzy i Dawid wykonują zawód, który też kiedyś był uważany za niemoralny. Dzieciom z porządných domów nie wolno było chodzić do kina. Nasza „Gwiazdka Cieszyńska” ostrzegała, że filmy to źródło zepsucia, zgorszenia i podniet niemoralnych, że przedstawiają zazwyczaj sceny pieprzne, lubieżne i podniecające najniższe instynkty. Dwaj złodzieje zeznali, że uczęszczali pilnie do kinoteatru i tam jeden z filmów stał się dla nich wzorem dokonania napadu na kasjera. Dzisiaj nikt już nie uważa, że kino to diabelski wynalazek.

— Ja tam nie wiem, może i wszystko się pozmieniało, ale są rzeczy święte i niezmiennie. O nie będę walczyła, choćby jakieś wymalowane paniusie miały już nigdy do mojego hotelu nie przyjechać. Trudno. Jerzy przyjedzie, może Dawid i Olga, bo choć zalękniona i jakaś nieopierzona, to jednak dobrze jej z oczu patrzy. Może nawet ten dziwaczny Włoch, co szuka skarbów, i jeszcze dziwniejszy detektyw znów nas odwiedzą.



Powagę Wielkiego Piątku przerwało wołanie Kacpra.

— Ratunku! Trzeba go wyciągnąć! Kazał wołać strażaków!

Zaniepokojona Halina wybiegła z pałacu.

— Co się stało? Kogo trzeba wyciągać? Skąd? Andrzeja?

— Nie! Andrzej kazał mi sprowadzić pomoc! Znaleźliśmy skarb, ale pan Czesio wpadł do starej studni... w lesie...

Halina oddała zziąjanego syna w ręce Łucji, która dowiedziawszy się, o co chodzi, powiedziała, że tak to się kończy, kiedy starych zasad ludzie nie szanują. Wiadomo, że w Wielki Piątek nie wolno grzebać w ziemi, a strażacy mają zebranie w sprawie pilnowania Bożego Grobu, więc nie są w gotowości bojowej i w ogóle po co ten głupi Czesio tam polazł.



Wbrew zapowiedziom udało się jednak sprowadzić strażaków i godzinę później wyciągnęli Czesia z pułapki. Triumfalnie dzierżył w ręku skarb w postaci podłużnej skrzynki. Był umorusany i bosy, bo buty zostały w mule na dnie studni.

Podeksycytowany opowiadał, jak to pan detektyw odkrył, że na mapie jest taki znaczek w lesie. I on wiedział, bo mu stary Chudy, który wcale nie był chudy, a wręcz przeciwnie, mówił, że tam była stara studnia. I poszli tam rano, zaczęli kopać, potem się wszystko obsunęło i wpadł, bo się okazuje, że studnia tylko z góry była przysypana.

Chciał jeszcze opowiadać, ale wszyscy zgromadzeni na dziedzińcu pałacowym domagali się otwarcia skrzyni. Boski Zenek i Michał Michałek stali w pogotowiu z aparatami fotograficznymi wycelowanymi w starą podłużną skrzynkę, równie sponiewieraną i brudną jak bosy, ale szczęśliwy Czesio, który dopytywał, ile znaleźnego mu wypłaca.



Jerzy Zan wracał z długiej wycieczki rowerowej. Od razu po śniadaniu pojechał w stronę Brzezówki, którą podobno któryś z hrabiów podarował swojej kochance. Ładna okolica, wąska wiejska droga, kręta i malownicza, stanowiła znakomite tło jego rozmyślań. Rzadko spotykał ludzi, czasem mijały go samochody. Stawiska powoli się wyciszały. Łucja Śliwkowa narzekała wprawdzie, że wiele się zmieniło, ale on uważał, że tradycja ma się dobrze. Ewangelicy nie pracują, bo Wielki Piątek to dla nich największe święto. Katolicy tego dnia nie wychodzą w pole, chociaż podobno posiane tego dnia zboże lub posadzone ziemniaki wydadzą obfity plon. Nie wolno orać ani, broń Boże, wywozić nawozu.

Jerzy lubił ciszę. Zaplanował przyjazd do Stawisk w taki sposób, żeby trafić na ciche dni. Chciał być sam. Nie przewidział, że spotka Dawida, który w dodatku wywlecze tamtą sprawę sprzed lat i nazwie ją zdradą. Roman Brandstaetter miał rację, kiedy pisał w *Kronikach Assyżu*, żeby zbyt pochopnie nie osądzać i nie wydawać wyroków.

„Bądźmy ostrożni w ocenie życia ludzkiego i jego upadków, i rozpaczliwych szamotań. Sąd nad życiem człowieka jest procesem niezwykle trudnym, gdyż równocześnie z nim samym należy sądzić jego świat, jego dom, w którym mieszka, jego drzewa, w cieniu których zwykł wypoczywać, kamienie, po których stąpa. A przede wszystkim należy rzucić na szalę wagi ciężar jego milczeń, towarzyszących słowom, czynom i krokom”<sup>4</sup>. To był ulubiony fragment cytowany przez Jerzego wielokrotnie, także podczas nocnej kłótni, która w końcu stała się rozmową. Wówczas też po raz pierwszy powiedział synowi, że należy do tych, którzy wciąż szukają odpowiedzi na ważne pytania. Niedawno, przeczytawszy *Kroniki*, poszedł drogą, która zaprowadziła żydowskiego pisarza z Jerozolimy do Asyżu, próbując, jak on, zastanowić się nad istotą wierności i zdrady, winy i zasługi. Stale zajęty kolejnymi artystycznymi projektami postanowił na jakiś czas zwolnić tempo. Ostatecznie nie jest ważne, z jaką gnasz prędkością, ale czy zmierzasz w dobrym kierunku.

„Przebudzony kamień jest bardzo zdziwiony, Z przebudzenia wynika, że nie jest kamieniem”. To zdanie zapamiętał, bo lubił, kiedy słowo nie tylko pięknie brzmiało, ale wymagało od czytelnika, widza czy słuchacza wysiłku umysłowego i o takim wysiłku świadczyło. Roman Brandstaetter niewątpliwie był inteligentny. Miał prawo spodziewać się nagród, których nie otrzymał. Pismo informujące o przekazaniu dziesięciu tysięcy egzemplarzy *Kronik Asyżu* na przemiał oprawił w ramkę i zawiesił w swoim gabinecie. Powiedziano mu: „Napisz ładny dramat o Stalinie”. Wiedział, że za to może zamieszkać w willi. Nie napisał. Donoszono czynnikom partyjnym, że nie zachowuje się wprawdzie jak arystokrata i nie ma służącej, ale na jego ubraniu nie ma ani jednej nitki z rodzimej produkcji.

Zamiast pisać o Stalinie, zwierzał się, że w Jerozolimie podczas wojny przeżył noc biblijną. Jego rodzinę tymczasem pochłonęły krematoria. On żył, może po to, żeby zobaczyć fotografię przedstawiającą rzeźbę Chrystusa ukrzyżowanego z kościoła San Damiano w Asyżu. Przyjrzał się, zaskoczony, bo zrozumiał, że to nie jest wizerunek martwego proroka. Przebudzony kamień może być bardzo zdziwiony. Przebudzony człowiek tym bardziej.

Kilkanaście lat temu Jerzy mógł powtórzyć, jak jego ulubiony pisarz: stoimy na murach starej Jerozolimy, nad górami Judei wschodzi księżyc, trwa duszna jerozolimska noc, idziemy przez Via Dolorosa krętymi uliczkami, zawiłymi jak nieczytelne litery arabskie. Mógł powtórzyć, używając liczby mnogiej. Poleciał do Tel Awiwu z rodziną. Wtedy jeszcze byli rodziną. Razem z tarasu widokowego wzrokiem szukali Hakeldamy. Szukali Pola Krwi kupionego za pieniądze stanowiące zapłatę za zdradę i za śmierć Galilejczyka, którego słowo nie przeminie. Patrzyli na niewielkie miejsce na stoku wzgórza stromo schodzącego w stronę doliny Gehenny trochę ze strachem, trochę ze smutkiem. Nade wszystko jednak patrzyli z ciekawością. Oto zmaterializowało się to, o czym wiele razy słyszeli i czytali. Namacalny ślad człowieka, który przegrał życie. Nie przypowieść, bajka, metafora i nie symbol. To prawdziwy człowiek i prawdziwe Pole Krwi. Prawdziwe były też pieniądze, którymi płaci się za zdradę. Trzydzieści srebrników. Podobno dzisiaj Judasz mógłby za nie kupić dziesięcioletni samochód, a w tamtych czasach dobre sandały albo pięć kilo wieprzowiny. Czy to prawda? Czy to solidna zapłata za śmierć nauczyciela i przyjaciela, nawet jeśli nie wierzyło się, że jest kimś więcej? Czy gdyby nie zdradził, spełniłoby się to, co miało się spełnić?

Judasz spowodował gwałtowny zwrot akcji. Miał za zadanie odegrać scenę pocałunku, z powodu której tydzień, który zaczął się triumfalnym wjazdem do Jerozolimy, stał się również tygodniem śmierci Proroka, którego noszono na rękach, żeby parę dni później zamordować. A wszystko zaczęło się od momentu, w którym Chrystus dał do zrozumienia, że przewiduje pocałunek zdrady. Wtedy Judasz wyszedł z Wieczernika, w którym wszyscy inni zostali. Nikt go nie zatrzymał. Wszystko, co się stało, musiało się stać. Może sądzili, że rozdaje jałmużnę, ale Chrystus wiedział na pewno, że już ułożył się z Wysoką Radą i niebawem Go sprzeda. Na pewno Judasz jakoś to sobie wytłumaczył: że dla dobra, że w imię, że dla ratowania. W opisie tamtego zdarzenia czytamy: „A była noc”. Była noc. Wyszedł w tę noc, w mrok i w ciemność. Potykał się o kamienie, o bruk, o nierówności, ale doszedł do celu i odtąd na wszystko było już za późno.

Wyjdzie jeszcze na scenę, kiedy pocałunkiem wyda Syna

Człowieczego. Zrobi to pod osłoną nocy, przy migoczącym, chwiejnym świetle pochodni. A potem zobaczymy jedynie uosobioną rozpacz, bo kiedy już zrozumiał, co się stało, chciał zawrócić kijem bieg rwącej rzeki. Nie udało się, bo nie mogło się udać, więc jeszcze tylko rzucił dramatycznym gestem pieniądze. Cyniczni kapłani, reżyserzy ponurego widowiska, powiedzieli: „Ależ twój gest nie ma już żadnej siły wyrazu, jest pusty”.

Pozostała tylko śmierć. Judasz nie czekał, sam ją przywołał i to było jego efektowne zejście ze sceny.



W zeszłym roku zdecydował, że przejdzie kolejny etap śladami pisarza i poety, Romana Brandstaettera. Odkąd przeczytał po raz pierwszy jego *Kroniki*, zachwycił się niewielką książeczką. Przemówiły do jego wyobraźni opisy wzgórz Umbrii płynących falistą linią, miękką jak linia Giotta, wzmianki o misterium Asyżu i o krypcie z prochami świętego Franciszka, w której sarkofag oświetlony jasną aureolą kilku kaganków jest milczącą modlitwą skamieniałą w mroku.

Brandstaetter zatrzymał się kiedyś w Subasio, a on w Ròseo, jednak krajobraz z hotelowego tarasu zastał podobny. W dole rozciągała się łagodna dolina umbryjska, skupiona i cicha. W mieście odnalazł dom i sklep bogatego Piotra Bernardone, który handlował sukniem i nie mógł dogadać się z synem. Franciszek, kapryśny, młody modniś będący duszą towarzystwa, wydawał jego pieniądze, aż ostatecznie oszalał. Brudny obdartus znów zabrał jego dobra, żeby tym razem rozdać żebrakom. W końcu zlekceważył ojca i jego majątek. Wystąpił w roli głównej w spektaklu, podczas którego na oczach rozbawionego, a może i zdziwionego tłumu zrzucił ubranie, odszedł nagi, a ojcu zostawił gorzyc i pieniądze.

„Nie zostało mi nic prócz Boga — to znaczy zostało wszystko, jeśli wierzysz” — to zdanie Ryszarda Kapuścińskiego Jerzy znał na pamięć. W Asyżu pojął, że Piotr Bernardone, bogaty i wpływowy handlarz sukniem, nie miał niczego. Gdyby w porę zrozumiał, że można stracić wszystko i ocalić wszystko, może to on byłby wizytówką Asyżu, ale nie rozumiał. Dante napisał, że w domu Piotra Bernardone przyszło na

świat słońce. Piotr światła nie zobaczył, ale może nie powinien był zobaczyć, a jego uparta i hałaśliwa wojna z synem prowadzona na oczach wszystkich była konieczna, żeby spełniło się to, co miało się spełnić. Bez niego nie byłoby biedaczyny z Asyżu, który mówił, że złego człowieka nie wolno nienawidzić, ale trzeba go leczyć, jak trędowatego, że dłonie i słowa ludzkie nie powinny zadawać nikomu cierpień, że trzeba współczuć gasnącemu ogniowi, ukochać kamienie, drzewa i zboże.

W Asyżu człowiek się wycisza. Jerzy nie dawał wiary podobnym opiniom, dopóki sam nie zanurzył się w atmosferze tego miasta. Niedaleko kościoła San Damiano, na wzgórzu zobaczył scenę, która rozgrywała się w ciszy przerywanej tylko odgłosami rozleniwionej popołudniowym słońcem natury. W gaju oliwnym Franciszek, niewysoki, szczupły młodzieniec z rozwichrzonymi włosami i uduchowionym wyrazem twarzy, usiadł na trawie. Rzeźba, jak prawdziwa postać, ustawiona została w miejscu, gdzie zwykł medytować, gdzie usłyszał, że ma iść i naprawić dom Boga, gdzie pod koniec życia wyśpiewał pieśń o świetle, słońcu, ogniu, ptakach, barwnych kwiatach i ziołach, których już nie mógł zobaczyć, bo prawie oślepl.

Obok niego usiadł w kucki mały chłopiec. Nie był figurką ani rzeźbą, był prawdziwy. Zza srebrnych liści drzew oliwnych widać było, jak przekłada kamyki albo patrzy w zamyśleniu w stronę łagodnej umbryjskiej doliny. Milczał z Franciszkiem, średniowiecznym świętym, synem kupca Piotra Bernardone, który nie zrozumiał w porę, że można stracić wszystko i wszystko ocalić.

„Jak daleko odszedłeś od prostego kubka z jednym uchem, ty stary koniu?” — pytał Jan Twardowski. Jerzy znał i doceniał poetę, który mówił niewyraźnie, pisał niewyraźnie, ale przekazywał wyraziste przesłanie. Może jego pytanie zadała sobie Alicja, której decyzji o porzuceniu świata, w którym istniała jako Alice Bisch, Dawid jeszcze nie rozumiał?

— Jak daleko odszedłeś od prostego kubka z jednym uchem? — To zdanie powtórzył wczoraj jego syn i choć użył innych słów, zabrzmiało tak samo. Tam, w Jerozolimie, potem w Asyżu i teraz



w Stawiskach znów musi spróbować na nie odpowiedzieć. Ile w nim winy, a ile zasługi? Czy jest po trosze Judaszem i Bernardone? I jakie będą owoce jego postępowania? Czy ślepy wyśpiewa pieśń słoneczną, a niewinny pozwoli się ukrzyżować? Czy ze zdrady może wyniknąć dobro? Czy zasłuży na to, żeby jego syn, jak tamten chłopczyk, zechciał usiąść w kucki w gaju oliwnym z widokiem na łagodne umbryjskie wzgórza, przekładać kamyki i razem z nim milczeć? Milczeć? Razem?



Wjechał w dębową aleję prowadzącą do pałacu. Kończyła się wycieczka rowerowa i równocześnie czas przemyśleń i zamyśleń. Teraz trzeba było wziąć prysznic, przebrać się i przygotować do wieczornego wyjścia na scenę. Na szczególną scenę.

Zanim znalazł się w swoim pokoju, spotkał narzekającego Czesia.

— Ja to mam szczęście! O krok od majątku dzisiaj byłem. Skarb znalazłem zakopany w starej studni! I co? I stara szmata leżała w skrzyni, co ją z narażeniem życia wyciągnąłem. Stara szmata! Więcej warte były moje gumofilce, co na dole w mule zostały i z nóg mi się zsunęły, kiedy mnie strażacy na linie z tej jamy wywlekali. Tylko ten bogaty detektyw i nasza Alicja się cieszą, jakby było z czego. Ale my z Andrzejem i Dariem, który jest równy gość, bo mi włoskie wino obiecał i powiedział, że nauczy, jak elegancko pić, nie odpuszczamy i szukamy prawdziwego skarbu.

Jerzy oddał Halinie rower.

— Masz piękny uśmiech — powiedział, a ona zarumieniła się lekko. — O jakiej starej szmacie mówi? — zapytał, wskazując zgnębnego poszukiwacza.

Okazało się, że znalezisko było cenne, a „starą szmatą” Czesio nazywał hrabiowską chorągiew z herbem, którą umieszczano kiedyś na szczycie pałacowej wieży.



Nie zamierzał tu być. Został zmuszony. Wczoraj Łucja Śliwkowa wezwała go, wręczyła mu niewielką książeczkę i powiedziała:

— Proboszcz prosił, a ja obiecałam, więc jutro razem z ojcem odczytacie wieczorem w kościele podczas obrzędów wielkopiątkowych opis Męki Pańskiej.

Wiedział, że opór jest bezcelowy. Alicja zresztą też była „za”. Musiał włożyć garnitur, ustalić podział ról. Przyjął ten dopust jako zadanie aktorskie.



Trwała dostojna cisza. Milczały dzwony, dzwonki i organy. Jedynie kołatki używane od czasu do czasu wydawały głuche i złowrogie dźwięki. Siedział w prezbiterium bokiem do publiczności, czy raczej wiernych, i niespokojnie obserwował, czy nie wyrwie się jakiś domorosły fotograf, żeby uwiecznić wiekopomny występ Jerzego Zana i jego syna Dawida w Stawiskach. Nikt się na szczęście nie kwapił, a ich występ nie był jedyną atrakcją wieczoru. Ksiądz leżący krzyżem na posadzce od razu na początek nikogo nie dziwił. Jego też nie powinien, bo przecież kiedyś, w dzieciństwie i wczesnej młodości, widywał takie sceny, a jednak dzisiaj patrzył na to jak na ciekawy spektakl. Zapowiedziano liturgię słowa. Teraz ich kolej. Proboszcz odczytywał nieliczne słowa Jezusa, oni pozostałe.

Przebrzmiały wszystkie, oprócz jednego epizodu, który chodził za nim do końca dnia. Kiedy patrzył na ludzi pokornie pochylających się nad starym, szerniałym krzyżem leżącym na posadzce jak przedtem proboszcz, całujących ten krzyż i zawodzących prastarą skargę: „Ludu mój, ludu, cóżeś mi uczynił”, nie mógł przestać myśleć o jednym zdaniu, choć znał je od dawna.

Był kiedyś z rodzicami w Jerozolimie. Zapamiętał miejsce, gdzie to wszystko się stało. Dziś znów zobaczył In Gallicantu, kościół z kogutem na dachu, stojący tam, gdzie zapytano Piotra, czy zna tego człowieka, którego przesłuchują. Nie, nie zna. Nie wie, kim jest. Nie ma z Nim nic wspólnego.

Dawid już wówczas zauważył, że w różnych językach świata zapisano tu jedno zdanie, jakby było ono w tym miejscu najważniejsze: „Pan odwrócił się i spojrzał na Piotra”. Nie zastanawiał się nad tym wówczas, kiedy po prostu zwiedzał, jak turysta, nie jak pielgrzym. Ale

dziś zdanie go dopadło i nie chciało się odzepić do końca dziwnego dnia ciszy i jakiejś niechcianej melancholii, spleenu, z którego najdalej jutro się otrząśnie.

„Pan odwrócił się i spojrzął na Piotra”. Spojrzął właśnie wtedy, kiedy po raz trzeci skwapliwie zapewnił, że nie ma pojęcia, kim On jest, choć parę godzin wcześniej równie gorliwie zapewniał, że jakby co, pójdzie z Nim do więzienia, a nawet na śmierć.

„Pan odwrócił się i spojrzął na Piotra”. Zapiał kogut. Wystarczyło, żeby przypomniawszy sobie o przepowiedni: „Trzy razy się mnie wyprzesz”. Racja. Zrobił to. Ale natychmiast zrozumiał, co się stało. I zapłakał. W samą porę, żeby się jeszcze uratować i nie podzielić losu Judasza. W samą porę.

A gdyby wtedy On nie przystanął, nie odwrócił się i nie spojrzął na Piotra?

Gdyby nie spojrzął?

## BAL

Zajmowanie się gośćmi, przygotowania do świąt, szukanie skarbów — wszystko to musiało poczekać, ponieważ tego wieczoru Alicja robiła korektę rozdziału nowej książki. Od dawna były już ustalone terminy, których należało dotrzymać, a wydawca nieco się już niecierpliwił.

Znowu napisała o miłości i znowu o różnicy urodzenia. Zastanawiała się nawet, czy to ona sama wynajduje podobne tematy, czy też jej się w jakiś tajemniczy sposób narzucają. Tym razem odtworzyła losy dobrej znajomej, a może nawet przyjaciółki — ostatniej właścicielki Stawisk, hrabiny Ludwiki Lahenstein.



Nikt jeszcze nie przypuszczał, że tegoroczne lato jest jednym z ostatnich przedwojennych i że pozostanie niezapomniane.

W Stawiskach, podobnie jak teraz, było sporo gości.

— Może pospacerujemy? Stare drzewa w parku dają cię i przyjemny chłód. W tak upalne popołudnie proponuję też przejażdżkę łodzią. Czy któraś z pań zechce... — zaproponował baron. Był starszym już, ale nadal pociągającym, a przy tym niezwykle szarmanckim mężczyzną. Nic dziwnego, że panie obecne przy stole już chciały powiedzieć, że rezygnują ze spaceru na rzecz łódki i sztucznego stawu, który otaczał wysepkę z altanką, ale pytanie nie zostało dokończony.

— Zofia Różańska — zapowiedział kamerdyner.

W drzwiach stała zakłopotana starsza pani. Wyraźnie spieszyła ją obecność tylu osób. Była nie najlepiej ubrana, jej fryzura pozostawiała wiele do życzenia, suknia zaś należała raczej do skromnych. Tylko twarz nosiła ślady dawnej urody. Trzeba było jednak z wysiłkiem w pamięci odtworzyć tamte duże, ciemne, jakby zażawione i rozmarzone oczy, regularne rysy i lekko uniesione czarne brwi nadające jej twarzy wyraz zdumienia i niedowierzania. Teraz była starzejącą się, szarą i nieśmiałą kobietą, ale wtedy, podczas balu, pewna swoich wdzięków, spoglądała zalotnie, podając do ucałowania dłoń Edmundowi. Nie od razu ją poznał.

Stała w progu, tłumacząc nieporadnie:

— Przepraszam państwa, jeśli jestem nie w porę. Przyjechałam, droga Ludwiko, żeby się pożegnać. Muszę wracać do Lwowa, choć sądziłam...

Była dawną przyjaciółką hrabiny. Poznały się w Krakowie. Dzieliło je wiele, ale łączyły wspólne zainteresowania. Obie pobierały lekcje malarstwa i słuchały rad samego mistrza Matejki. Ludwika Lahenstein miała taki kaprys, a Zofia — pasję.

Hrabina spotkała ją niedawno w Cieszynie. Dowiedziała się, że przyjechała do krewnych, którzy w tych stronach mieli swój niewielki majątek. Hrabina była na tyle dobrze wychowana, że zdołała nie okazać zdumienia i zaskoczenia na jej widok. Oto zamiast pełnej życia, olśniewająco pięknej kobiety zobaczyła osobę przygaszoną i zaniedbaną, na którą już chyba nikt nie spojrzy nie tylko z zachwytem, ale nawet z cieniem zainteresowania. To była inna Zofia. Zofia o smutnych oczach.

Nie spodziewała się, że spotka tutaj Edmunda. On także był zaskoczony. Kiedy zaś podszedł, żeby się przywitać, i skłonił nisko

głowę, a hrabina wymieniła jego nazwisko, Zofia zachwiała się, a potem tłumaczyła, kiedy służąca podała jej szklankę wody, że ten nieznośny upał i ciężki czarny wdowi strój, który nosi nieprzerwanie od śmierci biednego Kazimierza, spowodował chwilowe osłabienie.

— Odpocznę nieco i się pożegnam — mówiła z nieśmiałym uśmiechem, omijając starannie wzrokiem twarz barona, który wpatrywał się z wyraźną troską w jej twarz szarą i zmęczoną, przedwcześnie postarzałą i pokrytą zmarszczkami. Sam też nie był już młody, ale na pewno nie wyglądał jak człowiek, dla którego życie wydawało się już nie mieć żadnych radosnych perspektyw. Dla Zofii dni pełne nadziei i uniesień już się kiedyś zdarzyły, a teraz czasem je wspominała, starając się nie płakać i nie użalać nad sobą, rozmyślając o tych, które musiała jeszcze przeżyć.

Hrabina namówiła dawną przyjaciółkę, żeby pozostała w pałacu przez kilka dni i zrezygnowała na razie z wyjazdu do Lwowa. Baron prosił razem z nią:

— Skoro się spotkaliśmy, może po raz ostatni, nie możemy spędzić ze sobą tylko jednego popołudnia. Musimy się wielu rzeczy o sobie dowiedzieć.

Tego lata oboje usłyszeli smutną historię jej życia i dowiedzieli się, dlaczego dzień jej zamążpójścia był jednocześnie ostatnim dniem jej szczęśliwej młodości. Wszystko, co stało się później, przyniosło więcej cierpienia niż radości.



Widywano ich wciąż razem. Szli polną drogą wśród zbóż, które jeszcze się nie złociły, ale już nie były zielone. Szli powoli, rozmawiając. Pływali łódką albo siedzieli w altance, a Zofia z każdym dniem wyglądała coraz lepiej. W końcu hrabina pożyczyła jej swoje suknie i namówiła, żeby zdjęła wdowie szaty, skoro już nawet nie pamięta, a może i nie chce pamiętać twarzy Kazimierza, który nie miał odpowiednich koneksji ani nazwiska, ale był przystojny i, co najważniejsze, nie pytał o posag. Zobaczył ją kiedyś w teatrze. Nie mógł oderwać wzroku, jak wielu innych mężczyzn, ale inaczej niż oni, od razu się oświadczył i nie zapytał o wiano.

Ślub i huczne wesele zapamiętał cały Kraków. Mówiono, że młodzi są szczęśliwi i piękni. Było kolorowo, głośno i tłoczno, bo gapie stali na ulicach i wiwatowali na ich cześć. Do obiadu przygrywała wojskowa muzyka, goście ochoczo tańczyli, wznosili toasty i śpiewali, a potem wszystko się skończyło.

— Wszystko się skończyło — powtarzała w zamyśleniu. Już się nie buntowała. Była w tym, co mówiła, jakaś rezygnacja.



Panna Mietzsch, opiekunka Izabeli, szła z koszykiem malin. Podniosła go i zawołała z daleka:

— Przyniosę deser ze śmietaną i cukrem.

Hrabina skinęła głową. Mogły wrócić do przerwanej rozmowy. Zofia nie mówiła tego wprost, ale łatwo się było domyślić, że nie kochała męża. Czy całe życie kochała kogoś innego? Czy niezapomniany bal w Krakowie, kiedy hrabina Ludwika widziała ją młodą i szczęśliwą, a i sama była zakochana, powracał do niej we wspomnieniach? Musiała o to zapytać.

Długo nie było odpowiedzi.

— Byłyśmy takie młode...

Baron wiedział o ślubie Zofii. Nie zdążył się jej oświadczyć, a nawet gdyby to zrobił, ojciec i tak nie pozwoliłby mu się ożenić, bo miał dla niego inną partię. Tamta panna była o wiele mniej piękna i o wiele bardziej posażna, więc uniknął mezaliansu.

Nie spotkali się w Krakowie nigdy więcej. Dopiero tutaj, w Stawiskach, kiedy już oboje mieli większość życia za sobą, odnaleźli się na nowo. Umarła już żona barona i matka jego jedyne syna — Henryka, a Kazio Różański też już dawno osierocił żonę, którą pokochał od pierwszego wejrzenia, zobaczywszy ją w krakowskim teatrze.



— Odkąd wyszłam za Kazimierza, Edmund do mnie pisywał — powiedziała, kiedy szły w stronę starych dębów. Hrabina chciała jej pokazać miejsce, o którym starzy ludzie mówili dziwne rzeczy. Pod

Wiedeń szedł tędy król ze swoim wojskiem, zatrzymał się przy starych drzewach, a kiedy ruszył dalej, nocami nadal słychać było rzenie koni. Tak, jakby zostały tu ich duchy albo może jakieś ciemne moce niepokojące ludzi. Bo czy konie mogą być duchami? Wójt zapytał proboszcza, co robić, a on poradził, żeby na najstarszym dębie powiesić kapliczkę. Kapliczka jest do dzisiaj, a rzenia koni nocami już w tym miejscu nie słychać.

— Opowiesz mi o listach barona? — zapytała Ludwika, kiedy usiadły na ławce w cieniu wiekowego drzewa nazywanego przez miejscowych Mieszkiem.

— Przychodziły, choć nie odpisywałam na nie. Do czasu, kiedy moja matka otworzyła jeden z nich. Przeczytała list barona i nie pokazała mi go, ale sama napisała do niego, żądając, żeby mnie nie niepokoił, że jestem Zofią Kazimierzową, a co Bóg złączył, niech człowiek nie ośmieli się rozdzielać. Edmund więcej już nie napisał. Kiedy matka była już bliska śmierci, powiedziała mi: „Zofio, ustrzegłam cię przed grzechem, bo inaczej może i zdradziłabyś poczciwego Kazimierza”.

Po chwili dodała jeszcze:

— Niepotrzebnie do niego pisała. Nigdy nie myślałam o zdradzie.

— Jest wiele zbrodni na świecie, ale największą jest zabić miłość. — Ludwika powtórzyła słowa, które już raz zostały powiedziane latem w innym majątku, przez inną kobietę. Wtedy też, tak jak teraz, goście spędzali czas na piknikach, przejażdżkach konnych, spacerach, pływali łódką, łowili ryby, też były miłosne spojrzenia, a baron przynosił z pałacu szal, żeby jego ukochana okryła ramiona.

— Zofio, robi się chłodno — powiedział i otulił ją gestem opiekuńczym i czułym. Jego dłonie nie były już dłońmi młodzieńca. Podobnym gestem podał jej szal podczas balu. Oboje byli zarumienieni, zdyszani, zmęczeni tańcem. Ona trzymała w rękę wachlarz, który zakrywał część jej twarzy. Oczy jej błyszczały. W takiej chwili rozpaleni namiętnością, zauroczeni, wpatrzeni w siebie myśleli, że nikt ich nie widzi. Chociaż przystanęli, wydawali się wciąż jeszcze zatopieni w tańcu, oszołomieni, obecni dla siebie, nieobecni dla innych. On, dużo wyższy od niej, nadzwyczaj urodziwy, czarnooki i czarnowłosy jak ona, nie śmiał jej obejmować, ale coś do niej mówił, a ona szybkim ruchem

odwróciła się w jego stronę, zalotnie spojrzała w górę. Szal zsunął się z jej ramion. Zauważył to, mimo że wciąż patrzył w jej oczy. Potem podniósł szal, otulił ją, choć przecież nie powinien pozwolić sobie na tego rodzaju gest, ale trwał on zaledwie chwilę. Roześmiała się i znów spoważniała, kiedy powoli podniósł jej dłoń do ust. Wszystko działo się tak szybko, że chyba nikt nie zauważył. Ludwika jednak nagle spostrzegła czyjeś poważne chmurne spojrzenie skierowane w ich stronę.

— Kim jest ten człowiek w rogu sali? — zapytała narzeczonego.

— To przecież ojciec Edmunda.

Domyśliła się, że Rudolf baron Heydel zadba o to, żeby jego syn już więcej nie znalazł okazji i nie podniósł szala, który zsunął się z ramion na pewno pięknej, może i utalentowanej, ale z całą pewnością niezamożnej i niegodnej jego sfery czarnowłosej i czarnookiej dziewczyny.

Cóż miała jej dzisiaj powiedzieć. Że miłość jest święta, że zdrady są przyjęte nawet w wyższych sferach, a może zwłaszcza w wyższych sferach? Zamiast tego powiedziała:

— Teraz twój mąż już nie żyje, a baron też jest wolny, więc wszystko jest możliwe.

— Możliwe — Zofia przytaknęła i uśmiechnęła się smutno — ale tacy ludzie jak my już schodzą ze sceny. Dla nich nie zapalają się światła. Dla nich światła gasną, kiedy tylko opadnie kurtyna. Kto wie, czy to nie jest już przedostatni, a może i ostatni akt tej sztuki.

Czy można było zaprzeczyć?

— Za rok takich nudów oddałbym życie — powiedział baron, kiedy wieczorem hrabina zapytała, czy nie przeszkadza mu, że niewiele jest w Stawiskach atrakcji, a Wiedeń, gdzie najczęściej przebywa, tętni życiem.



Lato się kończy już od świętej Hanki, kiedy zimne są wieczory i ranki. Potem jeszcze Matki Boskiej Zielnej i snują się jesienne pajęczyny. W Stawiskach lato skończyło się nagle, choć mogło trwać jeszcze całymi tygodniami. Ale się skończyło.

To był straszny dzień. Już rankiem nieuważna pokojówka



przywołała nieszczęście, ponieważ stłukła lustro, które było w pałacu od lat. Hrabina spodziewała się przyjazdu syna, więc zeszła do kuchni, żeby się upewnić, czy obiad został odpowiednio zadysponowany. Kiedy otworzyła drzwi i stanęła na progu, dziewczyna służebna, którą przysposobiła do pomocy kucharce, przestraszyła się i wysypała na podłogę sól, a to też nie wróżyło nic dobrego.

Znów zapowiadał się upał, wszyscy byli rozdrażnieni i zmęczeni. Goście także, choć Edmund i Zofia nie robili takiego wrażenia. Oboje podczas lata w Stawiskach odmłodnieli po to tylko, żeby w ciągu jednej godziny postarzyć się o kilka lat.

Upał jeszcze nie spowolnił wszystkich, a Zofia schodziła szybkim krokiem ze schodów. Ludwika już chciała jej powiedzieć, że zdecydowanie lepiej wygląda w jasnych sukniach i z nową fryzurą, którą wymyśliła dla niej pokojówka, kiedy usłyszała wołanie:

— Nieszczęście, pani hrabino! Nieszczęście! Jechali autem i baron zabity na śmierć, a młody hrabia wyszedł cało, ale trzeba go ratować, bo ma połamane nogi!

Zauważyła jeszcze, że Zofia oparta o poręcz schodów zbladła i zastygła w bezruchu. Hrabina wybiegła na dziedziniec. Była sama. Mąż bawił tego lata z synem w Wiedniu. Trzeba było coś zrobić. To ona musiała coś zrobić. Wśród tych przerażających wiadomości poczuła ulgę, że jej syn przeżył, ale ulga trwała chwilę. Jest ranny, baron nie żyje. Zofia jest bliska omdlenia.

Ludzie ze Stawisk, gestykułując i przekrzykując się nawzajem, opowiadali, co się stało. Rano szli do chlewów, do obrządku bydła. Jechało auto młodego hrabiego, to się nieco usunęli z drogi, ale z boku wyjechał stary Kawulok, co niedosłyszy, to i nie wiedział, że koń się może spłoszyć. Niby ten koń, co do wozu drabiniastego był zaprzęgnięty. No i ten koń się spłoszył, wierzgnął i niby się szarpnął, auto skręciło, prosto na ten wóz, i dyszel prosto w tego barona. Bo młody hrabia, jak się opamiętał, to ino mówił: „Barona ratujcie! Barona ratujcie!”. Ale nie było jak ratować, bo ten dyszel, pani hrabino ekscelencjo...

— A mój syn...

— Doktor zaraz był, bo mieszka blisko. Mówił, że zawiezie do

szpitala do miasta, ale ten drugi nieszczęśnik, znaczy nieboszczyk, tam został, cały zakrwawiony. Trzeba by tego barona tu przywieźć, bo leży tam...

— Weźcie wóz — powiedziała cicho. Nie śmiała spojrzeć w stronę Zofii. Widziała tylko, jak biegnie do niej Helga Mietzsch i woła:

— Podajcie sole trzeźwiące, posadźcie ją w salonie albo połóżcie! Trzeba ratować! Dla pani hrabiny auto i szofera!

W takich sytuacjach domowa nauczycielka była niezastąpiona. Hrabina ledwie trzymała się na nogach. Nagle usłyszała za sobą przerażony głos barona:

— Droga Zofio! Co się stało?!

Obejrzała się gwałtownie, potem wszystko zaczęło znikać, widziała tylko Edmunda pochylonego nad omdlałą przyjaciółką i sama straciła przytomność.

Okazało się, że zginął młody baron, Henryk. Chciał odwiedzić ojca i nie uprzedził go o swoim przyjeździe. Chorągiew powiewająca na szczycie pałacowej wieży została przewiązana czarnym kirem. Młody dziedzic po powrocie ze szpitala wiele dni jeszcze chodził o kulach.

Edmund po pogrzebie długo stał nad grobem swojego syna i dziedzica — pierwородnego i jedyne go. Był siwy, stary i przygarbiony. Zofia wyjechała do Lwowa. Znow włożyła czarny wdowi strój.

Skończyło się lato w Stawiskach.

Baron pisał listy do Zofii nawet wtedy, kiedy otrzymał wiadomość o jej śmierci. Ostatni napisał dzień przed swoim odejściem. Zakończył go zdaniem: „Jestem już coraz słabszy i coraz bliżej tych, którzy na mnie czekają i których kocham. Do zobaczenia”.

Listy, zgodnie z jego życzeniem, wysłano do Stawisk. Hrabina przechowała je, podobnie jak listy pisane przez barona do nieżyjącego syna.

W testamencie zaznaczył, że chce być pochowany w miejscu, gdzie stracił jedynaka i odnalazł swoją dawną miłość. Jego wolę spełniono.

Po latach listy trafiły do rąk Alicji.

**SKARBY**

Lokalna prasa połowę wszystkich artykułów poświęcała relacjom z pałacu. Odnotowywano wprawdzie najważniejsze ogłoszenia podawane do wiadomości mieszkańców przez panią burmistrz, ale miały one charakter marginalny. „Niezależna Gazeta Miejsko-Gminna” oddelegowała nawet specjalnego wysłannika, który albo rezydował w kuchni u Łucji Śliwkowej, która była niezawodnym źródłem najświeższych informacji, albo kręcił się w okolicach pałacu, bez skutku próbując zachęcić gości hotelu U Hrabiny do udzielenia wywiadu. Na razie więc relacjonował szczegółowo to, czego sam był świadkiem, albo to, o czym opowiedziała mu ochmistrzyni, o której pisał „Łucja Ś.”. Wszyscy się domyślali, o kogo chodzi, ale dziennikarz Michał Michałek postanowił być bardzo tajemniczy. Bez tajemnic za to i z podziwu godną dokładnością przedstawiał sytuację meteorologiczną, jak gdyby zatrudniono go w charakterze pogodynki. Robił tak dlatego, że na wsi od zawsze rozmowy o pogodzie nie były zdawkowe i banalne. Od lat gwałtowne zmiany pogody komentowane były i w wiejskich domach, i w pałacu. Ci, którzy pracowali w polu, odrywali wzrok od plewionych właśnie ziemniaków czy grabionego siana, żeby spojrzeć w niebo. Nie było w tym nic romantycznego ani nic sentymentalnego. Zwykła konieczność. Zachody i wschody słońca, chmury i wysoko albo nisko latające jaskółki, barwy i kształty, a nawet rodzaj pomrukiwania burzy — wszystko to miało wymiar praktyczny, choć przecież wyprostowawszy zgięty od dłuższego czasu grzbiet, zapracowani rolnicy poczuć musieli ulgę i zauważyć naturę piękną i groźną.

Tego dnia Michałek zanotował: „Zapowiada się piękna pogoda. Rano około dwóch i pół stopnia, w nocy lekki przymrozek. Znaleziony wczoraj skarb dawnych właścicieli Stawisk zostanie dziś oficjalnie zaprezentowany podczas spotkania w pałacu, na które zostałem zaproszony i z którego zdam obszerną relację naszym czytelnikom”.



— Śmiało! Fotografuj pan! Pewne kobiety mówią mi, że jestem przystojny, więc patrzę do lustra...

— I co? — zainteresował się Andrzej.

— I się potwierdza! — mówił Czesio Rychły, pozując ze skrzynką,

w której był skarb, nazwany przez niego „starą szmatą”.

— Ta chorągiew jest piękna! — zachwyciła się Alicja.

— Niech ci będzie. Też mi się podoba — przyznał student matematyki. — Niech nie myślą, że my tutaj na wsi nie doceniamy takich rzeczy. Jagna na przykład, bohaterka *Chłopów*, miała duszę artystyczną.

— Co miała duże? — zainteresował się Czesio.

— Nie to, o czym pan myśli, choć prawdę mówiąc...

— Proszę o odrobinę powagi — wtrącił się detektyw — chciałbym drogich współpracowników prosić o uporządkowanie zdobytych informacji, ale jeśli państwo zechcą, może w tym celu wejdziemy do salonu, bo pogoda znowu zaczyna płać figle.

Prószył śnieg, bo zima jeszcze na odchodnym chciała mieć coś do powiedzenia, ale i tak ptaki dawały już pierwsze wiosenne koncerty, a kwiecisty, fioletowy, biały i żółty dywan efektownie ozdabiał trawnik.

Usiedli w fotelach, podano kawę i herbatę. Zaczęła się narada.

— Jak już kiedyś wspomniałem, nie trzeba używać rapieru do przecięcia sznurka na paczce — zaczął detektyw, stając pośrodku zgromadzenia. Jedną rękę, jak to miał w zwyczaju, schował za plecy, w drugiej trzymał okulary.

— Paczka, co ją znalazłem w studni, nie miała sznurka — zauważył Czesio.

— Byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechcieli państwo na razie powstrzymać się od komentarzy — powiedział grzecznie, choć stanowczo detektyw, po czym kontynuował: — Zwykle poszukiwanie skarbów staje się coraz bardziej niebezpieczne. Oto bowiem pan Rychły wpadł do studni, a wcześniej w kaplicy zostało zamkniętych przez nieznanego sprawcę dwoje innych członków naszej ekipy. Prowadziłem, jak państwu zapewne wiadomo, różne sprawy i staram się zawsze chronić swoich współpracowników. Zbadałem sprawę dokładnie i mam pewność, że kroki, które usłyszeli o północy zamknięci w kaplicy młodzi ludzie, nie miały, w rzeczy samej, nic wspólnego z duchami, choć celem osoby, której nazwisko niebawem ujawnię, było zrobienie takiego właśnie wrażenia. Co więcej, znam już odpowiedź, którądy osoba ta dostała się do środka i którądy wyszła. Z zeznań bowiem wynika, że

dopiero ja otworzyłem główne drzwi do kaplicy. Przeszukaliśmy też natychmiast wszystkie pomieszczenia, łącznie z zakrystią, chórem i schowkiem na miotły, i nikogo nie znaleźliśmy. Kto zatem i którą dostał się niezauważony do starej kaplicy?

Cyprian Herkules Bogacz teatralnie zawiesił głos. Z satysfakcją zauważył, że przykuł uwagę wszystkich słuchaczy, więc zakończył efektownie:

— Był nim najmłodszy dzwonnik, który wcześniej opowiedział o duchu, wszystko zaplanował i nieprzypadkowo wybrał ofiary.

— Ja go znam, on nawet muchy nie skrzywdzi — po chwili ciszy zapewniła Alicja.

— Muchy go nie interesują, *mademoiselle*. Chciał was skutecznie zniechęcić do szukania skarbów, z których część z całą pewnością pozostaje nadal w ukryciu. Jest jeszcze jeden powód, który ma związek z fascynacją pewną uroczą młodą kobietą znajdującą się w tym gronie i z zazdrością o nią, ale tego wątku nie będę rozwijał.

— To niemożliwe, Alicja i Dawid słyszeli ciężkie kroki! — zauważył Andrzej, zanim ktokolwiek zdążył skomentować intrygującą wzmiankę o fascynacji i zazdrości.

— Znakomite spostrzeżenie — pochwalił detektyw — i ja się nad tym zastanawiałem, dopóki nie znalazłem tego.

— Moje gumofilce — ucieszył się Czesio, kiedy Bogacz zademonstrował buty wyjęte z tekturowego pudła.

— Niestety nie. Pana obuwie nadal znajduje się w studni. Te egzemplarze są natomiast odpowiednio podkute, żeby kroki człowieka, który je założy, robiły wrażenie ciężkiego chodu solidnego mężczyzny, a nie młodego szczupłego chłopaka. I pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie o drzwi. Otóż wcale nie musiał wchodzić drzwiami.

Detektyw znów zawiesił głos i tym razem podniósł wskazujący palec do góry. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszyscy patrzą w jego stronę i uważnie słuchają, a kiedy przekonał się, że tak jest, zakończył:

— W kaplicy jest tajne przejście. Prowadzi na zewnątrz przez kryptę z trumnami hrabiów.

Osiągnął spodziewany efekt. Część zebranych chciała od razu zobaczyć na własne oczy i buty, i przejście. Inni chcieli przesłuchać

świadka, ale mówca gestem zatrzymał wszystkich:

— Może to państwa zaskoczy, ale na tym etapie śledztwa musimy przeanalizować świadectwa i dokumenty opisujące to, co działo się w Stawiskach w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Właśnie wtedy skarby zostały ukryte, a rodzina Lahensteinów zmuszona do opuszczenia pałacu. Jestem pewien, że znajdziemy odpowiedzi na wiele pytań.

Nie zwracając uwagi na powagę wypowiedzianych słów i wagę omawianych spraw, głos zabrała Łucja Śliwkowa, która chwilę wcześniej stanęła w progu.

— Śledztwo śledztwem, ale jeść trzeba. Na razie jeszcze post, ale wieczorem, po procesji rezurekcyjnej, będzie taka wieczerza, że się najecie za wszystkie czasy. Święconka już gotowa, a wszystko swojskie, domowe i smaczne. Palce lizać.

Boski Zenek poderwał się z fotela i z przesadną uprzejmością uklonił głęboko, mówiąc:

— Pani ochmistrzyni szanowna! *Chapeau bas!* Taka wiadomość to miód na moje serce.

— Po polsku do mnie gadaj, synku, a nie w pogańskim języku, ale tobie podwójnie na talerz trzeba ponakładać, boś chudy jak mój nieboszczyk mąż, Panie, świeć nad jego duszą. A o czym tu tak rozprawiacie? — zapytała, usiadłszy na jednym z krzeseł. — Bo słyszałam, że zapiski z końca wojny są wam potrzebne. Jakby co, to ja mam tego pełno w szafie. Nawet miałam wyrzucić albo Alicji dać, bo miejsce niepotrzebnie zabiera, a i myszy się chętnie pożywiają, bo papier dobry, niektórzy to nawet przedwojenny. Zbierał takie różne rzeczy mój Alojz i do domu znosił, nie wiedzieć po co.

— To zdumiewające, jak ochmistrzyni pałacu może wpłynąć na bieg historii — skomentował po chwili zaskoczony detektyw i ogłosił przerwę w obradach do wieczora. Ustalono, że do tego czasu Alicja przejrzy archiwalia spoczywające w szafie i przedstawi swoje wnioski.

## **RUSCY I GERMANY**

— Pójdę z butami do nieba — zapewniła Łucja — za to wszystko,

co muszę znosić. Żeby teraz, przed samymi świętami, stare papiery rozkładać na stole, a serwetki i obrusy najlepsze rzucić na bok, to już jest sodoma i gomora!

Alicja starała się nie zwracać uwagi na jej gderanie, zapewniła jedynie, że nie rzuciła, tylko ładnie poskładała i później wszystko posprząta. Zaaferowana była przeglądaniem dokumentów. Dawid się uparł, żeby jej pomagać. Zachowywał się tak, jakby spotkania w jej domu w ogóle nie było. Alicja więc o nic nie pytała ani też niczego nie wyjaśniała. Dowiedziała się jednak od Jerzego, że odbył poważną i chyba oczyszczającą rozmowę z synem.

Praca pochłonęła ją teraz bez reszty, bo Dawid na niewiele się przydał. Od razu natrafił na zapiski oficerów Milicji Obywatelskiej i nie tylko sam pogrążył się w lekturze, ale także od czasu do czasu przeszkadzał Alicji, śmiejąc się i zapoznając ją ze służbowymi notatkami oficerów inspekcyjnych komendy powiatowej. Po jakimś czasie już nie ekscytował się informacjami zatroskanego milicjanta Małysa, zaniepokojonego tym, że komendant jest w stanie bardzo pijanym i że dokonano włamania poprzez wybicie okien za pomocą rury kanalizacyjnej w stanie nietrzeźwym na tle miłosnym. W grę wchodził jeszcze stan podchmielony i bardzo pijany, co i tak przynosiło podobne skutki. Jak wynika z zapisków, stany te były największą uciążliwością gorliwych stróżów prawa, którzy, ledwo piśmienni, próbowali jakoś zredagować meldunki. Nie mieli lekkiego pióra, ale też i niejednokrotnie nie mieli posłuchu. Próbowali nieszczęśnicy zrobić z podwładnych karnych funkcjonariuszy nowego systemu, ale było to zadanie niełatwe. Oto na przykład dyżurny się nie zameldował, bo już jest za stary, funkcjonariusz B. poszedł do hotelu Pod Jeleniem prawdopodobnie się wyspać, kapral P. nie wstał i oświadczył, że wstawać nie potrzebuje, a milicjant pełniący wartę był na służbie podchmielony, za co nie można go było ukarać, bo nie miał zastępcy.

— Nie jest tak źle — meldował Dawid, znów odrywając Alicję od lektury. — Odnotowano też spektakularne sukcesy wychowawcze. Kiedy o trzeciej rano zarządzono alarm i u poszczególnych milicjantów stwierdzono brudne nogi, przeprowadzono za to karny marsz jednogodzinny. Zlokalizowano też i zlikwidowano awanturę, a od

obywateli głośno hałasujących na rynku pobrano dobrowolne datki na oświatę i MO.

— Zostaw to. Zaznacz fragmenty o rosyjskim wojsku. Mogą okazać się potrzebne — poleciła Alicja. — Znalazłam ciekawe informacje w zapiskach ówczesnego proboszcza. To może być klucz i, jak to określi Herkules, przełom w śledztwie.



Wieczorem rozleniwieni nieco obfitą kolacją poszukiwacze skarbów znów się spotkali. Dawid przeczytał wybrane fragmenty zapisków oficerów milicji.

W hotelu Pod Jeleniem zamieszkało dwóch generałów rosyjskich i jeden pułkownik. Zażądali ochrony, samochodów i szoferów, ponieważ wybierali się do Stawisk. Nazajutrz rano okazało się, że wszyscy, łącznie z pułkownikiem i majorem z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, z którymi wieczorem prowadzili czynności śledcze, są w stanie bardzo pijanym. Milicja miała pełne ręce roboty, bo nie dość, że jakaś obywatelka „wywołała awanturę z wojskiem radzieckim i zakłóciła spokój publiczny”, to jeszcze generałowie i pułkownik uważali, że w hotelu chciano ich otruć wódką.

— Otruć wódką rosyjskich mołojców, to dopiero sztuka! — wtrącił ubawiony Jerzy Zan, którego dopuszczono do stołu obrad, choć on sam nie uważał się za poszukiwacza skarbów.

— Czekaj, tato, to nie wszystko — kontynuował Dawid. — Jest jeszcze jeden ciekawy incydent. Cytuję, bo sam bym tego nie wymyślił: „Na zabawie Pod Wołem doszło do bójki między Wojskiem Polskim, Bezpieczeństwem, Więziennictwem i milicjantem T. Udałem się tam z funkcjonariuszem, gdzie już Wojska Polskiego nie zastałem, natomiast Więziennictwo, Bezpieczeństwo i milicjant T. byli na miejscu i kłócili się między sobą”.

— Pod Wołem to nazwa nieistniejącej już gospody w Stawiskach — wtrąciła Alicja.

— „W tym czasie w tutejszym sklepie znajdował się napad — cytował dalej Dawid. — Sprawca używał przede wszystkim języka rosyjskiego i nadmieniam, że napadnięty wskutek przełknięcia narobił



w spodnie”.

— O kurde, ale meksyk — wyrwało się Andrzejowi.

— Brzmi to humorystycznie, ale prawdę mówiąc, w Stawiskach nie było wtedy zbyt wesoło — zabrała głos Alicja, wstając z miejsca i biorąc do ręki jakieś pożółkłe kartki. — Zapiski, które cytował Dawid, pochodzą z okresu nieco późniejszego niż zapiski proboszcza, o których chcę teraz opowiedzieć. Z nich także wynika, że żołnierze rosyjscy nie tylko nas „wyzwolili”, ale także wrócili tu później i czegoś w Stawiskach szukali. Ksiądz Urbańczyk spisywał kronikę parafialną i coś w rodzaju pamiętnika. Musiał to być utalentowany literat, bo jego opisy są bardzo obrazowe i dosadne. „W lutym byli tu jeszcze niemieccy żołnierze, ale szykowali się wyraźnie do odwrotu. Kradli bydło, zabijali je i żarli”. Tak napisał i dodał jeszcze, że nigdy nie widział, żeby ktoś tyle żarł i spał z rękami opartymi o stół, i potem znów żarł. Kiedy Niemcy się wycofywali, góral spod Ochodzitej, który na wozie wioził go do chorego, odwrócił się i powiedział: „Paterku, teraz trzy dni Boga nie będzie”. „Jest i będzie” — zapewnił ksiądz. „Nie, bo my teraz będziemy wymierzać sprawiedliwość”. Plebania, o której niektórzy gospodarze mówili, że jest zbyt licha, bo dobra fara powinna mieć dwa kominy, a nie jeden, była w czasie wojny siedzibą żandarmerii. Góral więc razem z paterkiem Urbańczykiem na początek postanowili rozwalić kamienną rzeźbę z pruskim orłem i swastyką. Gospodyni załamywała ręce, widząc, jak ksiądz wchodził po wysokiej drabinie, a potem tłukł bez opamiętania, wypominając Hitlerowi i rozstrzelanego Józefa, ojca naszej babci Łucji, i ściętego gilotyną w Katowicach wójta Jana, i spaloną w Oświęcimiu Helenkę z Puńcowa, młodziutkiego Karola i wielu, wielu innych.

— A potem przyszli Ruscy — domyślił się Andrzej.

— Właśnie — potwierdziła. — Proboszcz został wezwany, żeby przywitał zwycięzców. Włożył sutannę i razem z innymi mieszkańcami stanął w centrum wsi, czyli w okolicach gospody Pod Wołem. Zobaczyli trzech żołnierzy. W rękach nieśli pepechy, a na plecach mieli zwykłe worki. Nie chcieli słuchać jego powitalnego przemówienia. „Dawaj pić i wkuszać” — rozkazali. Usiedli więc wszyscy za stołem, szybko podano butelkę słowackiej śliwowicy i kieliszki. Paterek nalał i zamierzał wznieść toast. Nagle jeden z „wyzwolicielei” wziął pepeszę i chciał go

zastrzelić. „Wyście Germańcy!” — wrzeszczał. „My Polacy!” — zapewniali chórem przerażeni mieszkańcy Stawisk. „Nie może być! Ruski wojak i Polak piją z większego kielicha, a Germańcy z małego!” Czym prędzej zamieniono kieliszki na szklanki. „Jeśli ty Polak, wypij jednym haustem!” — powiedział rosyjski żołnierz. Nie było rady. Ksiądz wypił, a kamandir poklepał go przyjaźnie po plecach. Na koniec tej relacji ksiądz Urbańczyk zapisał ważne zdanie, które teraz zacytuję. Uwaga!

Wszyscy z zaciekawieniem słuchali, Alicja zbliżyła kartkę do lampki stojącej na stoliku, pochyliła się, żeby dojrzeć niewyraźny już i wyblakły atrament, i zaczęła czytać:

— „Potem Ruscy poszli szukać kobiet i Germańców. Szukali po domach, chlewach i piwnicach. Bogu dzięki, że w kaplicy niczego nie znaleźli, bo jeden schowek koło Mieszka ograbili doszczętnie z tego, co tam hrabiowie kazali zakopać”.



W ciszę i zaskoczenie wdarło się ostentacyjne i hałaśliwe *entrée* nowych gości.

— Dlaczego tu tak ciemno? Chcę zobaczyć wszystkie wnętrza pałacu. Dziękuję. Tak jest dużo lepiej. Pozwolą państwo, że się przedstawię. Jestem Ewa Zyberg, krewna Lahensteinów. Przyjechałam, bo podobno szukacie tutaj skarbów i ktoś z mieszkańców ma cenną lalkę należącą do mojej rodziny. Poza tym zamierzam wziąć ślub w tutejszej kaplicy. Przyjechałam więc zobaczyć, w jakim jest stanie.

Wysoka jasnowłosa kobieta wygłaszająca te słowa stała w progu salonu. Wszystkie twarze zwrócone były w jej stronę, bo wszystkich zaskoczyło jej przybycie, niektórych także zachwycił jej strój. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę, a pod nią kusą żółtą bluzkę. Wąskie obcisłe dzinsy eksponowały jej zgrabne nogi. Całość uzupełniały ażurowe buty na wysokiej szpilce.

Ewa Zyberg wiedziała, że robi wrażenie. Kiedy więc uznała, że już doceniono jej urodę i stylizację, odsunęła się, robiąc miejsce komuś, kogo zamierzała zaprezentować.

— A oto mój narzeczony, hrabia Przebłocki, właściciel tego hotelu.

Kupił go i wyremontował dla mnie. Prawda, kochanie?

Adam Franciszek, który właśnie wszedł, nie przytaknął, a jedynie ukłonił się i napotkał wzrok Alicji. W jej oczach malowało się zdumienie, niedowierzenie i żal.

2 Tadeusz Różewicz, *W gościnie u Henryka Tomaszewskiego w Muzeum Zabawek*, w: Zbigniew Kulik, *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach*, Muzeum Sportu i Turystyki w Karkonoszach, Karpacz 2011, s. 35.

3 Jerzy Stuhr, *Tak sobie myślę... Dziennik czasu choroby*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 80.

4 Roman Brandstaetter, *Kroniki Assyżu*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1976, s. 12.

## MOLUNAT



## NIESPODZIANKA

— W Stawiskach nadal pada — powiedziała Alicja, patrząc z tarasu willi Marina w Molunacie na rozległy horyzont i podziwiając prześwietlony słońcem krajobraz. — Padało, kiedy stamtąd wyjeżdżałam.

— Prawie całą drogę, ponad tysiąc trzysta kilometrów, słuchałaś audiobooków albo spałaś. Zacznijmy rozmawiać nie tylko o pogodzie, skoro mamy tu spędzić razem kilka dni.

— Kilka dni? — nie kryła zaskoczenia. — Przecież przyjechaliśmy po hrabinę i od razu wracamy do Polski.

— Nie od razu. Hrabina Izabela musi przed podróżą wypocząć, ponieważ była ostatnio trochę przeziębiona. Tak zdecydował jej lekarz.

— Od kiedy o tym wiesz? Dlaczego mi nie powiedziałeś? — dopytywała zdenerwowana.

— Dowiedziałem się, kiedy wjechaliśmy już do Chorwacji — odpowiedział urażony. — Nie myśl, że sprawia mi przyjemność spędzanie czasu w twoim towarzystwie, skoro albo milczysz, albo mnie krytykujesz. Pozory mylą, jak już wspomniałem. Wiedziałybyś więcej, gdybyś nagle nie wyjechała ze Stawisk i gdybyś zechciała ze mną przedtem porozmawiać.

Wstała i podeszła do białej balustrady. Taras był przestronny, funkcjonalny, a nawet komfortowy, tak jak cały apartament. Ustawiono na nim stolik z plecionymi krzesłami i dwa wygodne leżaki. Słońce przedostawało się małymi szparkami przez zadaszenie z mat trzciniowych.

Zamieszkali w willi Marina na drugim, najwyższym piętrze. Stamtąd mieli rozległy widok na morze i dwie małe wysepki rozdzielone

wąskim przesmykiem, w którym od czasu do czasu ukazywał się żaglowiec, jacht, duży statek lub prom.

— Płyną w stronę Dubrownika — wyjaśnił Adam. — Przejeżdżaliśmy dzisiaj wzdłuż portu i miasta, ale wybierzemy się tam na dłuższą wycieczkę i zwiedzimy...

— Wiesz doskonale, że nie przyjechałam na wycieczkę i że zmusiły mnie okoliczności...

— Oboje jesteśmy tu ze względu na Antoniego.

— To prawda — zreflektowała się. — Jestem ci bardzo wdzięczna, że odnalazłeś kobietę, którą kochał, a może i nadal kocha. Nie spodziewa się, że przywieziemy hrabinę Izabelę do Stawisk. Sądzi, że spotkamy się z nią, porozmawiamy, przekażemy jego pozdrowienia, korespondencję i zdjęcia.

Stali oparci o balustradę, patrzyli w stronę morza, od czasu do czasu popijając czerwone wino, którym przywitała ich sympatyczna właścicielka willi. Okazało się, że bardzo dobrze zna Adama, który dość często tu przyjeżdża. Alicja zdziwiła się, zobaczywszy, że hrabia zarezerwował miejsce nie w modnym kurorcie, ale na głębokiej chorwackiej prowincji. Mała wioska rybacka, ostatnia przed granicą z Czarnogórą, raczej nie tętniła życiem. Zaczęła się druga połowa czerwca, w Polsce deszczowa i chłodna, ale tu już panowała wakacyjna aura.

— Popływamy? — zaproponował.

— Nie wzięłam stroju kąpielowego. Nie sądziłam, że będzie potrzebny.

— Faktycznie, bagaż masz raczej skromny — uśmiechnął się, gestem zapraszając, żeby usiadła. Wybrała fotel, z którego widać było przesmyk pomiędzy małymi wysepkami. Wydawał jej się tajemniczy i romantyczny. Był niczym wrota otwierające się na pełne morze. Już chciała się podzielić swoim spostrzeżeniem, kiedy uświadomiła sobie, że przecież Adam nie zrozumie... Dawid wręcz przeciwnie, ale Dawid...

Hrabia zajął miejsce obok.

— Jutro zrobimy zakupy w Dubrowniku. Na szczęście miasto jeszcze nie będzie tak zatłoczone jak w lipcu i sierpniu.

Zgodziła się. Nie miała innego wyjścia. Skoro są na siebie skazani,

trzeba zacząć rozmawiać, wspólnie planować, a może i parę spraw wyjaśnić.

— Opowiedz, jak znalazłeś Izabelę — zaproponowała, kiedy przyniósł z kuchni owoce, które przygotowała dla nich Marina.

— To nie było zbyt trudne. Pomogła mi Ewa.

— Twoja narzeczona? — domyśliła się.

— Niezupełnie. Wiedziałybyś, gdybyś zechciała zostać dłużej, że to, co powiedziała na powitanie, było chyba jakimś blefem i prowokacją, którą chciała wymusić...

— Nieważne — przerwała mu. — Lepiej opowiedz, jak zareagował Antoni na wieść o tym, że hrabina Izabela żyje.

— Szkoda, że wyjechałaś i że nie widziałaś jego wzruszenia. Odkąd się dowiedział, był niezwykle przejęty, a kiedy zaproponowałem, że zrobię mu zdjęcia w ogrodzie, który dla niej pielęgnował, szukał najlepszej koszuli, chciał nawet kupić garnitur.

— Rozmawiałam z nim przedwczoraj. Dał mi niewysłaną pocztówkę, którą kupił dla niej podczas wojny, przekazał fotografie, list i dziesiątki wskazówek, co i jak mam jej powiedzieć w jego imieniu. Chciał nawet, żebym zabrała lalkę, ale twoja narzeczona uważa, że ma do niej jakieś prawa, więc się nie zgodziłam.

— Ewa nie jest... zresztą mniejsza z tym. Wrócimy do tego tematu innym razem. — Adam podniósł się z fotela, dolał odrobinę wina najpierw Alicji, potem sobie. — Mówiąc szczerze, bałem się o Antoniego, zwłaszcza że ma słabe serce. Przyjechałem specjalnie, żeby mu powiedzieć o Izabeli. Ochmistrzyni, Łucja Śliwkowa, przygotowała go i uprzedziła. To niezwykła kobieta... — przerwał na chwilę. — Pewnie nie dasz wiary, ale od dawna wiedziała, że kupiłem pałac, a jednak dochowała tajemnicy.

— Wiedziała?! — Alicja wpatrzona w resztkę wina na dnie kieliszka musiała przez chwilę zastanowić się, z jakiego powodu i do kogo ma największy żal. Hrabia milczał.

— Nie pij tak szybko — ostrzegł po krótkim czasie. — To wino ma wielką moc.

Posłusznie odstawiła kieliszek na stolik.

— Odkąd wiadomo już, że jestem właścicielem hotelu, często

bywam w Stawiskach, za to ty się chyba już na dobre stamtąd wyprowadziłaś. Nie rozumiem dlaczego.

— Wino rzeczywiście uderza do głowy — przyznała. — Lepiej zrobię coś do jedzenia, zanim się upiję i powiem o kilka zdań za dużo.

Roześmiał się i wstał. Apartament miał osobne sypialnie i łazienki, ale wspólną kuchnię. Adam stanął za nią, kiedy kroїła pomidory. Znieruchomiała z nożem w ręku, słuchając uważnie, jak mówił cicho i z jakimś ledwie zauważalnym wzruszeniem:

— Pałac kupiłem z twojego powodu, nie dla niej, i zrobiłem to, kiedy jeszcze byliśmy razem. Wiedziałem, że bardzo ci na nim zależy. To miała być niespodzianka. Chcę, żebyś wiedziała.

Odłożyła nóż i odwróciła się. Nie mogła ukryć, że usłyszane zdania mają dla niej wielkie znaczenie.

— Dlaczego więc pozwoliłeś, żeby Ewa...?

— Nie pamiętasz? Nie dałaś mi szansy. Od razu wyszłaś, potem wyjechałaś bez pożegnania. Ja zresztą też nie zabawiłem długo, dlatego musimy teraz porozmawiać. Spokojnie, w cztery oczy i najlepiej z dala od Stawisk. Nadarzyła się okazja, a tu będzie na wszystko czas, bo tu czas płynie wolniej.



Wieczorem Alicja postanowiła, że podczas pobytu w Chorwacji nie będzie grać wiecznie obrażonej. Wybrała dla siebie inną rolę. Będzie damą! Tak, będzie damą w każdym calu. W każdym razie spróbuje. Zachowa się tak, jakby już dawno temu zdobyła przepustkę do świata arystokratycznych elit, ale nie zamierzała z niej skorzystać. Będzie w miarę możliwości powściągliwa, elegancka i dystygowana. Postara się formułować przemyślane wypowiedzi, komentować z rozmysłem, przytakiwać albo przeczyć z rozwagą i obszernym uzasadnieniem i, co najważniejsze, bez egzaltacji. Niech będzie jak na filmach z wyższych sfer: „Czy mogę prosić o małe wytrawne sherry?” albo: „Przeżyliśmy wiele pięknych chwil”, a może: „Jakie to pospolite” albo: „Jestem pełna podziwu” i tak dalej. Żadnych emocji, żadnego demonstrowania uczuć, żadnych łez, a uśmiech, jeśli już, niech będzie oszczędny i wystudiowany; uprzejmy, ale nie serdeczny. Można? Można!

Udowodni, że można. Nie wypadnie z roli. Przynajmniej spróbuje.

## **OSTATNIE SŁOWO**

Przystojny śniady kelner o egzotycznej urodzie stał wyczekująco, kiedy naradzali się, co ostatecznie zamówić.

— Wystarczy cappuccino — zdecydowała Alicja — obiad zjedliśmy przecież w Dubrowniku.

— Może coś więcej? — dopytywał Adam. — Posiedzimy tu chwilę, zdążysz zgłodnieć.

Wybrała sałatkę z owoców morza i sok. Powiedziała kelnerowi, że kawę wypije później.

Adam uśmiechnął się z aprobatą i zapytał:

— Jak oceniasz ten dzień?

— Staram się nie chwalić dnia przed zachodem słońca, ale już teraz mogę powiedzieć, że jestem zmęczona i zadowolona.

— Trzeba zachwycić się tym miastem, prawda? Perełka Dalmacji, światowe dziedzictwo kultury, historia wpisana w mury, przedmioty i budowle. Pięknie, nie sądzisz? George Bernard Shaw, zobaczywszy panoramę Dubrownika, miał powiedzieć: „Kto chce zobaczyć raj na ziemi, powinien tutaj przyjechać”. Chyba nie zaprzeczysz, że chciałaś zobaczyć raj na ziemi?

— Nie zaprzeczę.

— I zapamiętaj sobie, że ten raj oglądałaś w moim towarzystwie.

Zmieszała się nieco, choć zapewne mówił żartobliwie, niepoważnie, z udawaną kokieterią. Starła się dopasować do jego tonu.

— Drogi hrabio. Miasto leżące teraz u naszych stóp zapewne pozostanie w mojej pamięci, podobnie jak kompetentny i niewątpliwie reprezentacyjny cicerone, który mi się przytrafił.

— Taaak, „przytrafił”. — Nie patrzył już w jej oczy, ale na panoramę Dubrownika. — Jednorazowo i okazjonalnie, nieprawdaż?

Znów spojrzął na nią, ale Alicja kontemplowała już oszalałymi widok, który roztaczał się ze wzgórza Srđ, czyli Góry Świętego Sergiusza. Teraz miała okazję zobaczyć miasto z innej perspektywy. Do południa w Dubrowniku szybko zrobiła zakupy. Zaopatrzyła się w strój



kąpielowy, dwie sukienki, sandały, kapelusz, parę drobiazgów i doszła do wniosku, że to powinno wystarczyć. Adam Franciszek czekał w kawiarni, a kiedy zobaczył, że niesie torby z zakupami, trochę niepewnie idąc po śliskim deptaku, wypolerowanym stopami tysięcy turystów od wieków podziwiających stare miasto, poderwał się, żeby podać jej ramię, zaprowadzić do stolika, zamówić dla niej kawę, zabrać torby i zanieść je do samochodu. Było tak, jak powinno być.

— Szybko się uwinęłaś — docenił. — Pewnie dlatego, że bardziej interesują cię zabytki Dubrownika niż sklepy.

Po obiedzie zwiedzili miasto, zdążyli nawet wybrać się na mury, skąd roztaczał się widok na rude dachy domów, na seledynowy i błękitny Adriatyk i na wylaniające się z wody wysepki.

— Ta nazywa się Lokrum — wyjaśnił Adam, wskazując jedną z nich. — To wyspa miłości. Było na niej opactwo Benedyktynów, zniszczyło je trzęsienie ziemi. Setki lat gospodarowali tu zakonnicy, ale po tragicznym wydarzeniu już nie chcieli albo nie mogli tu zostać. Legenda mówi, że tego dnia, w którym opuścili wyspę, rzucili na nią klątwę i nazywa się ją przeklętą.

— Miłość i przekleństwo czasem idą w parze — skomentowała Alicja. — Pamiętasz historię Inês i Pedra?

— Oczywiście. Jak powiedziałaś, ta historia nas poróżniła. Pamiętam każde słowo. Rozmowy w Portugalii okazały się, że tak powiem, brzemiennie w skutki. Sądzę, że powinniśmy do nich powrócić. Minęło tyle czasu i wiele się zmieniło.

— Może innym razem — odpowiedziała wymijająco. — Lepiej podaj mi rękę, bo schody są strome. Myślałam, że dubrownickie mury nie mają końca. Nóg nie czuję. Bogu dzięki, że założyłam wygodne sandały, chociaż mają, niestety, śliskie podeszwy.

— Zauważyłem. Przejdziemy jeszcze promenadą, ale będę cię trzymał za rękę. Na wszelki wypadek.

— Nie mam wyjścia, bo przedtem o mało się nie przewróciłam. Nie boisz się, że ktoś cię tu rozpozna i zrobi zdjęcie?

— Dlaczego? — zdziwił się. — Mój pobyt tu nie jest tajemnicą. Skoro widziałaś już wyspę miłości, zawiozę cię na górę, na której zakochani często się oświadczają. Stamtąd będziemy mieli znakomity

widok, usiądziemy w restauracji pod gołym niebem i zobaczymy, jak nad Dubrownikiem zachodzi słońce.



— Niezwykłe miejsce — musiała przyznać, kiedy zobaczyła w dole rude dachy oświetlone zachodzącym słońcem, zmieniającym barwy od jasnych, ciepłych, oswojonych po coraz bardziej tajemnicze. W jego świetle lazurowe i błękitne morze stopniowo stawało się nieruchome, w końcu stalowe, niesamowite, a wyłaniające się gdzieś tam wysepki dopełniały wrażenia, że oto sielankowy widok zmienia się powoli w nieziemski, zagadkowy, księżycowy krajobraz. Coraz więcej migających świateł w dole łagodziło uczucie niepokoju. Biały majestatyczny krzyż na wzgórzu przyciągał turystów, którzy opierali się o jego kamienną podstawę i dopóki nie zaszło słońce, robili zdjęcia z widokiem na morze i leżące w dole miasto zwane perłą Adriatyku.

— Miał rację George Bernard Shaw. Tu jest raj. Myślę jednak, że jest tu coś jeszcze. Pocztówkowy widok, sielankowy landszaft, a pod koniec dnia niewiarygodna i niesamowita metamorfoza, która znów zmienia się w wieczorne i nocne wyciszenie, uspokojenie i równowagę. Kiedy tu jechałam, byłam niezbyt towarzyska. Wybacz. I dziękuję, że mi to wszystko pokazujesz.

— Do usług. — Adam nieco żartobliwie potraktował przeprosiny i podziękowania, ale z powagą odniósł się do sposobu, w jaki Alicja opisywała doznawane wrażenia. — Masz rację, mówiąc, że to pocztówkowy krajobraz, ale czasem na pocztówce jest skaza, zagięty róg, wyblakły kolor, bo raj bywał tutaj piekłem, więc nie wszystko jest sielankowe. Jak w życiu.

— Co masz na myśli?

— Znam tych ludzi, znam dobrze ich historię. Bywam tu często i słucham, co mają do powiedzenia. Niektóre informacje podają przewodniki, ale zawsze tak, żeby nie zrobić złego wrażenia. Raj niech będzie rajem. A tymczasem idylla i arkadia nie trwają wiecznie i bez przerwy. Dubrownik przeżył trzęsienia ziemi, wojny, bombardowania, oblężenia. Miało tu być bezpiecznie, więc moi znajomi schronili się do

miasta w czasie niedawnej wojny, tymczasem w październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku stąd, z góry Srđ, zaczął się atak wojsk jugosłowiańskich. Krzyż na szczycie upamiętnia to, co się wówczas stało. Zobacz.

Adam podał Alicji telefon z włączonym filmem dokumentującym oblężenie Dubrownika. Patrzyła na bomby spadające do morza, widziała, jak kruszą się stare mury, a czarne kłęby dymu wznoszą się w górę. Słyszała plusk wody, kiedy w lazurowe morze wpadały odłamki. W nocy także ze wzgórze Srđ posyłano w stronę miasta będącego częścią chronionego dziedzictwa kulturowego i historycznego śmierć i zniszczenie. Pociski jak fajerwerki spadały na dachy, na stojące w porcie żaglówki i jachty i niszczyły pocztówkowy krajobraz.

Alicja odłożyła telefon. Patrzyła na raj, który bywał piekłem. Mrok gęstniał. Coraz więcej świateł migotało tajemniczo i romantycznie. Dominowała łagodność i cisza, przyjemne ciepło, ale już nie upał, zapach i smak kawy. Adam siedzący naprzeciwko przyglądał jej się uważnie, kiedy milczała i kiedy mówiła:

— Bezmyślne niszczenie dorobku, który powstawał setki albo tysiące lat. Współczesne obrazy z miejsc opanowanych przez islamskich terrorystów, którzy obsesyjnie zwalają z budowli krzyże, młotami niszczą chrześcijańskie rzeźby i nagrobki, wysadzają w powietrze wiekowe budowle. Przychodzi mi na myśl fragment wiersza Miłosa. To utwór o apokalipsie, o wojnie, która niszczy wszystko, zabija, unieszczęśliwia, ale także nie oszczędza bibelotów, drobiazgów, cudów stworzonych przez człowieka. *Piosenka o porcelanie* mówi o wdeptanych w błoto, rozbitych, pokruszonych małych różowych spodeczkach, kwiecistych filiżankach, uszkach, denkach i dzbanach. Ich resztki zostają na grobach, na kurhanach i na ruinach, tak jak w Dubrowniku. „Niczego mi proszę pana tak nie żal jak porcelany” — powtarzam refren *Piosenki*, myśląc o pociskach spadających na stare mury, na dachy zabytkowych budowli... Mogę jeszcze raz zobaczyć ten film?

Podał jej telefon. Wpatrywała się przez chwilę w ekran. Tego się nie spodziewała. Obawiała się, że może wypaść z roli. W takiej sytuacji trudno było grać. Odżyły wspomnienia.

— Skąd masz to zdjęcie, które jest na ekranie? — podniosła na niego zdziwiony wzrok.

Nie od razu odpowiedział.

— Chodzi o reklamę z tobą w roli głównej? — domyślił się. — Zdobyłem. Jeśli dobrze poszukać, w internecie można znaleźć wszystko.

— Więc wiesz, że kiedyś byłam modelką?

— Wiem. Od dawna.

— I co? — zawiesiła głos, czekając na jego reakcję.

— I nic. Jesteś piękną kobietą, byłaś fotogeniczną nastolatką. Nie dziwi mnie, że szybko zrobiłaś karierę. Bardziej jestem ciekaw, czemu tak nagle ze wszystkiego zrezygnowałaś. Nie znam odpowiedzi i wszystkowiedzący internet też nie wie. Dlaczego?

Nachylił się w jej stronę, wciąż patrzył w jej oczy, jakby wzrokiem chciał zmusić ją do ujawnienia tajemnicy, która będzie odtąd ich wspólnym sekretem. Nie musiał zapewniać o dyskrecji, była jej pewna.

— Twoja rodzina, jak sądzę, nie zachwyciłaby się faktem, że hrabia widywany jest w towarzystwie byłej modelki, o której dawniej pisano różne, nie zawsze prawdziwe rzeczy. — Alicji nieco drżał głos, kiedy zdecydowała się wreszcie na zwierzenia. — Dlatego chciałam wszystko przed tobą... — zawahała się — przed wami ukryć.

Wzięła do ręki torebkę, Adam gestem przywołał kelnera.

— Opowiem ci wszystko w drodze powrotnej, chociaż teraz i tak jest już za późno. Wiesz, że moja mama i ojciec zginęli w wypadku?

Skinął głową. Wstali od stołu, zaczęli iść wolno w stronę samochodu. Alicja mówiła spokojnie, jakby wiele razy powtarzała w myślach zdania, które były podsumowaniem i rozliczeniem się z przeszłością. W miarę jednak, jak w wyobraźni odtwarzała przebieg zdarzeń, znów przeżywała wszystko na nowo, a Adam patrzył na nią najpierw ze zdumieniem, potem z żalem, współczuciem, a może i czymś więcej, czego sam nie chciał jeszcze nazwać.



— To była moja wina — wyznała ze smutkiem. — Pochłonął mnie świat, w którym byłam gwiazdą, albo takie miałam wrażenie. Kilka miesięcy w roku w Paryżu, Mediolanie, na wybiegach, w plenerach,

w studiu. Okładki, zdjęcia, plakaty, kampanie reklamowe, niemałe pieniądze. Przyjęcia, pochwały, adoracja ze strony bogatych panów, propozycje, obietnice, nadzieje. Mama i tata nie byli zadowoleni, kiedy nie poszłam na studia i całymi tygodniami nie pokazywałam się w domu, a jeśli już odwiedzałam rodziców, kłóciliśmy się. Miałam wrażenie, że ich poglądy są staroświeckie i zaściankowe. Cóż mogli wiedzieć o prawdziwym świecie, skoro ich światem było jakieś zadupie? Zbliżało się Boże Narodzenie. Zadzwoiłam, że na Wigilię zostaję w Warszawie, może wpadnę do Stawisk w drugi dzień świąt. „Nie siądziemy bez ciebie do stołu”, usłyszałam stanowczy głos mamy. „Może uda nam się przyjechać do Warszawy, skoro ty nie możesz się stamtąd wyrwać. Ojciec nie jest najlepszym kierowcą, a samochód ma swoje lata. Zobaczymy, co da się zrobić, córeczko”. Protestowałam, nie chciałam moim przyjaciołom przedstawiać rodziców z prowincji, którzy przyjadą starym autem, nie znają biegle angielskiego i noszą ciuchy niewiele mające wspólnego z nowymi trendami w modzie. W myślach powtarzałam jak pobożne życzenie: „Żeby nie przyjechali, żeby nie przyjechali”... I spełniło się... Nie przyjechali. Nie dojechali.

Szukała czegoś w torebce. Adam domyślił się. Podał jej chusteczkę.

— „Córeczko” — szepnęła. — To było ostatnie słowo, które usłyszałam od mojej mamy. Gdybym wtedy przyjechała do Stawisk na Wigilię...

— O Boże... — westchnął Adam. — Przepraszam, nie wiedziałem, nie chciałem ożywiać bolesnych wspomnień. Zmieńmy temat.

— Nie. — Alicja szybko otarła niechcianą łzę. — Skoro zaczęłam, dokończę. Pomogli mi dobrzy ludzie, Łucja i inni. Skończyłam studia, zmieniłam się, także zewnętrznie. Nie chcę wracać do tamtego życia i nie chcę, żeby mnie ktoś rozpoznał. Na wybiegu zarobiłam sporo, poza tym dostałam spadek po rodzicach. Mieliśmy duże gospodarstwo. Wybudowałam dom, urządziłam życie na nowo, ale jestem sama.

— Nie jesteś.

Adam przystanął. Gestem zatrzymał Alicję, objął i przytulił. Pocałował w czubek głowy.

— Proszę, nie płacz. To przecież nie jest twoja wina. Niepotrzebnie naciągnąłem cię na te zwierzenia. Wydawało się, że wszystko o sobie wiemy, a jednak...

— Przepraszam, rozkleiłam się. Wracajmy do Molunatu.

Otworzył drzwi, pomógł jej wsiąść do samochodu.

— Nie płacz, kochanie — powiedział cicho, albo się przesłyszała.



Alicja i Adam byli zamyśleni i milczący. Mijali rześkie oświetlony Cavtat, kiedy zadzwonił telefon. Alicja drgnęła, sięgnęła do torebki, żeby go wyłączyć.

— Odbierz — zasugerował. — Może to coś ważnego.

Zawahała się, spojrzawszy na ekran. Było jednak za późno, żeby odrzucić połączenie.

— Wybacz, Dawidzie — powiedziała szybko — nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię. Pa!

Adam milczał.



W willi Marina od razu zniknął w swoim pokoju, tłumacząc, że powinien popracować. Alicja sama siedziała na tarasie, do późna słuchając monotonnego pluskania niewielkich fal rozbijających się o betonowe nabrzeże.

Kutry rybackie wypłynęły na połów. Parę osób spacerowało wzdłuż brzegu, ale w końcu nadmorska wąska droga, którą trudno byłoby nazwać deptakiem i na pewno nie promenadą, opustoszała. Molunat zasypiał, a ona nadal usiłowała uporządkować myśli i nazwać swoje uczucia. Miała zagrać rolę, którą sobie wczoraj narzuciła. To mógł być piękny dzień w słonecznym, pocztówkowym krajobrazie. Na pocztówkach bywają jednak zgięcia i rysy, czasem nawet plamy.

## **ZABÓJCZA MEDICINA**

— Nie, nie jesteśmy parą. Przyjechaliliśmy tu, żeby razem wykonać

ważne zadanie, nie dlatego, że jesteśmy w sobie zakochani.

Adam rozmawiał po angielsku z Mariną. Alicję obudziły jego słowa i, prawdę mówiąc, nieco rozczarowały. Postanowiła jednak ich nie analizować i w żadnym razie nie komentować. Doszła do wniosku, że powinna zachowywać się swobodnie i w miarę możliwości beztrosko. A nade wszystko przynajmniej spróbować znowu wejść w rolę, z której wczoraj wypadła.

Noce były ciepłe, więc drzwi na taras zostawiła otwarte, dlatego dotarło do niej każde słowo wypowiedziane na tarasie przez Adama. Noc już dawno zmieniała się w dzień.

— Długo nie mogłam zasnąć — tłumaczyła, kiedy jedli spóźnione śniadanie. — Nie musiałeś na mnie czekać.

— Nie czekałem. Pływałem, a teraz wkładaj kostium kąpielowy, zabierz krem do opalania, kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, książkę, dobry nastrój i chodź ze mną. Nie pożałujesz.

Nie żałowała. Adam wypożyczył motorówkę, którą popłynęli na wyspę. Przygotował kosz piknikowy, a w nim owoce, napoje i kanapki. Pływali, opalali się, rozmawiali o wszystkim i o niczym. Nie podejmowali trudnych tematów. Leniuchowali i wypoczywali, a kolejne dni przekonały Alicję, że Molunat świetnie się do tego nadawał.

Była to mała senna wioska z jedną uliczką prowadzącą donikąd. Adam, na co dzień dość nieprzystępny, raczej poważny i zdystansowany, tu robił wrażenie zadomowionego, swobodnego, dowcipnego, nadzwyczaj towarzyskiego i rozmownego. Radośnie witał się z mieszkańcami, jakby byli jego starymi znajomymi. Może byli, skoro przyjeżdżał tu co roku. Znał Marinę, Senkę, Lukę i wielu innych. Gawędził z tubylcami siedzącymi na ławeczce pod sklepem spożywczym i nad brzegiem morza. Jeden z nich, uśmiechnięty i zadowolony z życia brodac, ubrany jedynie w kolorowe ogrodniczki opięte na wydatnym brzuchu, pełnił tu chyba całodobowe dyżury. Ilekroć tędy przechodzili, wpatrywał się w daleki horyzont lub w zapadający się dach zamkniętego na głucho budynku opatrzonego napisem „Pošta”, pił piwo, palił fajkę albo robił jedno i drugie. Adam nazywał go filozofem.

Nieskażony nadmiernie cywilizacją i zdecydowanie niepodlizujący

się turystom Molunat miał wiele uroku, a jego atmosfera odpowiadała Alicji, która chętnie zwiedzała wielkie miasta, znane kurorty, ale jeszcze chętniej wypoczywała w miejscach, których nikt na siłę nie zagospodarowywał, żeby zadowolić gości. W Molunacie o przyjeźdźnych dbano, ale to oni powinni się dostosować do rytmu życia wioski, a nie odwrotnie. Już wiedziała, że ta najodleglejsza miejscowość turystyczna Chorwacji stanie się jej bliska na tyle, że będzie chciała do niej wracać.



Tego ranka Adam powiedział, że otrzymali zaproszenie od Ivany.

— Jest moją znajomą. To dzielna kobieta, której mąż zginął podczas oblężenia Dubrownika. Wspomniałem ci o tej rodzinie, pamiętasz?

Alicja przytaknęła. Opowiadał o mieszkańcach pogranicza, mających dom i gospodarstwo na zboczu góry, za którą jest już Czarnogóra. Uprawiali winorośle, drzewka oliwne, hodowali zwierzęta. Praca była żmudna i niełatwa, ale życie spokojne, dopóki nie zaczęła się wojna. Sąsiedzi stali się wrogami. Do dziś podobno, choć lata minęły od tego, co historia nazywa nacjonalistycznymi i etnicznymi napięciami, które przerodziły się w narodowościowy kryzys, góry są jeszcze zaminowane. Saperzy nadal mają zajęcie, wokół domów znajdują się niewybuchy.

Dubrownik wydawał się miejscem bezpiecznym, więc zostawili dobytek i uciekli, ale i tam zaczęto niszczyć i zabijać. Po śmierci męża Ivana i kilkuletni synowie wrócili do Molunatu, choć nie bardzo mieli do czego wracać, a niepokoje jeszcze trwały. Zastali zniszczony dom, pozarzynane zwierzęta. W kuchni na podłodze sąsiedzi pozostawili kozy z poderżniętymi gardłami. Sygnał był czytelny: jeśli wrócicie, zrobimy z wami to samo. Nikola i Juraj byli przerażeni, Ivana płakała. Zdecydowali, że znów trzeba uciekać. Stało się jednak coś, co zatrzymało ich aż do dzisiaj. Wśród śmierci i zniszczenia błąkało się życie. Ocalała jałówka, która chowała się między oliwnymi drzewami. Wróciła do domu. Oni także, bo nie mogli zostawić jej samej.





— Chętnie poznam tę rodzinę i zobaczę ich gospodarstwo na zboczu góry — powiedziała Alicja. — Skoro znów wracamy do poważnych tematów, chciałabym jeszcze zobaczyć zniszczone figury w Čilipi, o których wspominałeś.

Pojechali do kościoła, obok którego odbywały się co tydzień tłumne i radosne folklorystyczne imprezy. Turyści mieli okazję nie tylko podziwiać kolorowe stroje ludowe, w których dominowały czerń, biel i czerwień, nie tylko słuchać muzyki i obserwować urodziwych i zgrabnych tancerzy oraz śliczne czarnowłose tancerki, ale także zobaczyć ślad niedawnych zdarzeń. W świątyni pozostawiono bowiem dla upamiętnienia i ku przestrodze figury Świętej Rodziny: Matkę Boską ze zniszczoną aureolą, z przestrzelonymi oczami, Józefa, którego głowę położono u jego stóp, i Dzieciątka, także pozbawione głowy, trzymające w wyciągniętych rękach gołąbka, symbol pokoju. W dwóch językach zapisano na umieszczonej obok tablicy, że 13 stycznia 1992 roku ucierpiały nie tylko owe niekompletne figury, ale także cała spalona wcześniej miejscowość.

Dzisiaj jest to znów pocztówkowa miejscowość, zachwycająca krajobrazami, z górami i morzem w tle, z kamiennymi budowlami o ciepłych barwach, i tylko symbolicznie, poprzez figury z przestrzelonymi oczami i postaci bez głów, przypomina o tym, co wydarzyło się tak niedawno.



Postanowili pojechać do Cavtatu, a wieczorem skorzystać z zaproszenia Ivany. Znów można się było zachwycać, delectować, upamiętniać na fotografiach. Po obiedzie wybrali się do małego muzeum, o którym Alicja przeczytała w przewodniku. Pochodzący z tego miasteczka syn Włocha i Chorwatki z Dubrownika był utalentowany i uparty. Udało mu się zrobić karierę. Vlaho Bukovac uczył się, pracował i wystawiał swoje obrazy w Paryżu, potem był centralną postacią życia artystycznego w Zagrzebiu, aż w końcu wycofał się do rodzinnego Cavtatu. Przeszkadzały mu konflikty i nieporozumienia, więc uciekł na prowincję.

— Realistyczne malarstwo ma to do siebie, że nie trzeba się przynajmniej domyślać, co przedstawia, ani udawać, że się dostrzega to, czego się nie dostrzega — komentował Adam, przyglądając się kolejno wizerunkowi nieboszczyka, niemowlaka w betach, Matki Boskiej, następnie nagich kobiet w zmysłowych pozach. Jedna z nich skąpo przyodziana w zwiewny kawałek materii leżała w gaju, czytając książkę. Tej poświęcił najwięcej uwagi.

Alicja dostrzegła więcej: ozdobne ramy i robocze blejtramy, których główną atrakcją był sam obraz, akcesoria malarskie, autoportret, dziwne główki dziecięce, jakby nanizane na sznurki, palety poplamione farbami i równie poplamiony fartuch przewieszony przez sztalugę.

Wyjeżdżając z Cavtatu, doszli do wniosku, że już trochę zmęczyło ich leniuchowanie w Molunacie, dobrze więc, że spędzili urozmaicony dzień. Jadąc w stronę gościnnego domu Ivany i jej synów, gdzie mieli zjeść tradycyjną kolację, nie przypuszczali nawet, że dzień ten dopiero w pełni zasłuży na miano oryginalnego, urozmaiconego i niezapomnianego.



— To najpiękniejsza i najmądrzejsza kobieta, jaką spotkałem. Jest miłością mojego życia — głośno zapewniał Ivanę Adam, kiedy po kolacji nieco chwiejnym krokiem szedł w stronę samochodu. — Kocham ją, ale ona o tym nie wie, a do niedawna ja też nie wiedziałem. *I love Molunat!*

Mówił głównie po polsku, Ivana niewiele rozumiała, ale kiwała głową, śmiała się i powtarzała: „Sama medicina”, wskazując na butelkę czerwonego wina i rakii, którą schował do bagażnika. Alicja domyśliła się, że zachwala jej zdrowotne właściwości. Stojący na tarasie rozbawieni domownicy machali na pożegnanie i z zainteresowaniem przyglądali się, jak Alicja usiłuje uruchomić samochód. Wydawał jej się zbyt szeroki, droga, którą kluczyli wśród winnic, zbyt wąska, a automatyczna skrzynia biegów, o której dotąd jedynie słyszała, zbyt tajemnicza. Adam, zamiast wyjaśnić i pomóc, powiedział jej tylko:

— Posługuj się tylko jedną nogą. Drugą możesz w tym czasie na przykład grać w piłkę. Nie będzie ci potrzebna.

Potem opowiadał, że brał udział w winobranii, wie, że dziki odstrasza się tutaj radiem włączonym w nocy, i że czuje się jak domownik. Ponadto bardzo mu się podoba chorwacka prowincja i w ogóle prowincja. Polska prowincja także, Stawiska zaś nade wszystko. Odśpiewał *You were always on my mind*, potem *Będziesz moją panią*, na koniec zaczął recytować jakiś wiersz po francusku, ale nie znał go w całości.



Alicja z ulgą zaparkowała pod willą Marina i obudziła Adama. Nie pamiętał wprawdzie, dlaczego siedzi w swoim samochodzie na siedzeniu pasażera, a nie kierowcy, ale uparł się, że noc spędzi nad brzegiem morza, ponieważ odnosi wrażenie, że jest troszeczkę niedysponowany.

— Nie zostawię cię tu, bo to niebezpieczne. Utopisz się i narobisz wszystkim kłopotu, drogi hrabio. Idziemy.

Żmudne i powolne okazało się pokonanie kilkudziesięciu schodów, zwłaszcza że Adam dwukrotnie usiłował zawrócić i mimo wszystko zrealizować pierwotny plan. Alicja perswazją połączoną z upartym odwracaniem go we właściwym kierunku osiągnęła wreszcie zamierzony cel i oboje szczęśliwie znaleźli się na ostatnim piętrze willi.

Adam poszedł do łazienki, a Alicja tymczasem zamierzała się położyć, ale usłyszała, że znowu schodzi po schodach, więc narzuciła szlafrok na nocną koszulę i po raz kolejny zaprowadziła go do pokoju. Zamknęła drzwi na klucz i dopilnowała, żeby znalazł się w łóżku.

— Jesteś najpiękniejszą i najmądrzejszą kobietą, jaką spotkałem — zapewniał ją, zanim zasnął. — Zostań ze mną, bo pójdę nocować do morza. Wyjdę przez taras.

— Nie wygłupiaj się. To drugie piętro — tłumaczyła zaniepokojona.

— Będziesz mnie miała na sumieniu, kochana. — Przytrzymał jej rękę i zmusił, żeby usiadła, a potem położyła się obok niego. — Sama widzisz, że musisz mnie pilnować, bo tutejsza *medicina* zwała mnie z nóg, chociaż, na Boga, nie planowałem tego.

Mówił coraz mniej wyraźnie, w końcu wymruczał refren *You were always on my mind*, otoczył Alicję ramieniem i zasnął. Ilekroć jednak

próbowała wstać, budził się i znów przygarniał ją do siebie. Była zmęczona, trochę rozbawiona sytuacją, trochę rozmarzona, trochę rozdrażniona, jednym słowem pełna sprzecznych uczuć. W dodatku to, co się teraz działo, na pewno nie miało wiele wspólnego z rolą damy, którą zamierzała grać w Chorwacji. Właściwie, prawdę powiedziawszy, wcielała się w nią tylko od czasu do czasu.

Obudziła się nad ranem, wysunęła z jego objęć i wróciła do swojego pokoju. Chwilę wsłuchiwała się w delikatny plusk fal i szum kutrów wracających z nocnego połowu.



— Jest mi bardzo przykro, że musiałaś się mną zaopiekować. Przepraszam najmocniej i obiecuję, że to się już nie powtórzy. Nie wszystko pamiętam, ale wiem, że byłaś dzielna, wyrozumiała i troskliwa. Nie mam zwyczaju się upijać, jak wiesz, ale Ivana, Nikola i Juraj są bardzo gościnni. Zapewne zauważyłaś. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że rakija, chorwackie wino, travarica i wszystkie inne lokalne nalewki mają wielką moc i najlepiej nie mieszać... Nie śmieję się, bo głowa mi pęka.

Siedzieli na tarasie. Przegapili świt i poranek w Molunacie, przegapili nawet wczesne godziny przedpołudniowe. Adam nie tknął śniadania, które przygotowała Alicja, i zapowiedział, że najbliższe godziny poświęci na regenerację, ale najpierw chciałby poznać przebieg zdarzeń, bo obawia się, że zrobił lub powiedział coś, z czego powinien się wytłumaczyć.

— Nie ma mowy — zaprotestowała. — Żadnego sprawozdania ode mnie nie usłyszysz. Kupiłam pięć litrów Jany. To woda, którą najbardziej lubię, więc zostawiam cię z nią sam na sam. Postawi cię na nogi, a ja tymczasem idę na plażę. Ahoj, przygodo! Nie jęcz, obok telewizora jest moja apteczka, tam znajdziesz tabletkę przeciwbólową. Przynajmniej już nie muszę cię pilnować, bo chyba nie chcesz dzisiaj znowu nocować w morzu?

— Zlituj się...

— Po południu jedziemy do restauracji nad rzeką, do której mnie zapraszałeś. Mogę poprowadzić twoje audi, już nabrałam wprawę.

A potem na punkt widokowy, skąd będziemy obserwować lądujące i startujące samoloty i podziwiać widoki.

— Zlituj się... Nie masz pojęcia, jak ta droga jest wąska i stroma, i kręta...

— Mam. Istnieje Google Maps, a także Street View, a ja potrafię to coś włączyć i sprawdzić.

— Jesteś bezlitosną, mściwą i okrutną kobietą. — Adam wstał i od razu usiadł z powrotem, chwytając się za głowę.

— Taaak? — zdziwiła się teatralnie, stojąc w drzwiach wejściowych z kapeluszem w jednej ręce i z torbą plażową w drugiej. — Doprawdy? Wczoraj, zdaje się, byłeś innego zdania, drogi hrabio.

Zbiegając po schodach, słyszała jeszcze, jak mówił:

— Błagam, zrelacjonuj, co się działo, bo pamiętam jak przez mgłę.

## **STARA BIZUTERIA**

— Kotor zostawiłem na deser, ale wcześniej zatrzymamy się w Peraście. — Adam wziął kluczyki leżące obok kosmetyczki Alicji. — Już mieszają się moje i twoje rzeczy — zauważył.

— Zaraz posprzątam.

— Zostaw — przytrzymał jej rękę — nie trzeba.

Kończył się pobyt Alicji i Adama w Molunacie. Hrabina Izabela zawiadomiła, że nazajutrz będzie gotowa do drogi, więc przed wyjazdem zamierzali przekroczyć pobliską granicę z Czarnogórą i spędzić dzień, zwiedzając najciekawsze miejsca.

Jechali wzdłuż zatoki. Widoki znów były pocztówkowe i godne uwiecznienia na fotografii, więc Alicja co jakiś czas prosiła:

— Zwolnij! Zatrzymaj się! Jedź tak, żeby mi ręka nie drgnęła!

— Zaraz zobaczysz umierające miasto, które kiedyś tętniło życiem, i te malownicze wysepki, które właśnie mijamy, z innej perspektywy. Wtedy zrobisz zdjęcia. Kilkaset, swoim zwyczajem.

— Ale potem połowę skasuję — powiedziała.

Perast zrobił na niej duże wrażenie. Adam się tylko uśmiechał, słuchając zachwytów i komentarzy.

— Patrz, mury umierającego miasta, ożywającego na czas wakacji

dzięki turystom, porastają rośliny, które niszczą resztki dawnej świetności i przyspieszają jego agonię. Takie to wszystko tajemnicze i niezwykle, wręcz fantastyczne.

Był tu już kilka razy, ale tajemniczość i niezwykłość zauważył po raz pierwszy. Kiedy idąc nabrzeżem, mijali dom z napisem „For sale”, zatrzymała się, podziwiając włoską architekturę niedużej willi z drewnianymi okiennicami.

— Chciałabym tu czasem pomieszkać — westchnęła.

— Już kiedyś pytałem o ten dom, też wydaje mi się interesujący.

Nie skomentowała.



Wyłynęli niewielką łódką w kierunku dwóch małych wysepek. Jedna z nich, zwana Wyspą Umarłych, z wysokimi strzelistymi cyprysami, wcale nie wydała im się umarła, bo ktoś opalał się na kamiennych schodkach; a drugą, na której czas się zatrzymał, udostępniono dla turystów, którzy zwiedzali barokowy kościółek i małe muzeum. Czego tam nie było! Stare przedmioty, zakurzone sprzęty powleczone pajęczyną, pokryte patyną czasu; od dawna nieużywane naczynia, karafki, dzbany, zegary, które nie chodzą, współczesne i stare obrazy przedstawiające wzburzone morze, a na nim żaglowce, okręty i karawele, i wreszcie biała parasolka ze starannym ażurowym wykończeniem, która może należała do jakiejś damy i chroniła jej wrażliwą cerę od słońca.

— Spójrz, ma taką samą parasolkę — ucieszyła się Alicja, wskazując dwie godziny później dziewczynę w białej ślubnej sukni.

— Zbieg okoliczności.

— Nie ma zbiegów okoliczności — zaprotestowała.

— Skoro tak, wyjaśnij mi, dlaczego w Kotorze już po raz drugi natknęliśmy się na młodą parę? Czy to jest jakiś znak? Czy też zwykły zbieg okoliczności?

— Nie ma... — zaczęła i urwała, uświadomiwszy sobie, co może oznaczać dokończenie tego zaprzeczenia.

— Właśnie. — Głos Adama był podszyty nutką triumfu, jakby podczas przesłuchania przyłapał oskarżonego na kłamstwie albo chociaż

drobnej nieściskości.



Siedział naprzeciw Alicji w restauracji Scala Santa w Kotorze. Dzień dobiegał końca, ale słońce jeszcze nie zaszło. Przyglądał się jej, a ona z kolei od dłuższego czasu z wyraźnym przejęciem obserwowała drugą tego dnia sesję zdjęciową zaaranżowaną przy starej studni. Młodziutka i szczupła dziewczyna w białej, skromnej długiej sukni i równie długim welonie poruszała się z naturalnym wdziękiem. Pan młody był mniej atrakcyjny, mniej szczupły i mniej naturalny. W niebieskim garniturze, białej koszuli, białych butach wyglądał nieco kiczowato, ale jego czarnowłosa, filigranowa żona była zachwycająca. Turyści przystawali, wyciągali aparaty fotograficzne na ich widok, a oni pozowali do zdjęć. W pewnym momencie dziewczyna podeszła do studni, ktoś usłużnie napompował wody, a ona zaczerpnęła jej w dłonie i podała mężowi. Pił z jej ręki. Widzowie bili brawo. W końcu podano jej bukiet i białą parasolkę ze starannym ażurowym wykończeniem, taką samą, jaka znajdowała się w muzeum na wyspie. Poszli w stronę głównego placu średniowiecznego miasta. Tam właśnie, gdzie parę godzin wcześniej spacerowała inna młoda para.

— Tu wszystko jest magiczne — powiedziała wówczas Alicja, a Adam przytaknął, kiedy zobaczyli, że przechodnie rozstępują się, robiąc komuś miejsce. Wąską uliczką przedzierała się pomiędzy turystami roześmiana panna młoda. Pan młody pozostawał w jej cieniu, a ona szła przodem w białej sukni z wielką szeroką spódnicą, na głowie miała wianek ze świeżych białych kwiatów. Uwagę zwracały długie, rozpuszczone, gęste rude włosy. Oboje byli radośni, a on, niepiękny, nieco zwalisty, nieco niezgrabny, podtrzymywał jej bufiastą zwiewną suknię, na której naszyto niezliczoną ilość kryształków mieniących się w słonecznym świetle dnia.



Wtedy jeszcze nie rozmawiali o tym, czy spotkanie nowożeńców było przypadkowe, czy też należy szukać symbolicznych znaczeń

i podtekstów. Śpieszyli się, ponieważ Alicja chciała zobaczyć miasto i zatokę z góry. Trzeba było pokonać zmęczenie i dziesiątki schodów, żeby stanąć na najwyższym punkcie murów obronnych. Mury pozostały jedynie atrakcją turystyczną, bo o obronności dawno nie mogło być mowy.

Tuż przed szczytem Alicja, która znów zapomniała, że gra rolę damy, zboczyła z drogi, którą szli turyści, zmachani i przystający coraz częściej nie tylko po to, żeby podziwiać widoki. Ona nie była zmęczona, ale zachwycona i podekscytowana. Z boku w murze zobaczyła wąski przesmyk. Trzeba się było przedostać na drugą stronę i ostrożnie po kamieniach zejść nieco w dół. A tam wkomponowany w otoczenie, ledwo widoczny wśród skał stał mały kamienny kościółek, a wokół pasły się owce i kozy. Kolejny pocztówkowy widok.

— Co robisz? — zaniepokoił się Adam. — Tam nie ma szlaku.

— Ale za to jest pięknie. Czy zawsze musisz robić tylko to, co wypada?

— Nie zawsze. Przypomnij sobie naszą wizytę u Ivany. Uważaj, żebyś nie skręciła nogi. Poczekaj, pójdę przodem.

Wziął ją za rękę, pomógł zejść po kamieniach, a potem przyznał, że czasem warto zboczyć z utartych traktów.

Wrócili na szlak i ze szczytu, starannie omijając wzrokiem byle gdzie porzucone śmieci, podziwiali widok na zatokę, czyli Bokę Koterską. Alicja mówiła, że w wyobraźni widzi stare statki z obrazów w muzeum na wyspie, które może teraz są wrakami spoczywającymi na dnie, pełnymi zatopionych skarbów i tajemnic.

— Nigdy nie będziesz damą — powiedział nagle. — Za dużo w tobie naturalności.

Spojrzała na niego.

— Powinam się obrazić?

Roześmiał się i nie odpowiedział.



Było późne popołudnie, wierzchołki gór różowiały, ale cień powoli zaczynał otulać miasto, zrudziałe dachy domów, kopuły cerkwi i kościołów, a także wąskie uliczki. Ożywił też zapewne koty, które na



początku wspinaczki zauważyli na podwórku jednego z kamiennych domów. Wydawały się bezsilne, zmęczone upałem, bo leżały jak nieżywe, z wyciągniętymi przed siebie łapkami.

Wrócili do miasta, żeby w restauracji Scala Santa usiąść na zewnątrz pod parasolami i zamówić regionalne dania z ryb.

Wtedy właśnie zobaczyli drugą tego dnia młodą parę.



Zapadał zmierzch. Alicja i Adam postanowili pospacerować jeszcze po starym mieście. Oboje wiedzieli, że nadszedł czas podsumowań i nieuniknionej rozmowy o tym, co już się zdarzyło i co się jeszcze może zdarzyć.

Patrząc w górę, w stronę murów i stromych szczytów okalających miasto, mieli wrażenie, że znaleźli się na scenie w amfiteatrze, a nad nimi i wokół nich ustawiono szarzejącą wielką scenografię, potem umiejętnie podświetloną. Wąskie uliczki, sklepy z pamiątkami i biżuterią przypominającą pirackie skarby, kościoły i cerkwie, w których panował słodkawy zapach świec, wszystko chciało się zapamiętać, zatrzymać, przechować.

— Wejdźmy tu — zdecydował Adam i wzięwszy ją za rękę, zaprowadził do jednego z małych sklepików z biżuterią. Zanim się obejrzała, miała na palcu piękny staroświecki pierścionek.

— Piracki skarb na pamiątkę — powiedział. — Prezent ode mnie. Nie próbuj protestować. Nie ustąpię.

Na koniec wybrał małą zaciszną knajpkę, w której gitarzysta nie przeszkadzał, ale wpisywał się w niezwykłą aurę wieczoru. Hrabia Przebłocki nie był rozmarzony, tak jak Alicja, raczej rzeczowy i konkretny, kiedy w pewnym momencie powiedział:

— Wracamy.

Z samochodu podziwiała odbijające się w wodach zatoki światła wysepek, które dzisiaj zwiedzili, i umierające miasto, które teraz zostawili za sobą. Ostatnie spojrzenie na Czarnogórę, granica z sennym, ale rzetelnie sprawdzającym paszporty urzędnikiem i willa Marina w Molunacie. Adam był milczący. Usiadł na tarasie i obserwował morze.

— O której wyjeżdżamy? — spytała.

— Ja wyjeżdżam — powiedział. — Ty możesz zostać. Masz zarezerwowany i opłacony pokój na kolejny tydzień. Jutro przyjedzie Dawid, może razem z nim Jerzy Zan z Haliną. Taka była między nami umowa, którą zresztą złamał, bo miał się z tobą nie kontaktować, dopóki będziemy razem w Molunacie. Pamiętasz, tego dnia, kiedy opowiedziałas mi o sobie, on zadzwonił. Mniejsza z tym. — Adam wstał i minął znieruchomiałą i zupełnie zaskoczoną Alicję. — Ja dotrzymuję umów. Zostawiam cię tutaj, tak jak obiecałem.

Alicja odzyskała władzę w nogach i głos. O roli damy nie mogło już być mowy.

— Odbiło wam?! — wrzasnęła tak, że hrabia drgnął, a pies, który wałęsał się nad brzegiem morza, rozszczękał się na dobre. — Jestem jakąś rzeczą, którą sobie przekazujecie? A ja nie mam nic do powiedzenia?!

— Masz, oczywiście, że masz. — Adam odważnie podszedł do wściekłej Alicji.

Odepchnęła go.

— Nie sądziłem, że aż tak się zdenerwujesz. Chciałem cię mieć tylko dla siebie chociaż przez parę dni. Zrozum, gdyby Dawid dzwonił, rozmawiał z tobą przez Skype'a, nie bylibyśmy sami. Dzięki tej umowie miałem swoje pięć minut. O nic cię nie proszę, bo ostatnio wracaliśmy razem z Porto i to nie był wymarzony powrót. Nie chcę przeżywać czegoś podobnego po raz drugi. A teraz pozwól, że się pożegnam, Alicjo. Jutro muszę wstać bardzo wcześnie. Dobranoc.



Świtało, kiedy stał na brzegu. Morze było nadzwyczaj spokojne, prawie nieruchome. Zielonkawą taflę przecięła motorówka, zostawiając za sobą wyraźną linię, która zniknęła powoli. Omszałe skały widoczne były przy dnie prawie przezroczystej wody. Z Alicją się nie pożegnał, nie chciał jej budzić. Pożegna się przynajmniej z morzem i z Molunatem.

— Długo tak zamierzasz stać i bezmyślnie się gapić? — rozległ się nagle jej głos. Stała na tarasie, zwrócona w jego stronę. — Mam sama taszczyć walizki po tych schodach czy zamierzasz mi pomóc, jaśnie hrabio?

## OD AUTORKI



Drogi Czytelniku. Zapewniam, że wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci jest przypadkowe. Książka jest opowieścią fabularną, ale czasem odwołuję się do zdarzeń historycznych, wspomnień pozostających w rękopisach lub drukowanych w regionalnych wydawnictwach, przeróżnych osobliwości, zapisków, dokumentów i legend.

Niewielkie, leżące na uboczu miejscowości, zwane czasem nieco pogardliwie prowincjonalnymi, mają to do siebie, że wydają się ciche, może nawet senne; zbyt tradycyjne, może nawet staroświeckie, i spokojne. Prawda o nich jest jednak inna: tętnią życiem, mieszkańcy przechowują pamięć o ważnych wydarzeniach historycznych i, co najważniejsze, są autentyczni i naturalni. Wśród takich ludzi się wychowałam, Margarida zaś pokazała mi piękno portugalskiego Nazaré, a Piotr chorwackiego Molunatu. Jestem im za to wdzięczna.

